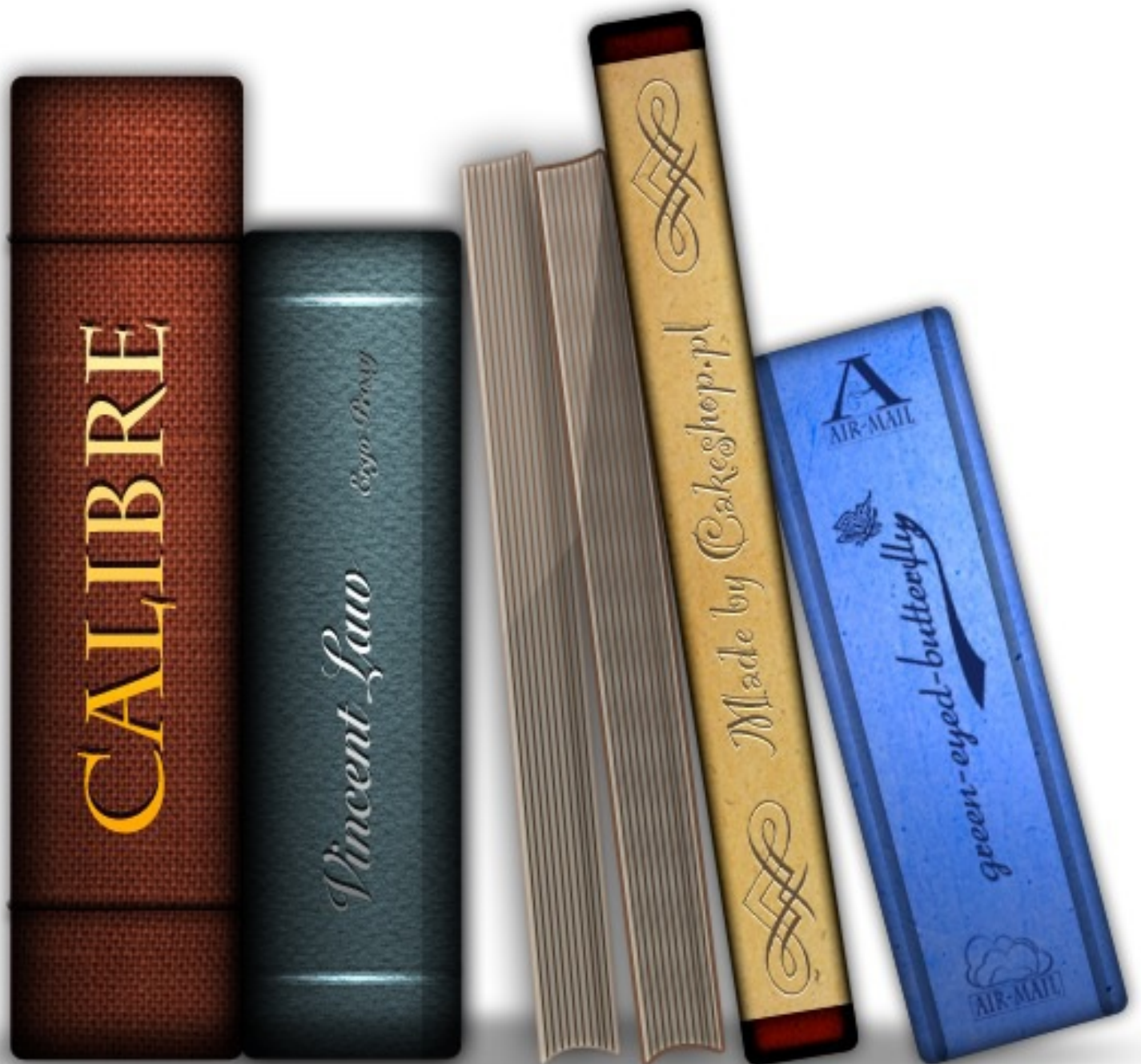


Sargassowa planeta

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Sargassowa planeta

Przełożyła Urszula Zielinska

Tytuł oryginału: Sargasso of Space

Rozdział 1. - Królowa Słońca

Zmęczony, wynędzniały młody człowiek w źle dopasowanej tunice Branzowca, próbował rozprostować długie, sparalizowane skurczem nogi. Dobrze by było - pomyślał nieco zirytowany Dan Thorson - żeby ludzie, którzy wymyślają te podpowierzchniowe pojazdy transkontynentalne, brali czasami pod uwagę fakt, że oprócz karłowców bywają też na pokładzie normalni ludzie. Nie po raz pierwszy pomyślał, że nie skorzystał z jakiegoś liniowca. Wystarczyło jednak, że dotknął chudego pasa z pieniędzmi, a natychmiast przypomniał sobie kim jest: nowym w Służbie rekrutem, bez statku i bez sponsora. Miał oczywiście zold z Syndykatu i cienki zwitek druków kredytowych, które dostał po wyprzedaniu niepotrzebnych w Kosmosie rzeczy. Miał też torbę-niezbędnik. I to chyba wszystko, co mógł nazwać swoją własnością. Aha! Jeszcze ta niewielka, metalowa płytka z wygrawerowanym na niej kodem, którego nie sposób odczytać. To był jego paszport w przyszłość, lepsza przyszłość. Nie narzekał jednak na swoje dotychczasowe szczęście. Przecież nie każdego chłopaka z Bazy Federacji wybierano do Syndykatu, by po dziesięciu latach opuścił go jako asystent Szefa Ładowni. Dan był doskonale przygotowany do tej pracy i mógł wreszcie zaokręcić się na statek wyruszający na gwiazdne szlaki. Jednak każde wspomnienie surowych egzaminów z ostatnich paru tygodni wywoływało wewnętrzny ból. Czasem myślał, że nie jest w stanie poukładać sobie w jakiś rozsądny system tego wszystkiego, co musiał wtłoczyć do głowy. Strzępy informacji z różnych dziedzin: z podstaw mechaniki, zasad astronawigacji, obsługi i rozmieszczenia ładunku, procedur handlowych, rynków Galaktyki i z psychologii istot pozaziemskich tworzyły teraz zupełnie niespójną całość. Nie chodziło o to, że kurs był trudny, ale o to, że zgodnie z nowymi wymogami selekcji sam musiał torować sobie drogę w tym, bądź co bądź, elitarnym świecie. Większość kolegów pochodziła z rodzin pracujących dla Służby od pokoleń - oni po prostu wyrosli w Branzy. Dan zamyslił się głęboko. Czyż Branza nie stawała się coraz bardziej zamkniętym klanem? Synowie szli w ślady ojców lub braci i wiąźali swoje życie ze Służbą. Człowiek bez koneksji musiał przezwyciężyć sporo przeszkód, zanim mianowano go do Syndykatu. On jednak miał szczęście...

Wzmyń chociażby takiego Sandsa, którego dwaj starsi bracia, wujek i kuzyn związani byli z Inter-Solarem. Sands nie pozwalał nikomu o tym zapomnieć. Wystarczy, żeby terminator został mianowany do jednej z dwóch Kompanii i był już urzadzony na całe życie. Taka praca była stała i pewna, ponieważ statki Kompanii regularnie kursowały między systemami. Pracownicy mogli ponadto kupić akcje, a więc mieli udział w zyskach. Zapewniano im również emerytury i prace na Ziemi, gdy przychodził czas opuszczenia Kosmosu. Takie

własnie perspektywy mieli dobrze zapowiadający się terminatorzy, jeśli oczywiście udało im się dostać do najlepszych firm: Inter-Solaru, Konsorcjum, Galaktycznego Deneba czy Falworth-Ignesti...

Dan zerknął na ekran telewizora, który znajdował się na poziomie jego oczu, w końcu kadłubowatego pojazdu, ale właściwie nie widział reklamy zachwalającej zalety importu przez Falworth-Ignesti. O wszystkim decydowało Centrum. Jeszcze raz dotknął pasa z pieniędzmi. Jego identyfikator, ten plasterek metalu, od którego tak wiele teraz zależało, był na swoim miejscu.

Zamiast reklamy pojawił się na ekranie czerwony pas, symbol tutejszej stacji. Dan czekał spokojnie na ledwo wyczuwalny wstrząs sygnalizujący koniec dwugodzinnej podróży. Z ulgą opuścił pojazd i wyciągnął podręczną torbę ze stosu bagażu.

Większość podróżnych stanowili ludzie Branzy, ale tylko nieliczni nosili odznaki Kompanii. Pozostali to Wolni Posrednicy lub drifterzy, czyli ci, których z powodu nieodpowiednich cech osobowościowych lub też z innych przyczyn, nie przyjęto na żaden szanujący się rodzimy statek. Tulali się teraz nie mogąc sobie znaleźć miejsca i tylko czasami udało im się zaokrętować na jakiś Niezależny Frachtowiec. Krótko mówiąc: najniższa warstwa Branzowców.

Dan, z torbą na ramieniu, przedostał się do windy, która wyniosła go na powierzchnię, w sam środek upalnego, letniego dnia w południowo-zachodniej części Ziemi. Przystanął na chwilę przy betonowym przedpolu hangaru, którym kończył się z tej strony pas startowy. Przyglądał się nierównej, zniszczonej nawierzchni przy rusztowaniach wokół statków, które szykowały się do lotu. Musnął wzrokiem przysadziste kształty międzyplanetarnych frachtowców: linie marsjańskie i asteroidalne oraz bure pojazdy kursujące do księżyców Saturna i Jowisza. To, o czym Dan marzył stało jednak dalej: Isniące burty statków gwiazdnych zostały świeżo spryskane, aby zapobiec otarciu pyłem światów, w które niebawem rusza.

-Chwileczkę, czy to nie Wiking? Polujesz na swój barkas, Dan?

Jedynie ktoś, kto doskonale znał Dana, mógł poprawnie odczytać to niemal niedostrzegalne drgnięcie ust. Gdy odwrócił twarz w stronę mówiącego, zdołał się już opanować.

Artur Sands przybrał chępliwa poze człowieka, który odbył już co najmniej setkę rejsów. Kontrastowało to jednak osobliwie z wypolerowanymi butami i nienagannie wyprasowana tunika. Ale tak jak zawsze postać ta wywoływała w Danie tajona złość. W dodatku Artur kroczył na czele swojej swity: Ricki Warrena i Hanlafa Bauta.

-Właśnie przyjechałeś, co, Wikingu? I nie spróbowałeś jeszcze swego szczęścia, prawda? My też nie. Chodźmy razem posłuchać wyroczni.

Dan zawahał się. Otrzymać przydział od Centrum w towarzystwie Artura Sandsa i jego orszaku, to ostatnia rzecz, na którą miał ochotę. Tupet Artura odbierał Danowi odwagę. Sands zadał od życia wszystkiego, co najlepsze, i zwykle to otrzymywał, o czym Dan zdążył się przekonać w Syndykacie.

On sam z kolei często miał powody, by martwić się o przyszłość. A jeśli teraz też miał mieć pecha, to wolał, żeby stało się to bez żadnych świadków. Z drugiej jednak strony, nie było sposobu na pozbycie się Artura. Udawał, że sprawdza coś w swojej torbie i myślał.

Dotarli tu na pewno powietrznym liniowcem - żaden inny pojazd nie był dość dobry dla Artura. Dlaczego od razu nie poszli po przydział do Centrum? Dlaczego czekali te godziny? A może spędzili ten ostatni prawdziwie wolny czas na zwiedzaniu? Niemożliwe przecież, żeby i oni mieli wątpliwości, co do odpowiedzi maszyny... Chociaż... Dan poczuł, że łez mu się zrobiło na sercu.

Te iskierki nadziei, że Artur może być potraktowany tak samo jak on, rozwiały słowa, które usłyszał dołączony do grupki. Sands jak zwykle rozwódził się na swój ulubiony temat.

-To że maszyna jest bezstronna, to bzdura! Karmia nas tymi bajkami w Syndykacie, a my i tak wiemy, jak jest naprawdę. Opowiadają, że człowiek powinien dostosować się do pracy zgodnie z temperamentem i umiejętnościami, że każdy statek musi mieć dobrze zintegrowaną załogę, ale to tylko księżycowe mrzonki! Jeśli Inter-Solar chce człowieka, to go dostaje, a żadna maszyna nie wcisnie go na pokład, jeżeli go tam nie chcą. To dobre dla facetów, którzy nie potrafią postawić na zwycięskiego konia i nie mają dość rozumu, żeby się rozejrzeć za porządnym przydziałem. Ja nie muszę się martwić, że ugrzęznę gdzieś w Strefie Konca, na jakimś marnym Niezależnym Frachtowcu.

Ricki i Hanlaf polykali każde słowo pewnego siebie kolegi, ale Dan chciał wierzyć w nieprzekupność Centrum. Był to jedyny pewnik w ciągu ostatnich tygodni, kiedy to Artur i jemu podobni chodzili z podniesioną głową, przekonani, że Centrum ułatwi im szybkie przejście do wyższych sfer Branży.

Wolał wierzyć, że oficjalne oświadczenia były zgodne z prawdą, że to właśnie maszyna, ten zbiór przekazników i impulsów, na który w żaden sposób nie można było wpłynąć, decydowała o losie wszystkich starających się o przydział na statki międzygwiazdne. Chciał wierzyć, że kiedy wsunie w maszynę swój identyfikator, fakt, że był sierota bez nazwiska i bez koneksji w Służbie, nie będzie miał znaczenia. Nie będzie miała znaczenia chudość jego pieniężnego pasa. Liczy się jedynie jego wiedza, temperament i możliwości.

Zwątpienie jednak zakiełkowało i zaledwie ślad wiary podsycił w nim nadzieję. W miarę, jak zbliżał się do Sali Przydziałów, zwolnił kroku, choć jednocześnie nie życzył sobie, żeby ktokolwiek pomyślał, iż słowa Artura zaniepokoiły go.

Tak więc duma popchnęła go do przodu i jako pierwszy z całej czwórki wepchnął swój identyfikator w niewielki otwór, po czym z trudem opanował chęć wyrwania go maszynie. Cofnął się, ustępując miejsca Sandsowi.

Centrum to nic innego jak szescian z litego metalu - tak przynajmniej wydawało się oczekującym. Dan pomyślał, że przetrwanie tych chwil niepewności byłoby łatwiejsze, gdyby mogli zobaczyć wewnątrz maszyny, gdyby mogli patrzeć, jak analizuje te linie i wyłobienia na metalu, jak dopasowuje do każdego z nich statek stojący teraz w porcie, jak decyduje o ich losie.

Długie podróże w przestrzeni nie są łatwe dla małych załóg statków kosmicznych. W przeszłości zdarzały się często problemy z personelem. Studiowali kilka takich tragicznych wypadków w czasie kursu z historii handlu w Syndykacie. Potem pojawiło się Centrum i dzięki jego neutralnej selekcji odpowiedni ludzie przydzielani byli do odpowiednich frachtowców. Musieli pasować do rodzaju pracy i charakteru całej załogi, toteż funkcjonowali doskonale i obywano się odtąd bez większych tarć. Nikt im nigdy nie powiedział w Syndykacie, na jakiej zasadzie pracuje Centrum i w jaki sposób odczytuje dane z identyfikatora. Najistotniejszy był jednak fakt, że od decyzji maszyny nie było odwołania.

Tego właśnie nauczono ich w czasie szkolenia i Dan traktował ten fakt jako coś niepodważalnego. Dlaczego więc teraz miałby stracić wiarę w to wszystko?

Rozmyślenia przerwał dźwięk gongu. Jedna płytką metalu wysunęła się z maszyny z nową linią na powierzchni. Artur rzucił się na nią i ogłosił radośnie swój triumf:

-Gwiezdny Posłaniec Inter-Solaru! Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz, stary!

Sands poklepał protekcjonalnie błyszczący blat Centrum.

-Nie mówiłem, że dla mnie znajdzie coś super?

Ricki potakiwał gorliwie, a Hanlaf posunął się nawet do tego, że klepnął Artura po plecach. Sands był magikiem, któremu zawsze dopisywało szczęście.

Następnie dwa uderzenia odezwały się niemalże jednocześnie i dwa identyfikatory brzeknęły na płycie. Ricki i Hanlaf zagarnęli je łapczywie. Na twarzy Rickiego pojawiło się rozczarowanie.

-Korporacja Mars - Ziemia, Hazardzista - przeczytał głośno. Dan zauważył, że reka, która wsuwał kartę do pasa, drżała. Nie dla Rickiego więc odległe gwiazdy i wielkie przygody. Czekają na niego mizerna posadka w przeladowanej Służbie Planetarnej, gdzie szanse na sławę i pieniądze były znikome.

-Statek Konsorcjum, Wojownik Deneb - Han-laf nie posiadał się z radości i zupełnie nie

zwracał uwagi na przygnebienie Ricka.

-Daj łapę, przeciwniku! - Artur wyciągnął rękę szczerząc zęby. On również zignorował Rickiego, jakby jego niedawny bliski kumpel przestał nagle istnieć.

-Z wielką przyjemnością! - Dzięki szczęśliwej decyzji zagadkowej maszyny, Hanlaf stracił zupełnie swoją potulność. Był innym człowiekiem.

Konsorcjum znacznie urosło w siłę w ostatnich latach i stanowiło zagrożenie nawet dla Inter-Solaru. Udało im się przechwycić kontrakt z Federacją na usługi pocztowe i ciągle robili postępy. Mieli w tej chwili przynajmniej jedną koncesję na każdą z wewnątrzsystemowych tras, a niedawno głośno było o umowie, która sprzątnęła sprzed nosa Inter-Solarowi. Artur i Hanlaf mogą się już nigdy nie spotkać na przyjacielskiej stopie, lecz teraz cieszyli się wspólnie szczęściem, które wyznaczyło im posady w liczących się Kompaniach.

Dan nadal czekał na odpowiedź Centrum. Czy możliwe, żeby jego identyfikator utknął gdzieś w środku maszyny? Czy powinien znaleźć kogoś, kto za to wszystko odpowiada i zapytać, co się stało? Pierwszy włożył swoją kartę, a teraz zaczynał się niepokoić. Artur również zauważył opóźnienie.

-Coż to? Nie ma statku dla Wikinga? Może oni, bracie, nie mają takiego, który pasowałby do twoich niezwykłych umiejętności?

Czy to jest możliwe? - zastanawiał się Dan. Być może żaden statek w porcie nie potrzebuje tego rodzaju usług, które mógł zaoferować? Czy to znaczy, że musiałby zostać tutaj do czasu, aż taki statek się zjawi?

Artur czytał chyba w jego myślach. Uśmiechał się już nie triumfalnie, ale szyderczo.

-A co, nie mówilem? - zaczął. - Wiking nie zna odpowiednich ludzi. To jak, przynosisz swoją torbę i czekasz, aż Centrum rozleci się i w końcu da ci odpowiedź?

Hanlaf zaczął się niecierpliwić. Ostatnie wydarzenie obudziło w nim całą pewność siebie i poczuł, że ma prawo do własnego zdania.

-Umieram z głodu - oznajmił. - Przelknijmy coś, a potem pojedziemy obejrzeć nasze statki. Artur pokręcił głową.

-Poczekaj jeszcze chwilę. Chce zobaczyć, czy Wiking dostanie swój wymarzony barkas - o ile taki w ogóle jest w porcie...

Dan mógł teraz uczynić jedynie to, co zawsze robił w takiej sytuacji: udawać, że cała sprawa nie ma znaczenia, i że Artur ze swoją switą nie mają nic szczególnego na myśli. Zastanawiał się jednak, czy maszyna pracowała, czy też jego karta zagubiła się gdzieś w jej

tajemniczym wnetrzu... Gdyby nie Artur przygladajacy mu sie z irytujacym zadowoleniem, poszedlby szukac pomocy.

Hanlaf zaczal powoli odchodzic, a Ricki byl juz przy drzwiach, jak gdyby ten niefortunny przydzial usunal go na zawsze z szeregow tych, ktorzy cos znaczyli. Wreszcie gong zabrzmial po raz czwarty. Dan rzucil sie na swoj identyfikator z szybkościa, o ktora nikt by go nie podejrzewal i tylko dzieki temu uprzedzil wscibskie rece Artura.

Mozna bylo od razu zauwazyc, ze na kawalku metalu nie widnialy zadne jaskrawe symbole slynnych Kompanii. Czy rzeczywiscie jego los bedzie podobny do losu Ricka? Czyjego pierwszy przydzial ma byc tak samo banalny?

Ale nie... W prawym gornym rogu karty jasniala gwiazda, gwiazda otwierajaca mu droge do innych galaktyk! Obok niej nazwa statku - nie Kompanii, ale statku - Krolowa Slonca... A Minelo sporo czasu, zanim zrozumial sens tego zapisu.

Tylko nazwa statku - a wiec Wolny Posrednik! Przydzielono go na jeden z tych tulaczyc statkow kosmicznych, ktore przemierzaja trasy zbyt niebezpieczne i zbyt nowe, zeby zainteresowaly sie nimi Kompanie. Zazwyczaj nie przynosza tez one zyskow. Jest to rodzaj Sluzby Handlowej, to prawda, i dla niewtajemniczonych jest w tej pracy cos bardzo romantycznego, ale Dan znalaz sie na handlu dostatecznie dobrze, zeby wiedziec, jaka czeka go przyszlosc. Wolne Posrednictwo to slepa uliczka dla ambitnych. Temat ten byl skrupulatnie i konsekwentnie omijany na wykladach w Syndykacie. Wolne Posrednictwo pociagalo za soba igranie ze smiercia, z dzuma, z innymi, nieznanymi Ziemiaiom chorobami i kontakty z obcymi, czesto wrogimi rasami. Mozna bylo stracic w tej grze nie tylko zysk i swoj statek, ale przede wszystkim zycie. Wreszcie, Wolni Posrednicy znajdowali sie na samym dole drabiny społecznej w Sluzbie. Nawet przydzial Rickiego nie wydawal sie taki zly w porownaniu z tym, co spotkalo Dana.

Zamyslil sie gleboko i nie zdazyl zareagowac, gdy Artur zrecznym ruchem wyrwal mu karte z dloni i obwiescil calemu swiatu jego kleske:

-Wolny Posrednik!

Danowi zdawalo sie, ze Sands wrzeszczal tak glosno, jak to sie tylko zdarza w czasie transmisji meczow.

Ricki zatrzymal sie i wytrzeszczyl oczy. Hanlaf parsknal smiechem, a Artur mu zawtorowal.

-A wiec tyle znaczy twoj tajemniczy kod, bracie! Bedziesz Wikingiem Kosmosu, Kolumbem gwiezdnych drog, odkrywca dalekich przestrzeni! A jak tam miewa sie twoj miotacz, co? Moze bys lepiej wrocil do Syndykatu i jeszcze raz postudiowal psychologie istot pozaziemskich! Wolni Posrednicy nie maja wiele kontaktow z cywilizowanym swiatem, wiesz? Chodźcie, chłopaki - zwrocil sie do dwoch pozostalych - musimy zaprosic Wikinga

na prawdziwa ucztę, bo przez resztę życia przyjdzie mu żywić się substytutami. - Artur chwycił mocniej ramie Dana. Wiezien mógłby łatwo wysliznąć się z tego uchwytu, ale wiedział, że powinien raczej zachować twarz i godność dołączając do reszty i tłumiąc gniew.

Zgadza się. Być może Wolni Posrednicy nie mieli zbyt wysokiej pozycji w Służbie i tylko nieliczni zahaczali o wielkie porty, ale istniało parę takich fortun, które powstały na planetach Strefy Konca i nikt nie mógł zaprzeczyć, że Wolny Posrednik jakos wychodził na swoje. Stosunek Artura do tego przydziału obudził w Danie wrodzony upor i na przekór koledze postanowił widzieć same dobre strony swojej sytuacji. W chwili, gdy odczytał "wyrok", popadł w przygnębienie, ale teraz wszystko wracało do normy.

W Branży nie było ściśle określonych kast. Podziały między ludźmi nie wynikały ze stanowiska, ale z prestiżu firmy, dla której się pracowało. Duża jadalnia w Porcie otwarta była dla każdego człowieka noszącego tunikę Służby. Większość Kompanii utrzymywała jednak swoje własne sektory, a ich pracownicy placili czekami. Przejedni oraz nowicjusze lawirowali wśród stolów tuż przy drzwiach.

Dan jako pierwszy znalazł puste miejsca i natychmiast włączył przycisk rachunkowy. Owszem, był teraz Wolnym Posrednikiem, ale za ten obiad chciał zapłacić sam. Nie miał zamiaru jeść na koszt Artura, nawet jeśli ten gest miał go kosztować fortunę.

Gdy wystukali na klawiaturze swoje zamówienia, mieli trochę czasu, żeby się rozejrzeć. Tuż obok od stołu wstał człowiek z jaskrawą, polyskującą odznaką Kom-Teku. Jego dwaj towarzysze nadal spokojnie przeżuwali posiłek. Odchodzący miał imponujące bary - zapewne druga czy trzecia generacja marsjańskich kolonistów. Rysy twarzy miał jednak swojskie - nieco orientalne, ale ziemskie.

Tych dwóch przy stole to terminatorzy. Jeden z nich miał na tunice dystynkcje przyszłego astronawigatora, a drugi - miniaturowe koło zębate, odznaki inżyniera. Właśnie ten drugi zauważył Dana i odwzajemnił jego spojrzenie.

Asystent Szefa Ładowni pomyślał, że nigdy dotąd nie widział kogoś tak przystojnego. Czarne kędzierzawe, dość krótko ostrzyżone włosy otaczały opaloną w Kosmosie, ładną twarz o delikatnych rysach. Oczy miał ciemne, powieki ciężkie, a gdy podniósł kaciaki perfekcyjnie wykrojonych ust, to nie uśmiechał się przyjaźnie, lecz cynicznie. Był ideałem kosmicznego bohatera z filmów propagandowych, które Dan nie raz musiał oglądać w Syndykacie, toteż natychmiast poczuł do niego niechęć.

Współbiednik tej doskonałości był jej całkowitym przeciwieństwem. Naturalnie brązowa skóra tego grubociosanego człowieka nie mogła przybrać głębszego odcienia, ponieważ był on Murzynem. Z ogromną werwą opowiadał o czymś przyszłemu inżynierowi, lecz ten udzielał mu jedynie zdawkowych odpowiedzi.

Kasliwa uwaga Artura sprowadziła myśli Dana do ich własnego stołu.

-Krolowa Slonca - jak dla Dana, Artur wypowiedzial te nazwe zbyt glosno.

-Wolny Posrednik... No coz, Wikingu, bedziesz mial okazje przyrzec sie dokladniej zyciu. W kazdym razie nadal mozemy z toba rozmawiac, skoro nie zaokretujesz sie na zaden konkurencyjny statek.

Dan wysilil sie na grymas imitujacy usmiech.

-Bardzo to wielkodusznie z twojej strony, Sands. Jakze mialbym narzekac, skoro czlowiek Inter-Solaru raczy mnie dostrzegac?

Ricki wtracil:

-To niebezpieczne, no, to Wolne Posrednictwo...

Artur skrzywil sie. Wokol ryzyka zwiazanego z ta praca moze unosi sie mgielka czaru, ale przeciez nie mozna tego publicznie potwierdzic!

-Ale nie wszyscy Wolni Posrednicy docieraja w Strefe Konca, moj drogi. Niektorzy odbywaja po prostu regularne rejsy miedzy uboższymi planetami, takimi, ktore odrzucily Kompanie. Dan wyladuje pewnie na jakimś statku kursujacym miedzy jednym a drugim swiatkiem z kopulastymi wiezami miast i nie bedzie mogl nawet na chwile zdjac swojej hauby.

Tego wlasnie mi zyczysz, co? - skonkludowal Dan w myslach. Ta cala historia nie wydaje ci sie dostatecznie przygnebiajaca, zeby cie zadowolic, co, Sands? Przez sekunde zastanawial sie, dlaczego ten niezbyt przez niego lubiany kompan z Syndykatu znajdowal taka przyjemnosc w znecaniu sie nad nim.

-Masz racje - poddal sie skwapliwie Ricki. Dan zauwazyl jednak, ze jego oczy wpatruja sie w swiezo upieczonego Wolnego Posrednika z odrobina zazdrosci.

-Wypijmy za cala Branze! - Artur teatralnie uniosl swoj kubek. - Duzo szczescia dla Krolowej Slonca! Dan bedzie go potrzebowal.

Te slowa znow zabolaly Dana.

-Nic mi o tym nie wiadomo, Sands. Wolni Posrednicy tez zbijaja fortuny. No, a ryzyko...

-No wlasnie, chlopie, ryzyko! Na jeden Wolny Frachtowiec, ktoremu sie udalo, jest setka, albo i wiecej takich, ktorym nie starcza na oplaty portowe. Szkoda, ze nie miales wplywu na te twoje "nadprzyrodzone sily"...

Dan mial juz dosyc. Odsunal sie od stolu i spojrzal Arturowi prosto w oczy.

-Jade tam, gdzie przydzielilo mnie Centrum - rzekl powaznie. - Cala ta gadka, ze Wolne

Posrednictwo jest takie niebezpieczne, nie jest warta jednej spadającej gwiazdy. Dajmy sobie rok w Kosmosie, Sands, a potem porozmawiamy.

-Jasne! - Artur rozesmiał się. - Daj mi rok z Inter-Solarem, a sobie weź ten rok w rozwalonym pudle. Postawie ci wtedy obiad, biedaku, bo nie będziesz miał nic na koncie. Założę się o dziesięć kredytów, że mam rację. A teraz - spojrzał na zegarek - mam zamiar zerknąć na Gwiezdnego Posłanca. Ktoś chciałby się może przyłączyć?

Ricki i Hanlaf najwyraźniej mieli ochotę, bo szybko uniesli się z krzeseł. Dan nie poruszył się, kończył swój wysmienity obiad, pewien że minie sporo czasu, zanim będzie miał w ustach coś równie doskonałego. Uznał, że udało mu się zachować dobrą minę do złej gry, choć był już potwornie zmęczony Sandsem. Nie pozostawiono go jednak w spokoju. Ktoś podszedł od tyłu i wśliznął się na miejsce Rickiego.

-Masz przydział na Królową Słońca, kolego?

Dan drgnął. Czy był to kolejny dowcip Sandsa? Tym razem jednak ujrzał przed sobą szczerą twarz asystenta astronawigatora z sąsiedniego stołu i uspokoił się.

-Tak, dopiero co go dostałem. - Podał swojemu rozmowcy identyfikator.

-Dan Thorson - odczytał Murzyn głośno. - Jestem Rip Shannon, Ripley Shannon, jeśli wolisz. A ten - wskazał na gwiazde filmów propagandowych - to Ali Kamil. Obaj jesteśmy z Królowej. Jesteś asystentem Szefa Ładowni - zakończył stwierdzeniem raczej niż pytaniem.

Dan przytaknął i przywitał Kamila, ludząc się, że niechec, która odczuwał do tego człowieka nie była zauważalna. Stwierdził, że Kamil przygląda mu się taksująco i że z jakichś przyczyn, po krótkiej lustracji, został uznany za twórca niedoskonały.

-Idziemy teraz na statek. Dołączysz do nas? - w słowach Ripa było dużo zyczliwości, więc Dan przystał na propozycję.

Wsiadli na ślizgacz, który potoczył się wzdłuż pola startowego w stronę dalekich rusztowań z uwiecznionymi w nich statkami. Rip podtrzymywał rozmowę i Dan czuł do tego barczystego, młodego człowieka coraz więcej sympatii. Shannon był trochę starszy - mógł to być ostatni rok jego terminowania. Dan doceniał każdą uzyskaną od niego informację o Królowej i jej załodze.

W porównaniu z wielkimi statkami Kompanii Królowa Słońca była miniaturowych rozmiarów. Załoga składała się tylko z dwunastu członków, wobec tego każdy miał na głowie sporo obowiązków. Na kosmolotach akwizycyjnych ścisła specjalizacja nie była możliwa.

-Mamy rutynowy transport na Naxos - kontynuował Rip swoim dzwiecznym głosem. - Stamtąd - wzruszył ramionami - dokadkolwiek...

-Z wyjątkiem Ziemi - wtracił szorstko Kamil. - Powiedz lepiej do widzenia naszej kochanej planecie, bo niepredko ja ujrzysz, Thorson. W tych okolicach długo nas nie zobacza. Tym razem mieliśmy rejs specjalny, a to zdarza się raz na dziesięć lat. - Dan pomyślał, że jego rozmowca czerpie niezwykłą przyjemność w przekazywaniu mu tych okropnych wieści.

Slizgacz okrzyknął pierwsze z rusztowan. W prywatnych dokach stały tutaj statki najsłynniejszych Kompanii. Wzniesione ku gorze dzioby rozcinały niebo, wokół krecili się ludzie. Dan przypatrywał się im jakby wbrew sobie, ale nie odwrócił głowy, gdy po jakimś czasie slizgacz skrecił w lewo, w kierunku kolejnych stanowisk. Chyba z sześć mniejszych Wolnych Frachtowców czekało tutaj na start. Nawet nie zdziwił się za bardzo, kiedy podjechali do jednego z najbardziej zniszczonych.

-Oto ona, bracie. Najlepszy kosmolot akwizycyjny we wszystkich galaktykach. To prawdziwa dama, mówię ci, prawdziwa Królowa. - W głosie Ripa slychac było dumę.

Rozdział 2. - Planety na sprzedaż

Dan wszedł do kajuty Szefa Ładowni. Człowiek, który tam siedział otoczony stertami mikrotasmy i całym sprzętem doświadczanego w lotach pośrednika, znacznie odbiegał od wyobrażeń młodego Branzowca. Mistrzowie prowadzący zajęcia w Syndykacie byli dobrze ubrani i zewnętrznie nie różnili się właściwie od ludzi sukcesu pracujących na Ziemi. Trudno było posadzić ich o jakikolwiek związek z Kosmosem. W przypadku Van Rycka nie tylko mundur świadczył o tym, że pracował on dla. Służby. Jego przereźnione, jasne włosy miały biały odcień, a twarz była raczej czerwona niż opalona. Był potężnym człowiekiem - nie tegim, lecz dobrze zbudowanym - i zajmował każdy centymetr swojego miękkiego fotela.

Mierzył Dana sennym i na pozór obojętnym wzrokiem, tak jak i olbrzymi niczym tygrys kocur, rozciągnięty na jednej trzeciej powierzchni biurka. Dan zaszalutował.

-Asystent Szefa Ładowni, Thorson, melduje się na pokładzie, sir. - Strzelił obcasami tak, jak nauczono go w Syndykacie, po czym położył swój identyfikator na biurku, choć jego dowódca w ogóle nie próbował go dosięgnąć.

-Thorson - wydawało się, że bas dochodzi nie z klatki piersiowej siedzącego na wprost człowieka, ale z głębi tego beczkowatego ciała. - Pierwsza podróż?

-Tak, sir.

Kot ziewnął i mruknął, ale uważne spojrzenie Van Rycka nie zmieniło się.

-Zamelduj się lepiej u Kapitana i wpisz się w rejestr. - I to wszystko. Takie było całe powitanie.

Trochę zagubiony Dan wspiał się do sektora kontrolnego. Przyłgął do ściany wąskiego korytarza, żeby przepuścić jakiegoś oficera sunacego za nim szybkim krokiem. Był to ow

Kom-Tek, którego widział w jadalni z Ripem i Kamilem.

-Nowy? - To pojedyncze słowo pełne było trzasków i zakłocen, jakby dochodziło z interkomu.

-Tak, proszę pana, mam się zarejestrować.

-Biuro Kapitana - następny poziom - i już go nie było.

Dan poszedł za nim bardziej statecznym krokiem. To prawda, że Królowa nie była olbrzymem i niewątpliwie brakowało na niej wielu udoskonaleń i luksusowych rozwiązań, którymi tak się chętnie chwyciły inne załogi. Dan jednak, mimo że niewiele jeszcze zdążył zobaczyć, doceniał elegancko urządzone wnętrza. Burty Królowej były być może zniszczone i dlatego z zewnątrz wyglądała na zużyta, ale w środku okazała się być sprawnym, szczelnym frachtowcem. Dan dotarł na wyższy poziom, zapukał w lekko uchylone drzwi i usłyszawszy niecierpliwie zaproszenie, wszedł.

Przez jedną oszalamiającą chwilę czuł się tak, jakby znalazł się w środku ZOO z pozaziemskimi istotami. Ściany tej niewielkiej kajuty wypełnione były obrazami. Ale jakimi! Stworzenia ze Strefy Konca, które niegdyś widział i o których słyszał, wymieszane były z istotami z najbardziej makabrycznych koszmarów. W malej, wiszącej klatce siedziało niebieskie zwierzę, które mogło być jedynie nieprawdopodobną kombinacją ropuchy (o ile ropuchy posiadały sześć nóg, w tym jedną z pazurami) i papugi. Ten stwor pochylił się do przodu, chwycił szponami klatkę i splunął na Dana.

Młody Branzowiec stał nieruchomo całkowicie pochłonięty wszystkim, co tu zobaczył, aż wreszcie wyrwał go z zamyslenia warkliwie:

-No, co jest?

Dan natychmiast odwrócił wzrok od niebieskiego horroru i spojrzał na człowieka siedzącego tuż pod klatką. Spod kapitańskiej czapki wystawały posiwiałe włosy. Ostre rysy twarzy uwydatniała blizna - być może po miotaczu. Oczy Kapitana były tak lodowate i władcze, jak oczy jego jenca w klatce.

Dan odzyskał mowę.

-Asystent Szefa Ładowni, Thorson, melduje się na pokładzie, sir. - Ponownie podał swoją kartę. Kapitan Jellico chwycił ją pośpiesznie.

-Pierwszy rejs?

I znowu Dan zmuszony był przytaknąć. O ile łatwiej byłoby moc odpowiedzieć: nie, dziesiąty...

W tym momencie niebieski stwór wydal z siebie przeraźliwy pisk, na co Kapitan zareagował uderzeniem w drzwi klatki z takim impetem, że jej mieszkaniec zamilkł, choć zapewne nie nauczył się dzięki temu dobrych manier. Kapitan natomiast wrzucił kartę Dana do rejestratora statku i nacisnął klawisz. Przybysz mógł się teraz odprezyc - został oficjalnie wpisany jako członek załogi i teraz nikt go już nie usunie z Krolowej.

-Odrzut o osiemnastej - poinformował go Kapitan. - Znajdź sobie kajute.

-Tak jest - zaszalutował Dan i uznał, że może już opuścić to swoiste ZOO Kapitana Jallico.

Schodząc do sektora ładunkowego zastanawiał się, z jakiej tajemniczej planety pochodzi niebieski stwór i dlaczego Kapitan był w nim aż tak rozkochany, że zabierał go ze sobą w podróż. Z tego, co Dan zdążył zauważyć wynikało, że papugo-ropucha nie posiadała żadnych sympatycznych cech.

Ładunek, który Krolowa zabierała na Naxos był już najwyraźniej na pokładzie - gdy przechodził obok ładowni, dostrzegł zapieczętowane zanki wlotu. A zatem jego obowiązki, przynajmniej jeśli chodzi o ten port, ktoś już wypełnił. Mogł więc całkiem swobodnie rozejrzeć się po małej kajucie, którą wskazał mu Rip Shannon, a potem rozpakować parę osobistych drobiazgów.

W Syndykacie należał do niego tylko hamak i szafka, toteż nowa kwatery wydawała mu się bardzo wygodnym, przestronnym pomieszczeniem. Gdy rozległ się sygnał odrzutu, był już całkiem zadomowiony i zadowolony z sytuacji, mimo że jeszcze parę godzin temu ponure żarty Sandsa nie pozwalały mu optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Znawali już daleko w Kosmosie, zanim Dan poznał pozostałych członków załogi. Oprócz Kapitana Jellico w sterowni pracował Steen Wilcox. Był to szczupły Szkot około trzydziestki, który odsłużył parę lat w Inspekcji Galaktycznej, a dopiero później przeszedł do Branży. Teraz miał już stopień astronawigatora. Do sekcji kontroli należał również Marsjanin, Kom-Tek Tang Ya, oraz Rip, asystent.

Sektor maszynowni także składał się z czterech członków. Szefem był młody i spokojny Johan Stotz, którego zainteresowania koncentrowały się wyłącznie na silnikach (z tego, co powiedział Danowi Rip wynikało, że Stotz był technicznym geniuszem i mógł dostać się bez trudu na lepsze statki niż Krolowa, ale wybrał ryzyko, jakie towarzyszyło podróżom Wolnych Frachtowców). Asystentem Stotza okazał się być nieskazitelnym i wymuskany Kamil. Dan przekonał się szybko, że na Krolowej nie wolno było się lenić, toteż Kamil musiał sprostać bardzo licznym wymaganiom swego bezpośredniego dowódcy. Pozostali dwaj członkowie załogi maszynowni stanowili niesamowity a zarazem zabawny duet.

Karl Kosti był niezdarnym i potężnym jak niedźwiedz człowiekiem, lecz jeśli chodziło o pracę, trudno było znaleźć lepszego specjalistę. Wokół niego kłębiła się ciągle istota będąca jego przeciwieństwem: mały, chudy Jasper Weeks, o twarzy wyblakłej od światła

Wenus. Tej chorobliwej wręcz bladoci nie mogly zmienic nawet promienie ultrafioletowe.

Zespol, do ktorego nalezal teraz Dan, skladal sie z bardzo roznych ludzi. Przelozonym byl Van Ryck, czlowiek o takiej wiedzy i umiejetnosciami, ze dorownywal najdoskonalszym komputerom. Nie istniaty zadne dane na temat Wolnego Posrednictwa, o ktorych on by nie slyszal lub nie czytal, a jesli juz raz umiescil jakis fakt w swojej pamieci, to nikt i nic nie moglo go stamtad usunac. Dan trwal zatem w stanie permanentnego zadziwienia z powodu ilosci szczegolow, ktore ten czlowiek mogl dostarczyc na kazdy, zwiazany z Branza, temat. Slabym punktem Van Rycka, a zarazem jego chluba, bylo to, ze jego rodzina od wielu pokolen zwiazana byla z Posrednictwem: jego antenaci przemierzali wody oceanow na Ziemi w czasach, gdy nikt jeszcze nie marzyl o Kosmosie.

Do sektora ladunkowego nalezal jeszcze medyk, Craig Tau, oraz kucharz i steward w jednej osobie, Frank Mura. Dan spotykal czasami Tau podczas pracy, ale Mura trzymal sie tak blisko swojej kajuty i kuchni, ze rzadko kto go widywal.

Nowy asystent Szefa Ladowni mial mnostwo zajec. Mozolil sie nad katalogami w malenkim pomieszczeniu wydzielonym dla niego w biurze ladowni i byl nieoficjalnie, ale bezlitosnie testowany przez Van Rycka. Ku swemu przerazeniu dowiedzial sie przy okazji, jak wielkie ma luki w przygotowaniu do pracy zawodowej. Niebawem w glebi duszy zaczal sie dziwic, ze w ogole zostal zaakretowany. Przeciez Kapitan Jellico nie musial zgodzic sie z decyzja Centrum. Bylo dla niego az nazbyt oczywiste, ze w stanie swej przytlaczajacej ignorancji stanowil na statku ciezar raczej niz pomoc.

Van Ryck nie skladal sie jednak jak maszyna wylacznie z faktow i liczb - byl rowniez znakomitym gawedziarzem, kolekcjonerem legend i przypowieści. Cala zaloga sluchala go jak zahipnotyzowana, kiedy w miesie zaczynal opowiadac jedna z nich. Tylko on potrafil z nalezna powaga zrelacjonowac osobliwa historie Nowej Nadziei, statku, ktory wylecial w Kosmos z uczestnikami Marsjanskiej rewolty na pokladzie i dopiero w sto lat pozniej zauwazono go w Strefie Konca w kregu swobodnego spadania. Jego wymarłe swiatla zarzyl sie zlowieszczą czerwienia tuż przy dziobie. Sluzy ratunkowe byly zaplombowane. Nikt nigdy nie zblizil sie do statku - nikt tez nie mogl go uratowac. Ci, ktorzy widzieli Nowa Nadzieje, sami byli w trudnym polozeniu, stad tez zwrot "ujrzec Nowa Nadzieje" stal sie popularnym wsrod Branzowcow okresleniem zlego losu.

Istnieli poza tym Szeptacze, ktorych kusicielskie glosy slyszeli ludzie zbyt dlugo przebywajacy w przestrzeni kosmicznej. Powstala na ich temat cala mitologia. Van Ryck mogl takze wymienic wszystkich polbogow gwiazdnych szlakow. Na przyklad Sanforda Jone-sa, pierwszego czlowieka, ktory odwazyl sie opuscic nasza Galaktyke. Po trzech stuleciach jego zablakany statek przelecial nagle nad Syriuszem. Przy nieruchomym sterze tkwila nadal mumia pilota. Teraz mowilo sie, ze Sanford Jones przyjmuje na podklad swego upiornego statku wszystkich tych, ktorzy wpadli w zaklęty krag swobodnego spadania.

W ten sposob Dan zdobywal wiedze o sprawach, o ktorych milczano w Syndykacie.

Podroz na Naxos byla zwyczajnym lotem frachtowca. Swiat pogranicza, w ktorym w koncu sie znalezi, byl tak podobny do swiata ziemskiego, ze nie wywoływal emocji. Dan i tak nie mogli zejsc na planete, bo nie dostal urlopu. Van Ryck uczynil go odpowiedzialnym za cala krzatanine przy rozładunku. Okazalo sie wtedy, ze dni spedzone nad tabelami w ladowni nie poszly na marne. Dan zaskakujaco dobrze poradzil sobie z odszukaniem poszczegolnych towarow.

Van Ryck natomiast, wraz z Kapitanem, opuscili statek. Nastepny kurs Krolowej zalezal w duzej mierze od ich umiejetnosci targowania sie oraz od intuicji. Zaden kosmolot akwizycyjny nie zatrzymywal sie w porcie dlugo: tyle tylko, ile potrzeba bylo na pozostawienie jednego ladunku i zaladowanie drugiego.

W poludnie nastepnego dnia Dan nie mial juz nic do roboty. Odrobine zniechecony wloczyl sie z Kostim przy wlazie. Zaden z czlonkow zalogi nie wybral sie do rozleglego, otoczonego bulwiastymi drzewami miasta pogranicza. W kazdej chwili mogli byc potrzebni przy zaladunku. Ludzie z obslugi Portu czcili bowiem jakies miejscowe swieto i nie bylo ich na stanowiskach. Po paru godzinach Dan i mechanik zauwazyli, jak przez pole startowe pedzi z nieslychana predkoscia wynajety przez Kapitana slizgacz.

Pojazd zatoczyl luk, wznoszac tumany kurzu, i stanal u stop rampy. Jellico wskoczyl na nia i w kilka sekund byl juz przy wlazie, podczas gdy Van Ryck dopiero podnosil sie zza steru. Kapitan rzucil w strone Kostiego:

-Zarzadz zebranie w mesie!

Dan zerknal na pole, spodziewajac sie poscigu policji albo jeszcze gorszego nieszczescia. Powrot oficerow pachnial natychmiastowa ucieczka. Jednak jego bezposredni przelozony wdrapywal sie na rampe w zwyklym, powolnym tempie. Van Ryck w dodatku gwizdal sobie pod nosem, co - zgodnie z obserwacjami poczynionymi przez Dana - oznaczalo absolutny spokoj w swiecie Holendra. Tak wiec, jakiekolwiek wieści przynosil Kapitan, SzeF Ladowni uznawal je za dobre. W kilka minut pozniej Dan wcisnal sie w niewielki kacik przy drzwiach mesy - byl w koncu najmlodszy czlonkiem zalogi. Wszyscy byli obecni - poczawszy od Tau, a skonczywszy na ciagle nieuchwytnym Murze - i wszyscy wpatrywali sie w Kapitana, ktory siedzial u szczytu stolu i przesuwal opuszkami palcow wzdluz blizny na policzku.

-I coz to za skarb wpadl w nasze rece tym razem, Kapitanie?

To Steen Wilcox zadal pytanie, ktore wszystkim chodzilo po glowie.

-Aukcja Inspekcji - Jellico wyrzucil z siebie te dwa slowa, jak gdyby juz nie mogli ich powstrzymac.

Ktos gwizdnal cicho, a ktos inny westchnal. Dan zmruzył oczy usilujac zrozumiec wage tej informacji, ale byl przeciez tylko nowicjuszem w Posrednictwie. Po paru minutach dopiero, gdy dotarla do niego cala donioslosc tego stwierdzenia, udzielilo mu sie goraczkowe

podniecenie. Aukcja Inspekcji. Wolny Posrednik jeden raz w calym zyciu mial szanse w niej uczestniczyc. I na takich wlasnie aukcjach powstawaly najwieksze fortuny.

-Kto jest w miescie? - inzynier Stotz patrzyl na Kapitana niemal oskarzycielskim wzrokiem.

-Ci, co zawsze - odpowiedzial Jellico wzruszajac ramionami. - Ale na liscie sa cztery planety klasy D.

Dan kalkulowal w mysli ich wlasne szanse. Kompanie natychmiast zagarna te z klasy A i B. Bedzie troche przetargow, jesli chodzi o C. No i cztery z klasy D - cztery dopiero co odkryte planety... Wystawione na aukcje prawa do prowadzenia handlu z nimi mozna by nabyc za przystepna dla Wolnych Posrednikow cene. Czy Krolowa byla w stanie wziac udzial w licytacji? Calkowity piecio- lub dziesiecioletni monopol na prawa posrednictwa z nowa, nieznaną planeta moglby ich uczynic bogaczami. Gdyby tylko dopisalo im szczescie!

-Ile jest w sejfie? - zapytal Van Ryck Tau.

-Jesli skasujemy rachunek za ten ostatni ladunek i zaplacimy nasze oplaty portowe, to bedzie... Ale co z zapasami, Frank?

Steward najwyrazniej obliczal cos w pamieci.

-Zalozmy tysiac na odnowienie zapasow, to daje nam spora rezerwe. Chyba, ze wybieramy sie w Strefe Konca...

-W porzadku, Van. Odrzuc ten tysiac. Ile nam zostaje? - to Jellico zadawal teraz pytania.

Szef Ladowni nie musial zagladac do swoich ksiag - wszystkie cyfry stanowily czesc zdumiewajacego spisu w jego umysle.

-Dwadziescia piec tysiecy - i moze jeszcze szesc setek.

Zapanowala przygnebiajaca cisza. Zaden licytator z Inspekcji nie przyjmie takiej sumy. Wilcox przerwal milczenie:

-A dlaczego w ogole tutaj odbywa sie aukcja? Przeciez Naxos nie jest planeta Federacji?

Rzeczywiscie, to dziwne, pomyslal Dan. Nigdy przedtem nie slyszal, zeby aukcja praw handlowych miala miejsce w strefie, ktora nie byla co najmniej cetrum danego sektora.

-Statek Inspekcji Rimbold jest juz znacznie opozniony - oznajmil ponuro Jellico. - Wszystkie kosmoloty dostaly polecenia natychmiastowego zakonczenia interesow i wyruszenia na jego poszukiwanie. Ten statek tutaj, Griswold przybyl na najblizsza planete, zeby przeprowadzic legalna wyprzedaz tego, co znalezli i sprawdzili.

Grube palce Vah Rycka stukaly miarowo w stol.

-W porcie sa agenci Kompanii i tylko dwa Wolne Frachtowce. Jesli przed szesnasta juz nikt nie przyleci mamy cztery strefy do podzialu miedzy trzech. Kompanie nie angazuja sie nigdy w strefe D. Ich agenci maja wyrazne polecenie, by tam nie kupowac.

-Chwileczke - wtracil Rip - czy do tych dwudziestu tysiecy doliczyl pan nasze wyplaty?

Gdy Van Ryck pokrecil przeczaco glowa, Dan wiedzial juz, o co chodzilo Ripowi i przez moment byl oburzony. Wymagac od niego, zeby wrzucil swoje zarobki z rejsu w ten niepewny interes, to juz byla przesada! Nie mial jednak odwagi, zeby glosno sie sprzeciwic takiej propozycji.

-Nasze wyplaty? - zapytal niepewnym glosem Tau.

-Okolo trzydziestu osmiu tysiecy - padla odpowiedz.

-Troche kiepsko, jak na aukcje Inspekcji. - Wilcox najwyrazniej powatpiewal.

-Cuda sie zdarzaja - zauwazyl Tang Ya. - Radze sprobowac. Jesli nam sie nie uda, niczego nie tracimy.

Glosowali przez podniesienie reki: nikt sie nie sprzeciwil. Zatem zostalo ustalone, ze zaloga Krolowej dolaczy swoj zarobek do posiadanych rezerw, a ewentualne zyski beda dzielone proporcjonalnie do wniesionego wkladu. Zgodnie wybrano Van Rycka jako oferenta, ale nikt nie chcial pozostac z dala od majacej sie odbyc aukcji i Kapitan Jellico musial wynajac jednego ze straznikow Portu do pilnowania statku.

Zmierzch na Naxos zapadal wczesnie. Z dala od mgiel kosmodromu powietrze pachnialo intensywnie - zbyt intensywnie, jak na nozdrza Ziemi - bujna roslinnoscia. Miasto bylo jedna z typowych osad pogranicza, w ktorych zycie tetnilo glownie w licznych kafejkach. Wolni Posrednicy z Krolowej skierowali swoje kroki prosto na rynek, gdzie miala odbyc sie aukcja.

Sterna pudel tworzyla niezbyt stabilna platforme, na ktorej stalo kilku ludzi. Dwoch z nich nosilo niebiesko-zielone mundury Inspekcji, jeden ubrany byl w uniform ze skory i tkaniny (stroj obowiazujacy mieszkancow miasta), a czwarty mial na sobie srebro i czern Patrolu. Wszystkie zasady prowadzenia licytacji musialy byc scisle przestrzegane, nawet jesli Naxos byla jedynie skapo zaludniona planeta pogranicza.

Zbierajacy sie wokol platformy tłum tez nie byl jednolity: nie wszyscy nosili brazowe tuniki Branzy. Miejscowi rowniez przyszli obejrzec te rozgrywke. Dan probowal rozszyfrowac odznaki w niezbyt wyraznym swietle przenosnych lamp: dostrzegl czlowieka z Inter-Solaru, a troche dalej w lewo, trzech czlonkow Konsorcjum.

Planety kategorii A i B beda pierwsze. Naleza do nich te niedawno odkryte przez Inspekcje Galaktyczna, o wysokim poziomie rozwoju cywilizacji. Niektore z nich prowadzily

być może własny, wewnątrzsystemowy handel i zazwyczaj opłacało się wchodzić z nimi w kontakt. Kategoria C to planety o nieco zaopóźnionej cywilizacji i prowadzenie handlu z nimi oznaczało większe ryzyko. Nie było na nie zbyt wielu chętnych. I wreszcie kategoria D: planety zamieszkałe przez prymitywne formy życia lub nawet nie zamieszkałe w ogóle. Ten właśnie rodzaj planet mógł być dostępny dla załogi Królowej.

-Cofort jest tutaj - usłyszał Dan słowa Wilcoxa. Kapitan zmell pod nosem jakies przekleństwo.

Dan uważnie spojrzał na skłębiony tłum. Ktoż z tych ludzi mógł być legendarnym księciem Wolnych Posredników, człowiekiem o nieprawdopodobnym szczęściu, o którym opowiadało się w całej Galaktyce? Jednak w żaden sposób nie mogli go odszukać.

Jeden z oficerów Inspekcji podszedł do kranca platformy i wrzawa natychmiast ucichła. Jego współpracownik podniósł w górę niepozorny pojemnik zawierający mikrofilmy z niezwykle cennymi dla potencjalnych nabywców danymi na temat każdej planety.

Rozległo się uderzenie młotka i aukcja ruszyła. Najpierw planety klasy A. Były tylko trzy i ludzie Konsorcjum zgarneli sprzed nosa oficera Inter-Solaru aż dwie. Ale Inter-Solarowi powiodło się z kolei z kategorią B - kupili obie. Jeszcze inna Kompania specjalizująca się w eksploatacji zaopóźnionych światów dostała cztery planety C. Teraz kategoria D...

Branzowcy z Królowej przesunęli się do przodu wraz z garstką innych niezależnych handlowców i stanęli tuż przy platformie.

Rip szturchnął Dana i szepnął mu na ucho:

-Cofort!

Słynny Wolny Posrednik był niezwykle młodym człowiekiem i bardziej przypominał nieustepliwego oficera Patrolu niż Posrednika. Dan zauważył, że miotacz doskonale przylegał mu do bioder - na pewno nigdy się z nim nie rozstawał. Poza tym, choć krążyły legendy na temat jego bogactwa, nie różnił się od innych Wolnych Posredników. Nie nosił żadnych pasków na nadgarstku, obrączek czy kolczyków, tak jak to było teraz modne wśród bogatszych Branzowców, a jego tunika była równie znoszona jak tunika Kapitana Jellico.

-Cztery planety kategorii D - przerwał Danowi rozmyślanie głos oficera Inspekcji. - Numer pierwszy: cena wywoławcza Federacji - dwadzieścia tysięcy kredytów.

Rozległo się pełne rozczarowanie westchnienie członków załogi Królowej. Nie ma sensu próbować - z tak wysoką ceną wywoławczą nie zasłoby daleko. Ku zdumieniu Dana Cofort też nie licytował i planetę sprzedano Posrednikowi ze Strefy Konca za pięćdziesiąt tysięcy.

Na planetę numer dwa Cofort zareagował natychmiast i szybko podbił cenę do stu

tysiecy. Teoretycznie było rzeczą niemożliwą, aby ktokolwiek z biorących udział w aukcji miał dostęp do zapieczętowanych mikrofilmów, ale załoga Krolowej zaczęła się teraz zastanawiać, czy Cofort przypadkiem nie był dokładnie poinformowany o wszystkim, co się na nich znajdowało.

-Planeta numer trzy, kategoria D. Cena wywoławcza Federacji: piętnaście tysięcy.

No, to już znacznie lepiej! Dan był pewien, że tym razem Van Ryck zaliczy się. I rzeczywiście, tylko że Cofort podniósł stawkę z trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy i to on kupił planetę. Maja jeszcze jedną szansę. Wszyscy stanęli za plecami Van Rycka, jak gdyby wspierali go w walce na śmierć i życie.

-Planeta numer cztery, kategoria D. Cena Federacji: czternaście tysięcy.

-Szesnaście - krzyknął Van Ryck, zanim jeszcze oficer Inspekcji wypowiedział ostatnią sylabę.

-Dwadzieścia - odezwał się tym razem nie Cofort, ale jakiś nieznany, ciemnowłosy człowiek.

-Dwadzieścia pięć - licytował Van Ryck.

-Trzydzięci - przebijal ten drugi.

-Trzydzięci pięć - głos Van Rycka brzmiał tak pewnie, jakby załoga Krolowej dysponowała nieograniczonymi funduszami.

-Trzydzięci sześć - padło z ust przeciwnika.

-Trzydzięci osiem - to wszystko, co Van Ryck mógł zaoferować.

Zapadła cisza. Dan zauważył, jak Cofort podaje swój kwit i zabiera dwa pakiety mikrofilmów. Tajemniczy, ciemnowłosy człowiek pokrecił przecząco głową, gdy oficer Inspekcji zwrócił się w jego stronę. A więc wygrali!

Przez moment załoga Krolowej nie mogła uwierzyć w swój dobry los. W końcu Kamil wyrzucił z siebie okrzyk radości, a zwykle zrownoważony Wilcox walnął Kapitana po plecach. Van Ryck wszedł na platformę, żeby załatwić formalności. Potem podekscytowani opuścili rynek i wdrapali się na ślizgacze z jedyną tylko myślą: żeby jak najszybciej dostać się na Krolową i sprawdzić, co kupili.

Rozdział 3. - Ryzyko

Wszyscy zebrali się ponownie w mesie, jedynym wystarczająco dużym pomieszczeniu na Krolowej. Tang Ya ustawił czytnik na stole, a Kapitan Jellico rozciął pakiet i wyjął małą

rolke filmu. Dan przekonał się później, że wielu z nich wstrzymało wtedy na długą chwilę oddech w oczekiwaniu na to, co mieli zobaczyć w powiększeniu na ścianie. -Planeta Otchlan, jedyna nadająca się do zamieszkania spośród trzech planet systemu złotych gwiazd - rozległ się w miesie monotony głos jakiegoś znudzonego urzędnika Inspekcji.

Na ścianie ukazał się obraz trojplanetarnego systemu ze słońcem w centrum. Żółtym słońcem - planeta mogła więc mieć klimat podobny do klimatu Ziemi. Radość Dana nie miała granic. Może jednak rzeczywiście dopisało im szczęście?

-Otchlan - odezwał się Rip. - To na pewno nie jest szczęśliwa nazwa!

Dan nie mógł mu jednak przytaknąć. Połowa planet na szlakach handlowych miała przecież dziwaczne nazwy. Każdy człowiek z Inspekcji mógł się popisać swoją pomysłowością w tej dziedzinie.

-Współrzędne - tu nastąpił szereg liczb, które szybko zapisał Wilcox, to jego zadaniem było wyznaczenie kursu na Otchlan.

-Klimat przypomina zimniejszą strefę Ziemi. Atmosfera... - tu znowu cyfry, przedmiot zainteresowania Tau. Dan domyślał się jedynie, że ten szczególny układ cyfr oznacza warunki, w których istoty ludzkie mogły żyć i pracować.

Obraz na ekranie zmienił się. Równie dobrze mogli się teraz unosić nad planetą - zdjęcia były trójwymiarowe i stwarzały pozory rzeczywistości. To, co ujrzeli wyrwało z ich ust okrzyki przerażenia.

Nie mieli żadnych wątpliwości: powodem tych brązowo-szarych plam, które szpeciły powierzchnię ładu, mogła być jedynie wojna. Wojna tak rozległa i straszliwa, że nikt nie był w stanie jej sobie wyobrazić.

-Spalona! - krzyknął Tau, ale zagłuszyły go słowa wzburzonego Kapitana:

-To ohydny podstęp!

-Chwileczkę! - wrzasnął jak mógł najgłośniej Van Ryck i wyciągnął swoją wielką dłoń w stronę przycisku na czytniku. - Zrobmy zbliżenie. Trochę na północ, wzdłuż tych blizn po pożarach.

Kula na ekranie zbliżyła się i powiększyła do tego stopnia, że jej kontury zniknęły i mieli wrażenie, że właśnie schodzą do lądowania. Straszne spustoszenie spowodowane dawno temu przez wojnę było teraz oczywiste. Ziemia była wypalona i być może ciągle toksyczna z powodu opadów radioaktywnych. Ale Szef Ładowni miał intuicję: wzdłuż straszliwych blizn na północy ciągnął się szeroki pas zieleni o niezwykłym odcieniu. Van Ryck westchnął z satysfakcją.

-Nie wszystko stracone - stwierdził.

-Rzeczywiście - gorzko odparł Jellico. - Jest tam akurat tyle roślinności, żebyśmy nie mogli stwierdzić oszustwa i domagać się odszkodowania.

-Może jakieś ruiny Przodków? - zasugerował niesmiało Rip.

-Nie pracujemy dla muzeum - odparł krótko Kapitan wzruszając ramionami. - Dokąd mielibyśmy się udać z tymi zabytkami? Na pewno nie na Naxos. I jak się stąd wydostaniemy, nie mając gotówki na jakiś ładunek?

W ten sposób uswiadomił im wszystkie zły strony obecnej sytuacji. Byli właścicielami praw do handlu z planetą na dziesięć lat. A planeta nie prowadziła prawdopodobnie żadnego handlu. Zapłacili za te prawa gotówka potrzebna do zdobycia ładunku i być może nie będą w stanie odlecieć z Naxos. Zaryzykowali. Ryzykują przecież wszyscy Posrednicy. Ale oni przegrali.

Jedynie Szef Ładowni nie wyglądał na zniechęconego. Ciągle przyglądał się Otchlani.

-Nie zalamujmy się w połowie drogi - powiedział łagodnie. - Inspekcja nie sprzedaje planet, z których nie można mieć korzyści.

-Nie, skądże, na pewno nie Kompaniom - skomentował Wilcox. - Ale kto wysłucha skargi Wolnego Posrednika? No, chyba że skarżącym jest Cofort!

-Ja jednak mimo wszystko twierdzę - kontynuował spokojnie Van Ryck - że powinniśmy zbadać te planety.

-Tak? - w oczach Kapitana była wściekłość. - Chcesz, żebyśmy wszystko stracili? Otchlania jest wypalona i trzeba ją wykreślić z naszych planów. Sam doskonale wiesz, że na planetach Przodków, które brały udział w wojnie, nie ma życia.

-Większość z nich to teraz tylko góry skały - zgodził się Van Ryck.

-Wygląda jednak na to, że nasza planeta nie została potraktowana tak jak inne. W końcu, co my wiemy o Przodkach? Tyle, co nic! Wymarli setki, a może tysiące lat przed naszym wejściem w Kosmos. Byli wspaniałą rasą, rządili całymi systemami słonecznymi, po czym zniknęli nagle w czasie wojny, która pozostawiła jedynie wymarłe planety i wygasłe słońca. To wszystko. Ale może Otchlania została zaatakowana w ostatnich latach tej wojny, kiedy ich potęga chyliła się już ku upadkowi? Widziałem inne spalone planety: Hades i Hel, Sodome i Szatana. Pozostał z nich tylko popiół. A na Otchlani jest roślinność. I ponieważ nie jest tak strasznie zniszczona jak inne, myślę że możemy tam na coś trafić...

Chyba mu się udało, pomyślał Dan patrząc na twarze kolegów siedzących przy stole. Może po prostu żaden z nas nie chce uwierzyć, że nas oszukano? Chcemy mieć nadzieję, że

wygramy. Jedynie Kapitan Jellico ciągle był sceptycznie nastawiony do słów Van Rycka.

-Nie wolno nam ryzykować - powtórzył. - Stac nas tylko na jedną podróż, dosłownie jedną. Jeżeli uda nam się dotrzeć na Otchlan i nie będziemy mieli ładunku powrotnego... co - uderzył pięścią w stół - będzie z nami kiepsko!

Steen Wilcox chrząknął głośno, co zwróciło uwagę wszystkich.

-Jest jakaś szansa, że dogadamy się z Inspekcją? - zapytał.

Kamil zaśmiał się lekceważąco.

-Czy słyszałeś o tym, żeby ktokolwiek z Federacji zrezygnował z gotówki, gdy już ją miał w kieszeni?

Nikt mu nie odpowiedział. Kapitan Jellico wstał, ale wydawał się jakiś niższy, jakby przygniotł go ciężar odpowiedzialności za załogę.

-Spotkam się z nim rano. Pojdziesz, Van? Szef Ładowni skinął głową.

-W porządku, pójdę. Ale nie wierzę, żeby to w czymś pomogło.

Dan znowu był przy władzy i patrzył w noc rozświetloną dwoma bliźniaczymi księżycami Naxos.

-Do stu piorunów, nic się nie układa!

To Kamil. Dan był jednak pewien, że tych słów nie skierował do niego. I okazało się w sekunde później, że istotnie, nie on był ich adresatem.

-Nie przeklinaj losu, poki nie masz powodów - padła odpowiedź Ripa. - Ta planeta nie jest doszczętnie spalona. Widziałeś fotografie Helu i Sodomy, prawda? Nic z nich nie zostało, tak jak powiedział Van. A ta Otchlan ma trochę zieleni. Czy pomyślałeś kiedyś, Ali, co by było, gdybyśmy znaleźli ślady po Przodkach?

-No coż - ta myśl najwyraźniej spodobała się Kamilowi. - Ale czy prawa pośrednictwa znaczą tyle, co prawa własności takich znalezisk?

-Van powinien wiedzieć - to jego zajęcie. Ale chwileczkę - teraz dopiero Rip dostrzegł Dana - jest tu Thorson. Co o tym sądzisz, Dan? Gdybyśmy znaleźli skarby Przodków, czy moglibyśmy rościć sobie do nich prawo?

Dan zmuszony był przyznać się, że nic mu na ten temat nie wiadomo. Przyrzekł sobie jednak, że zaraz zacznie szukać odpowiedzi w tasmotece zasad i regulaminów Szefa Ładowni.

-Nie sadze, zeby kiedykolwiek pojawila sie taka kwestia - powiedzial powatpiewajaco.- Czy w ogole znaleziono kiedys cos oprócz pustych ruin? Planety, na których Przodkowie mieli swoje instalacje, to właśnie te wypalone.

-Ciekawe, jacy oni byli - Kamil oparł się o pokrywe wjazdu i spojrzal na mrugające światła miasta. - Wszystkie ludzkie rasy w Galaktykach pochodzą z kolonii Ziemi. Te pięć pozaziemskich, które znamy, nie ma pojęcia o Przodkach. Jeśli pozostawili następców, to my jeszcze się z nimi nie skontaktowaliśmy. A poza tym - Kamil zamilkł na chwilę, zanim dodał: - może nawet dobrze, że nie znaleziono dotychczas żadnych instalacji. Mija dopiero dziesięć lat od Wojny Kraterów.

Jego słowa rozplynęły się w ciszy, w której było coś zatrważającego; coś, czego Dan nie mógł dokładnie określić, choć doskonale rozumiał sens wypowiedzi Kamila. Ziemianie walczyli zapamiętali. Wojna Kraterów na Marsie była tylko koncówką drugich zmagania między rodzimą planetą i kolonistami. Federacja utrzymywała teraz chwiejny pokój, a ludzie Branzy usiłowali utrwalic ten stan, zanim następny i bardziej morderczy konflikt zrujnuje Służbę, a być może i całą cywilizację.

Taki właśnie mógł być koniec ich niestabilnego świata, gdyby bron, która władali niegdyś Przodkowie, wpadła w nieodpowiednie ręce. Słońce byłoby wówczas gwiazda spopielonych planet...

-Tak, mielibyśmy problemy, gdybyśmy znaleźli! bron - Rip też o tym rozmyślał. - Ale przecież oprócz broni mogli zostawic coś jeszcze. I może! właśnie na Otchlani.

Kamil wyprostował się.

-Jasne, może pozostawili tam skarbicę z klejnotami Thorka i jedwabiem Lamgrima. Albo chociaż ich równowartość! Nie sadzę jednak, żeby Kapitan zdecydował się na takie poszukiwania. Jest nas dwunastu i mamy tylko jeden statek. Jak myślicie, jak długo potrwaloby przeczesanie całej planety? Poza tym, czy zapomnieliście już, że nasze szperacze potrzebują paliwa? Czy, na przykład, spodobałoby się wam zgubic drogie tutaj, gdzieś na bezdrożach Naxos? I czy tak łatwo byłoby wam wtedy zamienic się w farmerów, żeby przetrwać? Pewnie nikt nie byłby zadowolony...

Dan przyznał mu w duchu rację. Nie bardzo miał ochotę pakowac się w taką historię. A gdyby Królowa rzeczywiście popadła w tarapaty i nie mogła wydostac się z portu z powodu braku pieniędzy? Nawet nie dostałby swojej wypłaty, żeby jakos przetrwać i zaciagnac się na inny frachtowiec. Jego koledzy myśleli zapewne o tym samym.

W godzinę czy dwie później Dan leżał w swojej koi i rozmyślał. Był zdziwiony faktem, że tak szybko runęły wszystkie nadzieje, które wiązali z zakupem Otchlani. Gdyby tak ta planeta okazała się być tym, za co ja początkowo uznali, albo gdyby chociaż mieli wystarczające zapasy, żeby tam dotrzec i sprawdzic, co kupili... Alez... - Dan usiadł nagle -

był jeszcze ten drugi Posrednik, który brał udział w licytacji! Może można by go namówić, żeby kupił od nich Otchlan z jakas zniżką...

No tak, ale przecież planeta jest spalona - nikt jej nie weźmie nawet za połowę tego, co zapłacili. Ryzyko było zbyt duże. Rozsądny Posrednik nie wybiera się w przestrzeń, jeśli nie ma zabezpieczonego powrotu. Tylko człowiek z zasobami Coforta mógł podjąć to ryzyko, a Cofort nie był przecież w ogóle zainteresowany tą "transakcją".

Ranek następnego dnia posępna załoga zjawiała się w mesie. Wszyscy starannie unikali szczytu stołu, gdzie siedział Kapitan Jellico, równie ponury jak pozostali. Saczył z filiżanki tajemniczy napar Mury podawany tylko w wyjątkowych okazjach. Steward uznał zapewne, że wszyscy potrzebują pokrzepienia.

Wszedł Van Ryck. Starannie zapięta tunika i odświeżona czapka oficera świadczyły o tym, że już się przygotował do wizyty w mieście. Jellico wstał marudząc coś pod nosem i odsunął filiżankę. Miał tak grobową minę, że nikt z załogi nie miał odwagi życzyć im powodzenia, gdy opuszczali statek.

Dan wszedł do ładowni. Przyglądał się pustym polkom i robił pomiary na własny użytek. Jeśli będą mieli szczęście i dostaną płatny ładunek, musi być przygotowany na jego rozmieszczenie. Ładownia miała dwa sektory: szeroka komora stanowiąca jedną trzecią statku oraz niewielka kajuta, w której można było przechowywać luksusowe lub drogie towary.

Na tym samym poziomie był nieduży pokój zastawiony pojemnikami zawierającymi ich "towary handlowe" - drobiazgi, które miały przyciągać uwagę istot z zaawansowanych cywilizacji. Trzymali tam więc różne świecidełka, ozdoby ze szkła i emaliowanego metalu, mechaniczne zabawki i inne gadzety. Dan sprawdził swoją pamięć i otworzył skrzynie. Van Ryck zabrał go, co prawda, dwa razy na przegląd, ale rodzaj i jakość towarów - oraz wiedza i wyobraźnia Szefa Ładowni, który zebrał te kolekcje, nie przestawiały go zadziwiać. Były tu prezenty dla wodzów i królów, błyskotki dla prymitywnych istot. Oczywiście ich ilość była ograniczona, ale wszystko zostało wybrane z ogromną rozwagą. Dan nie przypuszczał, że potrzeba było takiej znajomości psychologii ras ludzkich i pozaziemskich, aby zdobyć sobie klientów na gwiazdnych szlakach.

Ale przecież na Otchłani takie towary są niepotrzebne. Było rzeczą niemożliwą, aby wojna przetrwała jakkolwiek inteligentna forma życia. Gdyby mieszkaly tam jakieś istoty, grupa inspekcyjna na pewno by je znalazła, a to podniosłoby wartość planety. Możliwe nawet, że w ogóle nie wystawiono by jej na licytację, dopóki ludzie Rządu nie zbadaliby wszystkiego dokładnie.

Dan próbował zapomnieć o poniesionej przez nich klęsce studiując "towary kontaktowe", jak nazywali je Branzowcy. Van Ryck był niezmiernie cierpliwy podczas wspólnych przeglądów magazynu i aby podkreślić przydatność każdego przedmiotu, opowiadał o

związanych z nim wydarzeniach z własnego życia. Niektóre rzeczy były dziełem członków załogi.

Długie podróże w przestrzeni, w szczelnie zamkniętym statku, z leniuchującą załogą, musiały z czasem stać się monotonne. Nuda prowadziła do obłędu, a ci, którzy wędrowali wśród gwiazd, szybko przekonywali się, że aktywność umysłowa lub manualna była jedynym ratunkiem. Istniał, na szczęście, cały wachlarz zajęć, którym można było poświęcić czas w Kosmosie.

Na pokładzie Królowej Kapitan Jellico był ksenobiologiem. Jego wiedza w tym zakresie była daleko bardziej rozległa niż wiedza przeciętnego amatora. Nie mógł, co prawda, ożywić swoich okazów - jedynym jego żywym znaleziskiem był niebieski Hoobat uwięziony w klatce - lecz trójwymiarowe zdjęcia form życia zwierzęcego na nieznanymi planetach uczyniły go sławnym wśród naturalistów. Konik Steena Wilcoxa stanowiły zmagania z matematyką: pracował nad transpozycją reguł matematycznych w muzyczne układy. Najdziwniejszy sposób spędzania czasu miał - zgodnie z tym, co odkrył Dan - medyk Tau. Gromadził on wszystko, co dotyczyło magii. Rozmawiał ze znachorami z obcych, prymitywnych kultur i próbował odkryć prawdę o ich bóstwach.

Dan wziął do ręki dzieło Mury: plastyczno-kryształową kulę, w której pływał jakiś owad o tęczowych skrzydłach. Było to stworzenie całkowicie Danowi nieznane, choć - z tego, co widział - żywe. Katem oka dostrzegł jeszcze jedno zwierzę, kota Sinbada, jedynego kota na Królowej. Teraz, siedząc na jednej z polek, obserwował młodego Branzowca. Ze wszystkich ziemskich zwierząt kot najczęściej wyruszał z człowiekiem w Kosmos.

Koty przyzwyczały się do przyspieszenia, swobodnego spadania i innych niewygod związanych z lotami międzyplanetarnymi z taką łatwością, że ludzie tworzyli niesamowite legendy na temat ich pochodzenia. Jedną z nich, na przykład, podawała, że *Domestica Felinus* nie wywodził się z Ziemi, ale był potomkiem tych, którzy przetrwali wczesną i zapomnianą już inwazję i tak naprawdę loty kosmiczne stanowiły dlań powrót do czasów dawnej świetności.

Sinbad jednak służył na tym statku konkretnemu celowi i uczciwie na siebie zarabiał. Różne szkodniki, nie tylko szczury i myszy ziemskie, ale również inne i bardziej niezwykle stworzenia z obcych planet, często dostawały się na pokład razem z ładunkiem i pozostały w niezauważone przez całe tygodnie, a nawet! miesiące. I tutaj Sinbad miał pole do popisu. Nikt z załogi nie orientował się, gdzie i kiedy odbywało się polowanie, ale jego efekty były widoczne: Sinbad przynosił wszystkie gryzonie Van Ryckowi. Opowiadano potem, że niektóre z tych stworów były wręcz upiorne.

Dan wyciągnął dłoń w stronę kota, a Sinbad obwachał go leniwie. Chyba zaakceptował tę nową istotę ludzką: jej obecność tutaj była właściwa i pożądana. Potem kot wyprzeżył się i zeskoczył lekko z pudła, udając się na swój codzienny, regularny patrol. Zatrzymał się przy beli materiału i zaczął weszyc. Dan pomyślał, że może powinien ją rozwinąć, umożliwiając

Sinbadowi dokładniejsze jej przeszukanie, ale rozległ się dzwonek gongu i kot, który nigdy nie przeoczył wezwania na posilek, w mgnieniu oka był za drzwiami. Dan ruszył za nim nieco bardziej dostojnym krokiem.

Ani Kapitan, ani Szef Ładowni nie wrócili jeszcze, toteż atmosfera przy stole była śmiertelnie poważna. W porcie stały dwa statki Wolnych Posredników i dlatego każdy ładunek, na który nie skusiły się Kompanie, byłby bardzo cenna zdobycz. Nagle, nad ich głowami zabrzmiał donosny dzwonek. Ktoś był przy władzy.

Steen Wilcox wyskoczył na korytarz, a zaraz za nim pobiegł Dan. Podczas nieobecności Kapitana i Van Rycka na pokładzie, Wilcox pełnił funkcję dowodcy Krolewej, a Dan reprezentował sektor ładowni.

U stop rampy stał ślizgacz, za sterami którego siedział kierowca, natomiast wysoki, chudy i opalony na brąz człowiek wspinał się na pomost.

Ubrany był w wytartą, skorzaną tunikę i sztruksowe bryczesy oraz sięgające ud, buty z wilczej skóry. Słowem - miał na sobie typowy strój pioniera. Nie nosił jednak kapelusza z szerokim rondem, charakterystycznego dla ludzi z tego miasta. Na głowie miał metaloplastyczną haubę z odpinaną maską wyposażoną w odbiornik krótkofalowy. Taki sprzęt posiadali wyłącznie oficerowie Inspekcji.

-Kapitan Jellico? - jego ton był szorstki, apodyktyczny, ton człowieka, który przywykł do wydawania rozkazów.

Astronawigator pokręcił przecząco głową.

-Kapitan zszedł na planetę, sir.

Przybysz stanął i bebnął palcami po szerokim pasie z kieszeniami. Było jasne, że nieobecność dowodcy zirytowała go bardzo.

-Kiedy wróci?

-Nie wiem. - Wilcox nie był serdeczny. Najwidoczniej gość nie spodobał mu się.

-Można was wynająć? - padło zaskakujące pytanie.

-Będzie pan musiał porozmawiać z Kapitanem. - Chłód Wilcoxa wzrastał.

Palce obcego coraz szybciej tancyły po pasie.

-Dobrze, rozmawiam z waszym Kapitanem. A możecie chociaż powiedzieć, gdzie jest?

W tym momencie dostrzegli następnego ślizgacza, który zbliżał się do Krolewej i tym razem wiedzieli, kto siedzi za jego sterami. Wrócił Van Ryck.

-Za chwile sie pan dowie. Jest juz nasz SzeF Ladowni.

-Ach tak... - Mezczyzna odwrocil sie. Jego gietkie cialo poruszalo sie z zaskakujaca zwinnościa.

Dan stal sie podejrzliwy. Ten obcy byl niezwykle intrygujaca postacią. Jego ubranie sugerowalo, ze mogl byc pionierem lub badaczem, a jego ruchy przypominaly ruchy czlowieka zaprawionego w walce. Dan przypomnial sobie pewien obraz z przeszlosci: teren cwiczen w Syndykacie w gorace, letnie popoludnie. To przygarbienie i ten szybki ruch reka wiele mu mowily: obcy musial byc wojownikiem. W dodatku zapewne zaznajomionym z obsluga nuklearnych miotaczy... Ale przeciez ta bron byla nielegalna! Zaden cywil nie powinien wiedziec, jak sie jej uzywa...

Van Ryck okrazil stojacy pod rampa slizgacz i wszedl na gore swym zwyklym, dystyngowanym krokiem.

-Szuka pan kogos?

-Czy wasz statek przyjmie czarter? - zapytal przybysz po raz wtory.

Krzaczaste brwi Van Rycka drgnely.

-Kazdy frachtowiec jest otwarty na dobra propozycje - odpowiedzial spokojnie. - Thorson - przesunal wzrok na Dana nie zwazajac na zniecierpliwienie przybysza - jedz do Zielonego Ptaka i popros Kapitana, zeby wrocil.

Dan zbiegl z rampy i wsiadl do slizgacza Van Rycka. Wrzucajac bieg zerknal jeszcze za siebie i zobaczyl, ze obcy wraz z SzeFem Ladowni wchodzi na poklad Krolowa.

Zielony Ptak to kawiarnia i restauracja zarazem. Kapitan Jellico siedzial przy stole w poblizu drzwi i rozmawial z czlowiekiem, ktory byl ich przeciwnikiem w czasie licytacji Otchlani. Gdy Dan wchodzil do mrocznego pomieszczenia, widzial jak Posrednik kreci przeczaco glowa i wstaje od stolu. Kapitan nie probowal go zatrzymac. Przesunal jedynie o pare centymetrow stojacy przed nim kufel, koncentrujac sie na tej czynnosci tak bardzo, jakby to bylo najistotniejsze w jego zyciu zadanie.

-Prosze pana - Dan polozyl reke na stole, chcac w ten sposob zwrocic na siebie uwage.

Kapitan spojrzal w gore. Jego oczy byly ponure i zimne.

-Tak?

-Ktos jest na pokladzie Krolowej, sir. Pyta o czarter. Pan Van Ryck przyslal mnie po pana.

-Czarter! - kufel przewrocil sie i spadl na podloge. Kapitan rzucil jedna z miejscowych

metalowych monet na stol i juz byl przy drzwiach. Dan biegł za nim.

Jellico chwycił ster slizgacza i ruszył z oszalamiającą prędkością. Zanim mineli miasto, zwolnił i kiedy podjeżdżali do statku, nikt nie mógł się domyslić, że przebyli tę trasę w niewiarygodnym pośpiechu.

Zebranie załogi odbyło się w dwie godziny później. Przybysz zajmował miejsce obok Kapitana, który powiadomił wszystkich o rezultacie rozmów.

-To jest doktor Salzar Rich - przedstawił gościa Jellico. - Jest jednym z ekspertów Federacji w zakresie badań nad Przodkami. Wydaje się, że Otchlan nie jest tak spalona, jak myśleliśmy. Doktor powiadomił mnie, że Inspekcja znalazła całkiem dobrze zachowane ruiny na północnej polkuli. Naszym zadaniem będzie przewieźć tam całą ekspedycję.

-I jeszcze coś - uśmiechnął się dobrodusznie Van Ryck. - Ten fakt w żaden sposób nie koliduje z naszymi prawami pośrednictwa. My również będziemy mogli badać teren.

-Kiedy start? - zapytał Johan Stotz.

-Kiedy będzie pan gotów, panie doktorze? - zwrócił się do archeologa Jellico.

-Jak tylko zaokrętuje pan moich ludzi i załaduje sprzęt, Kapitanie. Mogę przywieźć swoje zapasy natychmiast.

Van Ryck wstał.

-Thorson - Dan podszedł do Szefa - przygotowujemy się do załadunku. Proszę przysłać swoje rzeczy, kiedy pan zechce, doktorze.

Rozdział 4. - Ładowanie

Podczas następnych paru godzin Dan dowiedział się więcej o rozmieszczeniu ładunku niż w czasie długich studiów w Syndykacie. Załoga Królowej, i tak nadmiernie stłoczona, musiała w dodatku zrobić miejsce dla Richa i jego trzech asystentów. Towary zostały umieszczone w dużej ładowni. Większość prac wykonali ludzie Richa, jako że doktor uświadomił wszystkim, jak bardzo delikatne przewozi urządzenia. Nie miał zamiaru pozwolić, jak twierdził, żeby pracownicy kosmodromu lekkomyślnie je przerzucali.

Ostateczne rozmieszczenie ładunku wewnątrz statku było jednakże wyłącznie sprawą załogi i Van Ryck dał to archeologowi jasno do zrozumienia. Amatorzy byli im w tej pracy niepotrzebni. Tak więc Dan i Kostj pocili się, szarpali i przeklinali, a Van Ryck wcale nie przyglądał się temu beczynnemu. Wreszcie cały towar został rozłokowany zgodnie z zasadami rozłożenia ciężaru przy starcie. Mogli więc zabezpieczyć pokrywę luku na czas trwania lotu.

Gdy wchodzili na góre, zauwazyli w mniejszej komorze ladowni Mure. Montowal hamaki dla asystentow Richa. Warunki mieszkalne byly surowe, ale archeolog zostal o tym uprzedzony, zanim odcisk jego kciuka znalazl sie na umowie o czarter. Na Krolowej nie bylo kajut dla pasazerow, ale zaden z przybyszow nie narzekal.

Podobnie jak ich przywodca, sprawili oni na Danie dziwne wrazenie. Wydawali sie byc nowym rodzajem ludzi. Byli zapewne bardzo wytrzymali, a te ceche powinien posiadac kazdy czlowiek, ktorego wysylano do odleglych stref Wszechswiata w poszukiwaniu sladow zaginionych ras. Jeden z czlonkow grupy nie nalezal do rodzaju ludzkiego: skora o zielonkawym odcieniu i brak wlosow na glowie sugerowaly, ze byl to Rigelianczyk. Jego dziwaczne, luskowate cialo odziane bylo jednak normalnie. Dan usilowal nie przygladac mu sie zbyt natarczywie, ale nie bardzo mu sie to udawalo. Od tylu podszedl Mura i dotknal jego ramienia.

-W twojej kabinie jest doktor Rich. Zostales przeniesiony do kacika w magazynie. Chodz ze mna...

Nieco rozdrazniony lekcewazeniem jego zdania w tak istotnej kwestii jaka jest miejsce noclegu, Dan poslusznie podazyl za stewardem. Okazalo sie, ze z nim bedzie dzielil kwatere. Pomieszczenie to bylo czescia kuchni, w ktorej znajdowaly sie zapasy zywnosci, zamrazarki oraz ogrod wodny, przedmiot dumy Mury i Tau.

-Doktor Rich - tłumaczyl po drodze steward - chcial byc blisko swoich ludzi. Bardzo nalegal...

Dan spojrzal z gory na swego towarzysza. Po co bylo to ostatnie zdanie?

Bardziej niz ktokolwiek inny z zalogi, Mura stanowil dla Dana zagadke. Steward byl w jakimis ulamku Japonczykiem, a wszyscy przeciez doskonale znaja przerazajaca historie tych wysp lezacych niegdys na drugim brzegu morza, ktore bylo takze morzem rodzinnego kraju Dana. Japonia przestala istniec w ciagu dwoch dni i jednej nocy - zalaly ja fale i lawa. Zostala wymazana z map swiata.

-Tutaj - Mura, przez polotwarta pokrywe wlazu, pokazal miejsce.

Steward nie zrobil nic, zeby ozdobic sciany swojej kajuty i ascetyczna prostota tego miejsca czynila je wprost niegoscinnym. Cos jednak przykulo uwage Dana: na rozkladanym stole stala kula z plasto-kryszталu. Najciekawsza jednak byla jej zawartosc.

W samym centrum trwal w bezruchu, jakby utrzymywany przez tajemnicze sily, motyl z szeroko rozpostartymi, kolorowymi skrzydlami. Mimo ze byl zamkniety na zawsze, sprawial wrazenie pulsujacego zyciem.

Mura, zauwazajac zainteresowanie Dana, pochylil sie do przodu i lekko stuknal w powierzchnie kuli. Skrzydla drgnely, uwieziona pieknosc poruszyla sie o tysieczna czesc

milimetra.

Dan oddychał głęboko. Widział już kule w magazynie, wiedział, że Mura kolekcjonował owady pochodzące z różnych stref i tworzył dzieła sztuki. Oprócz tych, były jeszcze dwie na pokładzie Krolowej: jedna stanowiła miniaturowy, podwodny świat z liśćmi brunatnicy skreconymi tak, że tworzyły schronienie dla lawicy ozdobnych owado-ryb, do których podkradało się jakieś czworonożne stworzenie ze skrzydło-podobnymi pletwami i ohydny, może śmiertelny, ostrzem ogona. To arcydzieło zajmowało honorowe miejsce w kajucie Van Rycka. W drugiej kuli stał szereg małych wieżyczek, między którymi przemykały przezroczyste owady o perłowatym połysku. Był to szczególny skarb oficera łączności.

-To każdy mógłby zrobić - powiedział Mura wzruszając ramionami. - Równie dobry sposób na spędzenie czasu, jak każdy inny...

Podniósł kule, zawinał ją w tkaninę ochronną i ułożył w szufladzie z przegrodami, zabezpieczając ją tym samym na czas startu. Potem odsunął następną pokrywę wjazdu i pokazał Danowi jego nową siedzibę.

Był to dodatkowy magazyn, teraz opróżniony przez Mure. Wisiał w nim już hamak i stała niewielka szafka. Ta nowa kwatera nie wydała się Danowi tak wygodna, jak poprzednia, ale też nie była gorsza od tych, które przydzielano mu na pokładach statków treningowych.

Wystartowali przed świtem i byli już daleko w kosmosie, gdy Dan obudził się z głębokiego snu. Zdażył dotrzeć do mesy, gdy zabrzmiał sygnał ostrzegawczy. Natychmiast kurczowo chwycił się stołu i cierpliwie znosił zawrót głowy, który oznaczał, że przeskoczyli w hiperkosmos. Na gorze, w sterowni Wilcox, Kapitan i Rip czuwają nad bezpieczeństwem całej wyprawy i nie mogą się zrelaksować, dopóki statek nie wejdzie na prawidłową elipsę.

Nie po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia astronautycznej kariery Dan zdecydował, że za żadną cenę nie zostanie astronawigatorem. Komputery oczywiście wykonują większość obliczeń, ale jedna minimalna pomyłka wystarczy, aby skierować statek na błędny tor i wylądować we wnętrzu planety zamiast na jej powierzchni. Wtłaczano mu do głowy teorie przebicia przez całe lata, zdolną przebrnąć przez wszystkie fazy wyznaczania kursu, lecz w głębi serca wątpił, czy kiedykolwiek znajdzie odwagę na to, żeby skierować statek w hiperkosmos i potem go stamtąd wyprowadzić.

Zmarszczył brwi i zaczął rozmyślać nad swoimi wadami i niedoskonałościami.

-Wreszcie! - asystent astronawigatora opadł z głębokim westchnieniem na krzesło. - Jesteśmy znowu w hiperkosmosie i nic się, dzięki Bogu, nie rozpadło.

Dan szczerze się zdziwił. Sam nie był astronawigatorem i mógł mieć pewne obawy, co do bezpieczeństwa statku, ale Rip był przecież specjalista i wykonywał, co do niego należy. Dlaczego więc się denerwował?

-Co sie stalo? - Dan pomyslal, ze moze rzeczywiscie istnieje jakies zagrozenie.

-Nic, zupełnie nic - Rip machnal reka. - Ale chyba wszyscy czujemy sie lepiej po tym skoku - zasmial sie teraz glosno. - Myslisz moze, ze my tego nie przezywamy? Moze nawet bardziej sie boimy niz ty, bracie. Co ty masz na glowie, poki nie wyladujemy na jakiejś planecie? Nic!

Dan najezył sie.

-Nic? Mamy tylko kontrolowac zapasy, wode, ladunek... - zaczal wymieniac swoje obowiazki. - Co za pozytek bylby z tego przebicia, gdybysmy nie mieli powietrza?

Rip skinal glowa.

-W porzadku. Nikt z nas nie jada tu za darmo. Chociaz... Ta podroz... - zamilkl nagle i zerknal przez ramie w strone drzwi.

-Czy spotkales kiedys archeologa, Dan? Asystent Szefa Ladowni zaprzeczyl.

-To moj pierwszy rejs, zapomniales? No a w Syndykacie nie ma zbyt wielu zajec z historii, tyle tylko, ile potrzeba w związku z posrednictwem.

Rip rozsiadl sie wygodnie na lawie i zaczal mowic ledwo slyszalnym szeptem:

-Zawsze interesowalem sie Przodkami. Mam tasmy z Podrozami Haversona i Inspekcja Kagle'a. To sa, jak dotychczas, najbardziej wyczerpujace opracowania. Jadlem dzis sniadanie z doktorem i przysiaglbym, ze on nigdy nie slyszal o Blizniaczych Wiezach!

Dan rowniez o nich nic nie slyszal, nie bardzo bylo I wiec dla niego jasne do czego zmierza Rip. Najwidoczniej na jego twarzy malowalo sie wyrazne zdziwienie, poniewaz astronawigator zaczal wyjasniac, o co chodzi.

-Blizniacze Wieze sa chyba najistotniejszym sladem po Przodkach. Odkryla je Inspekcja Federacyjna. Znajduja sie na Kruku, w samym srodku krzemowej pustyni. Maja okolo szescdziesieciu metrow wysokosci i wznosza sie pionowo w niebo. Eksperci stwierdzili, ze sa j wykonane z jednolicie przezroczystego tworzywa, ktore nie jest ani kamieniem, ani metalem, ma jednak wlasciwosci kazdego z nich. Rich calkiem dobrze udawal przede mna, ale jestem pewien, ze nic nie wie o Wiezach.

-Ale jesli one sa tak wazne... - Dan pojal wreszcie, co mogla znaczc ignorancja doktora.

-Tak. Dlaczego archeolog mialby nic nie wiedziec na temat najwazniejszego znaleziska w jego dziedzinie? To dopiero jest pytanie, prawda? Ciekawe, czy Kapitan go sprawdzil, zanim przyjal czarter.

Te wątpliwość Dan był w stanie rozwiązać.

-Jego identyfikator był w porządku. Przesłaliśmy dane do dowództwa Patrolu. Załatwili wszystkie formalności związane z ekspedycją, bo inaczej nie wystartowalibyśmy z Naxos.

Rip zrezygnował z tej linii rozumowania. Regulamin kosmodromu na każdej planecie Federacji był tak surowy, że można było mieć co najmniej 90-procentową pewność, że każdy, kto przeszedł przez kontrole, posiadał ważny identyfikator i czystą kartę w Patrolu. W dodatku, na planetach pogranicza, które często przyciągają kryminalistów i klusowników, kontrola jest jeszcze bardziej dokładna.

-Tylko, że on nie słyszał o Blizniaczych Wieżach - uparcie powtarzał Rip.

Ten argument rzeczywiście robił na Danie duże wrażenie. Jeżeli Rip twierdził, że doktor Rich nie jest tym, za kogo się podaje, to na pewno tak było. Dan poznał swego koleżkę dostatecznie dobrze, żeby nie mieć wątpliwości co do jego intuicji. W przestrzeni kosmicznej związek koleżeński ma zupełnie inny wymiar - trzeba mieć do siebie wzajemnie ogromne zaufanie, a tym samym - trzeba na wylot znać drugiego człowieka. Dan wiedział już więc, że w razie potrzeby na pewno poprze teorię Shannona.

-A co z prawem dotyczącym pozostałości po Przodkach? - zapytał po chwili Rip.

-Niezbyt wiele jest na ten temat w archiwum. Nigdy dotąd żaden Posrednik nie dokonał wielkich odkryć, toteż nikt nie rościł sobie praw do znalezisk.

-A więc nie ma precedensu, na który moglibyśmy się powołać, gdybyśmy znaleźli coś wartościowego?

-Ale także Inspekcja nie jest w najlepszej sytuacji - zauważył Dan. - Zgłosili przecież Otchlan na aukcję i tym samym wypuscili ją z rąk. Stracili również możliwość roszczenia Federacyjnych praw do planety. Tak mi się przynajmniej wydaje. To dopiero byłaby prawna gmatwanina!

-Cudownie skomplikowany przypadek! - zagrzmiał nad ich głowami Van Ryck. - Połowa prawników ze wszystkich systemów chciałaby zapewne zobaczyć taki proces. Na pewno ciągnąłby się latami, aż strony zainteresowane miałyby go serdecznie dosyć. Albo też zeszyłyby z tego świata. I właśnie dlatego podróżujemy sobie z Federacyjnym Prawem Roszczeniowym w naszym sejfie.

Dan uśmiechnął się szeroko. Mogł przypuszczać, że taki doświadczony Posrednik jak Van Ryck nie się wplatać w sytuację bez wyjścia. Potrafił zadbać o interesy swoje i swoich ludzi. Kto by pomyślał! Prawo Roszczeniowe do wszystkich znalezisk Otchłani!

-Na jak długo? - Rip ciągle powatpiewał.

-Normalny termin: rok i jeden dzien. Nie sadze, zeby mozliwosc odkrycia czegos niezwyklego robila na Inspekcji takie wrazenie jak na naszych pasazerach.

-A czy pan sadzi, ze cos ta a znajdziemy? - zapytal Dan.

-Nigdy nie probuje zgadywac, co znajdziemy na planecie - odpowiedzial spokojnie Van Ryck. - W naszym rzemiosle jest za duzo pulapek. Jesli czlowiek wychodzi z opresji calo, a w dodatku ma sprawny statek i rozsadny udzial w zysku, to Bogowie Przestrzeni sa dla niego bardzo laskawi i nie powinien prosic o wiecej.

Podczas kolejnych dni ludzie Richa trzymali sie w zasadzie osobno. Zuzywali tylko swoje zapasy i rzadko wychodzili z ciasnej kwatery. Nikogo tez do siebie nie zapraszali. Mura zauwazyl, ze wiekszosc czasu spedzaja spiac lub grajac w jakas hazardowa gre zaproponowana przez Rigelianczyka.

Chociaz doktor Rich jadal z zaloga Krolowej, jednak wpadal do mesy wtedy tylko, gdy nie bylo tam zbyt wielu ludzi. Ponadto, czy to za sprawa wyboru, czy przypadku, zazwyczaj spotykal przy posilku kogos z ekipy inzynieryjnej. Pod pretekstem studiowania przyszlego terenu badan probowal pozyczyc mikrofilm z danymi na temat Otchlani. Kapitan wyrazil zgode, ale zastrzegl, ze musi byc przy tym obecny Szeff Ladowni, czlowiek, ktorego bystre oczy widzialy wszystko.

Krolowa wyszla z hiperkosmosu zgodnie z planem, znalezli sie w systemie zoltych gwiazd. Dwie inne mety w tym ukkladzie lezaly tak daleko od slonca i tym samym zrodla ciepla, ze pokrywala je gruba i Warstwa lodu i nie bylo na nich znakow zycia. Otchlan krazyla natomiast po orbicie mniej wiecej w tej samej odleglosci od gwiazdy, co Mars w rodzimym systemie. Gdy zblizyli sie do orbity hamowania i stopniowo wytracali predkosc, oficer lacznosci wlaczyl ekranowizory na calym statku. Ci, ktorzy nie pelnili sluzby, siedzieli przywiazani do swoich amortyzatorow i wpatrywali sie w majaczacy w oddali swiat, ktory stopniowo wypelnial ekran.

Najpierw dostrzegli okropne, brazowoszare slady po pozarach. W miare jednak, jak statek przesuwal sie lagodnie w glab atmosfery, oczom obserwatorow ukazywaly sie platy zieleni i szaroniebieskie tafle morz lub jezior. Otchlan nie byla wiec calkowicie wymarla, choc niewatpliwie ucierpiala od wojny.

Gdy tak suneli ku planecie, dzien zmienil sie w noc i znowu nastal dzien. Jesliby mieli przestrzegac zasad ladowania obowiazujacych w nieznanym swiecie, to powinni szukac miejsca odleglego od osiedli, zeby najpierw moc przeszukac teren i dowiedziec sie czegos o mieszkancach. Ale na Otchlani nikt nie mieszkal, mogli wiec wyladowac tam, gdzie bylo im najwygodniej.

Wilcox przeprowadzil ich przez hiperkosmos, ale to Jellico mial umiescic statek w wybranym punkcie. Manewrowal tak, aby przysiasc na samej krawedzi wypalanej

powierzchni, z której niedaleko było do pasa roślinności.

Ladowanie wymagało zrecznosci nieporównywalnie większej niż schodzenie statku na kosmodromie,| gdzie droge wskazywały reflektory. Królowa miała za sobą niejedno takie doświadczenie. Jellico schodził ostrożnie, unosząc się na warkoczach płomieni, aż statek dotknął lądu. Wstrząs był niewielki, zważywszy okoliczności.

-Jesteśmy - zabrzmiał w interkomie głos pilota, I

-Wszystko w porządku - usłyszeli z maszynowni pozadany meldunek Stotza.

-Obowiązuje procedura numer dwa - kontakt z nieznaną planetą - zarządził Jellico.

Dan rozpiął pasy i ruszył do biura Van Rycka po rozkazy. Ledwo jednak dotarł do drzwi, gdy wpadł na doktora Richa.

-Jak szybko możecie zacząć wyciągać nasz towar? - zapytał odpowiedzi od Szefa Ladowni archeolog.

Van Ryck rozpiął dopiero pasy amortyzatora i spojrzał na gościa zaskoczony.

-Chcecie rozładowywać natychmiast?

-Oczywiście! Jak tylko otworzycie włazy! Van Ryck włożył na głowę swoją oficerską czapkę.

-Doktorze, przykro mi, ale my nie działamy aż tak szybko. A już nigdy nie spieszymy się na nieznaną planetę.

-Nie ma tu żadnych dzikusów. Poza tym Inspekcja potwierdziła, że planeta nadaje się do prowadzenia badań. - Rich stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Wyglądało to tak, jakby przez cały czas podróży w Kosmosie, jego chęć do pracy na Otchłani narastała i najwidoczniej teraz osiągnęła apogeum.

-Proszę się uspokoić, doktorze - rzekł niewzruszonym głosem Szef Ladowni. - Działamy zgodnie z rozkazami Kapitana. I nie oplaca się ryzykować niezależnie od tego, czy Inspekcja dała nam wolną rękę, czy nie. - Dotknął pokładowego interkomu wiszącego na ścianie tuż przy jego łokciu.

-Tu sterownia - usłyszeli Tanga.

-Szef Ladowni do sterowni. Czy teren jest bezpieczny?

-Nie mamy jeszcze meldunku. Zglebnik ciągle pracuje - brzmiała odpowiedź.

Doktor Rich walnął pięścią w drzwi.

-Zglebnik! - wybuchnal. - Macie raport Inspekcji i jeszcze bawicie sie zglebnikiem!

-I moze dlatego nadal zyjemy - odpowiedzial Van Ryck. - Zawsze sa dwa wyjscia z kazdej sytuacji: ryzykowne i to bezpieczne. My podejmujemy ryzyko tylko wtedy, gdy trzeba. - Pochylil sie w swoim fotelu. Dan oparl sie o sciane. Wszystko wskazywalo na to, ze nie bedzie pospiechu z wyladunkiem.

Doktor Rich, ktory przypominal w tej chwili uwiezionego w klatce Hoobata, ulubienca Kapitana (chociaz niezupełnie, bo nie zaczal jeszcze na nich pluc), odwrocil sie na piecie i ruszyl do kajuty, w ktorej czekali jego ludzie.

-No coz - Van Ryck pochylil sie nad pulpitem i ruchem glowy wskazal ekran - nie mozna tego nazwac przyjemnym widokiem.

W oddali widac bylo lancuch postrzepionych, szaroburzych gor, gdzieniegdzie zwieczonych sniezny-1 mi czapami. Podgorze bylo nierowne, wyszczerbione! przez waskie, krete doliny, w ktorych gardzielach! rozwijala sie chorobliwie blada roslinnosc. Nawet w swietle slonca to miejsce wydalo sie posepnej Doskonala sceneria dla jakiegos horroru, pomyslal Dan.

-Zglebnik zanotowal warunki umozliwiajace zycie - obwiescil nagle bezosobowy glos ze sterowni. Van Ryck ponownie dotknal interkomu.

-Szeł Ladowni do Kapitana. Czy grupy badawcze maja sie przygotowac?

Nie otrzymal jednak odpowiedzi na to pytanie, poniewaz doktor Rich zdazyl juz wrocic i wrzasnal w mikrofon.

-Kapitanie Jellico, tu Salzar Rich. Zadam, zeby pan natychmiast wydal moj towar! Natychmiast!

Zapadla absolutna cisza. Dan zastanawial sie przez moment, czy Kapitan byl az tak wsciekly, ze nie mogl wydobyć z siebie ani slowa. Nikomu przeciez nie! wolno zadac od Kapitana czegokolwiek. Nawet oficerowie Patrolu musieli uprzejmie prosic...

-Z jakiej to przyczyny, doktorze Rich? - ku zdziwieniu Dana glos dowodcy byl lagodny i spokojny.

-Powod? - wyrzucil z siebie czlowiek pochylony nad biurkiem Van Rycka. - Jak to! Przeciez musimy rozbic oboz przed noca!

-Ruiny na zachodzie - oglosil spokojnie Tang, nie baczac na podniesiony glos Richa.

Wszyscy trzej spojrzeli na ekran, z ktorego zniknely polnocne wzgorza, a pojawil sie zachodni horyzont, mieli przed soba spalona polac ziemi. Nieznana bron przodkow pociela

ja i wyzlobila glebokie rowy wypelnione szklistym, migocacym w sloncu zwirem. Na tym pustkowiu bylo jeszcze cos: bezladnie rozrzucone budowle siegajace az do pasa nietknietej roslinnosci. Ruiny tworzyly jaskrawa plame na tle wszechobecnej szarosci. Nawet z odleglosci trzydziestu kilometrow widac bylo sklocone kolory: ostra zielen, napastliwa czerwien oraz odcienie niebieskiego i zoltego. Ta mozaika wprawila trzech patrzacych w zdumienie, z ktorego pierwszy otrzasnal sie doktor Rich: moze dlatego, ze poruszal sie teraz po znanym sobie terenie.

-Tam - wycelowal palec w ekran - tam rozbijemy oboz!

Odwrocil sie ponownie w strone mikrofonu i oznajmil:

-Kapitanie Jellico, chce miec oboz w poblizu tych ruin. Jak tylko panski SzeF Ladowni uwolni nasze materialy.

Jego upor najwyrazniej wygrywal, poniewaz po chwili Van Ryck zlamal pieczecie na wlasie do magazynow. Zirytowany doktor stal tuz za nim, a reszta archeologow wypelnila przejście w korytarzu.

-Teraz nasza kolej, Van Ryck! Ale SzeF Ladowni podniosl ramie i zagrozdil droge doktorowi.

-Nie, dziekuje panu. Zaden ladunek nie opusci tego statku, jesli nie beda przy tym pracowali moi ludzie.

Rich musial zgodzic sie na ten warunek, chociaz wsciekal sie niezmiernie, gdy Dan, przy pomocy dzwigu, wyniosl na zewnatrz i ustawil sterowany radarem pelzacz. I to wlasnie on nadzorowal wyladunek. W koncu, gdy pierwszy transport byl gotowy, Rigelianczyk wspial sie na pojazd i kierujac nim recznie, ruszyl w strone ruin. Zaleta pelzacza bylo to, ze po rozladowaniu na miejscu przeznaczenia, mogl juz bez kierowcy, wrocic po kolejna partie towaru. Jego jedynym przewodnikiem byl promien swiatla ze statku.

Rich z dwoma swoimi pomocnikami odjechal przy drugim kursie, a z Danem pozostal milczacy, czwarty czlonek ekspedycji. Ostatni ladunek byl niewielki i skladal sie prawie wylacznie z osobistych rzeczy archeologow.

Mimo ze czlowiek Richa jasno okazywal dezaprobate, asystent Szefa Ladowni sam ustawil bagaze tak, aby mozna je bylo szybko zaladowac na pelzacz. Ale to nie Dan upuscil zniszczona, podreczna torbe, ktorej uchwyt zahaczyl o wystep skalny i cala zawartosc wypadla.

Tlumiac okrzyk przerazenia, archeolog zaczai pospiesznie pakowac rozsypane rzeczy. Nie byl jednak dosc szybki, zeby ukryc zawinieta w podkoszulek ksiazke.

Ta ksiazka! Oczy Dana zwezily sie pod wplywem slonca. Nie zdazyl zerknac na nia

jeszcze raz - mezczyzna juz zawiazywal torbe - lecz byl pewien, ze gdzies widzial identyczna... Na pulpicie Wilcoxa! Dlaczego archeolog mialby miec przy sobie komputerowy dziennik astronawigatora?

Rozdzial 5. - Pierwszy zwiad

Zmierzch na Otchlani byl inny od zmierzchu ziemskiego: wydawalo sie, ze ciemnosc zyskala tu namacalny wymiar. Dan juz konczyl prace. Zamknal zewnetrzny wlasz ladowni i zaparkowal u stop Krolowej pustej pelzacz. ktory powrocil wlasnie z ostatniej wycieczki do ruin. Kapitan polecil przedsiwziac wszystkie srodki ostroznosci, jakie zazwyczaj stosuje sie na nieznanym planecie. Rampa zostala wciagnieta, a sluzby powietrzne zamknieta. Dla mieszkancow Otchlani (o ile tacy istnieli) Krolowa stanowila niedostepna fortece o gladkich, lśniacych scianach, w ktorych wyrwe mogla zrobic jedynie bardzo nowoczesna bron. Zaden Posrednik nie wybralby sie w Kosmos, gdyby nie byl pewien swego bezpieczenstwa na pokladzie statku. Dan wspinal sie na kolejne poziomy calkowicie pochloniety swymi myslami. W koncu dotarl do ciasnych pomieszczen Ripa, znajdujacych sie tu przy sterowni. Asystent astronawigatora siedzial skulony na rozkladanym krzesle z wideoskopem w reku.

-Mam cala tasme z ruinami - rzekl podekscytowany, gdy zobaczyl Dana. - Ten Rich to jakis oszust. Tak czuje. Ciekawe, dlaczego nie zajal sie nim Sinbad i nie przyniosl mi go tutaj zagryzonego, tak jak to robi z innymi szkodnikami.

-A co on teraz przeszkrobal?

-To jest najwieksze, jak dotychczas, znalezisko po Przodkach - wskazal na ekranowizor - a on siedzi na tym, jakby to byla jego wlasnosc. Powiedz Kapitanowi, ze nie zyczy sobie, aby ktokolwiek z nas podchodzil tam i probowal cokolwiek zobaczyc, niby wtargniecie nieprzeszkolonych turystow na tereny zabytkowe zniszczilo juz niejedno odkrycie. Nieprzeszkoleni turysci to my! - Rip wyrzucil z siebie te slowa gardlowym glosem i, po raz pierwszy odkad Dan go poznal, wydawal sie byc szczerze oburzony.

-No coz - zaczal uspokajac starszego kolege! Dan - nawet we czworke, nie bedziecie w stanie przeczesac calej planety. I tak wysylamy grupe zwiadowcza zgodnie z przepisami, prawda? Nikt ci przeciez! nie bedzie w stanie przeszkodzic w znalezieniu wlasnych zabytkow klasy "A". Nie sadze, zeby wszystko odkryl wylacznie Rich. A w dodatku przepisy nic nie mowia o tym, ze nie wolno nam zbadac tego, do czego prawa wykupilismy

Rip rozchmurzyl sie.

-No, to mi sie podoba! - odlozyl swoj wideoskop.

-Przynajmniej nikt nie moze oskarzyc drogiego doktora o zaniedbanie obowiazkow - uslyszeli z korytarza glos Kamila.

-Ten sposob, w jaki stad umknal... Mozna by pomyslec, ze obawial sie, czy aby ktos nie

sprzatnie mu sprzed nosa najlepszych kawalkow scian. Nasz drogi doktor jest jednak odrobine zagadkowy, co?

-Nie wiedzial nic o Blizniaczych Wieszach... - powtorzil swoje zastrzezenie Rip.

-I w dodatku ten rudy asystent z ksiazka astronawigatora w podrecznej torbie. - Dan byl zadowolony, ze mogl powiadomic kolegow o swoim spostrzezeniu. Szczegolnie, ze sluchal go tez Kamil. Cisza, ktora ipadla po tych slowach, pochlebiala mu. Lecz Ali, jak zwykle, musial rzucic pierwsza zlosliwosc:

-A jakim sposobem ten zadziwiajacy fakt zwrocil twoja uwage?

Dan zdecydowal sie zignorowac slaby, ale nieprzyjemny akcent na wyrazie "twoja".

-Upuscil podreczna torbe, ksiazka wypadla, a on potem bardzo sie spieszil, zeby ja schowac.

Rip wyciagnal reke i otworzil szafke, z ktorej wyjal gruba ksiega z wodoodporna okladka stanowiaca rowniez zabezpieczenie przed niepowolanymi czytelnikami.

-Widziales taka jak ta? Dan potrzasnal glowa.

-Jego ksiazka miala czerwona obwodke, tak jak ta, ktora lezy na biurku Wilcoxa w sterowni.

Kamil zagwizdal cicho, a ciemne oczy Ripa rozszerzyly sie ze zdziwienia.

-Alez to ksiazka mistrza - zaprotestowal. - Nikt nie moze miec takiej ot tak sobie. Wydaja ja tylko zarejestrowanym astronawigatorom. W dodatku, kiedy astronawigator opuszcza statek, ksiega wedruje do sejfu Kapitana. Potem odbiera ja nastepca. Caly czas na pokladzie moze byc tylko jedna - takie jest prawo Federacji. Jesli statek zostaje wycofany z lotow, ksiazka jest niszczona.

-Nie badz taki naiwny, przyjacielu! - Ali rozesmial sie. - Jak sadzisz, na jakiej zasadzie dzialaja klusownicy i przemytnicy? Czy moze biora swoje obliczenia z powietrza? Zupelnie bym sie nie zdziwil, gdyby okazalo sie ze istnieje bardzo potezny czarny rynek tekstow komputerowych, ktore wedlug prawa powinny dawno juz byc spalone. Rip jednak ciagle nie dowierzal.

-Brak by im bylo nowych danych! Te przeciez dodaje sie na kazdej planecie przy ladowaniu. Jak sadzisz dlaczego Wilcox zawsze wedruje z ksiega pod pacha do kontroli kosmodromu? Otoz przesylnaja ja prosto do biura Inspekcji i przetwarzaja, uzupelniajac dane. I nie mozna im dac nielegalnego tekstu - od razu by to wykryli!

-Posluchaj, moj uczciwy przyjacielu - cedzi przez zeby Kamil - nad kazdym prawem

wymyślonym przez Federację w idealistycznej próżni pracuje jakiś bystry chłopak - albo chłopcy - i próbuje je ominąć. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, ale mogę się założyć o cały swój dochód z wyprawy, że mnóstwo ludzi to robi. Jeżeli Thorson faktycznie widział te książki z czerwona obwodka, to robia to tu i teraz!

Rip wstał.

-Powinnismy powiedzieć Steenowi.

-Powiedzieć mu? Co? Że Thorson widział w bagażu jednego z archeologów księgę podobną do księgi astronawigatora? Nie podniosłeś jej, Thorson, co?

Dan musiał przyznać, że nie i powoli zaczęły mu opadać skrzydła. Nie miał żadnego dowodu na to, że jeden z członków ekspedycji był w posiadaniu księgi mistrza. A Steen Wilcox był ostatnim człowiekiem na statku, któremu można byłoby opowiedzieć całą historię bez poparcia jej dowodami. Dan nie trzymał tego dowodu w reku, nie mógł teraz pokazać tej księgi, nie było więc szans, żeby Steen mu uwierzył.

-No widzisz - zwrócił się Kamil do Ripa - będziemy musieli znaleźć jakiś lepszy dowód, zanim zwrócimy się do dowodztwa w charakterze nieustraszonych agentów Federacji, czy też, jeśli wolisz, chłopców z Patrolu.

Rip usiadł. Był teraz przekonany o słuszności rozumowania Kamila.

-Ale przecież ty sam mówisz: "będziemy musieli znaleźć". - Rip uczepił się tej odrobiny nadziei, jaką usłyszał w druzgocącym wywodzie Kamila. - Zatem wierzysz, że Doktor jest cokolwiek podejrzany?

-Moim zdaniem jest tak samo nieuczciwy jak tancerz Czerwonej Pustyni - odpowiedział Ali - ale to jest moja prywatna opinia i zachowam ją dla siebie, dopóki nie znajdzie czegoś, co rzeczywiście może zrobić wrażenie na Kapitanie. Tymczasem wszyscy będziemy równie zajęci, jak nasz kochany Doktor. Za chwilę ciągniemy losy z przydziałem na szperacze.

Niewielkie kapsuły zwiadowcze, które Królowa miała na pokładzie dla celów badawczych, mogły swobodnie pomieścić dwuosobową załogę. Przy trzech osobach robiło się trochę ciasno. Oba szperacze zostały bardzo dokładnie sprawdzone przez mechaników tego samego popołudnia, kiedy Dan zajęty był przy wylądunku. Następnego poranka zastanie więc pierwsze grupy zwiadowcze przy pracy.

Nic nie rozjaśniało mrocznej ciemności nocy na Otchlani. Branzowcy stopniowo przyzwyczaili się do tego i przestali się wpatrywać w jednolicie czarne ekranowizory. Po wieczornym posiłku ciągnęli losy. O doborze zwiadowców decydowała potrójna struktura załogi statku. Zespół zwiadowczy składał się więc z jednego członka sektora inżynierskiego, jednego ze sterowni oraz jednego z działu Van Rycka.

Gdyby mogli sie swobodnie dobierac, Dan najchetniej wyruszyliby z Ripem. Pozniej rozmyslal o tymi pragnieniu z niejaka zloscia. Moze wlasnie dlatego wylosowal kogos, z kim bardzo nie chcial pracowac: Kamila. Trzecim czlonkiem grupy mial byc Tang, ale Kapitan postanowil, ze musi on pozostac na pokladzie, wobec czego zastapil go medyk Tau.

Ciagle bardzo rozgoryczony takim rozwojem wydarzen, Dan przeniosl sie do swojej starej kajuty. Ciekawosc spowodowala, ze szczegolowo przeszukal szafki w nadziei znalezienia czegos, co zagadkowy doktor mogl tu zostawic. Marzylo mu sie rozwiazanie z filmow propagandowych: nieustraszony, mlody bohater odkrywa nieczne zamiary groznego przestepcy... Natychmiast jednak przypomniał sobie Kamila i jego trzeźwa ocene sytuacji: nie mieli w reku zadnych dowodow.

Zaczal sie pozniej zastanawiac, dlaczego tak bardzo go nie lubil. Na pewno przyczynila sie do tego teatralna poza Aliego... A moze denerwowalo go w koledze to, ze byl tak absolutnie doskonaly? Jeszcze nie minal dla Dana czas, kiedy czlowiek czuje sie niezrecznie w towarzystwie. Zachowywal sie niekiedy tak jak slon w skladzie porcelany. W Syndykacie instruktorzy pokazywali na jego przykladzie, czego robic nie nalezy. W dodatku, gdy spojrzal w niewielkie lustro na scianie kajuty, nie widzial w swym odbiciu nic interesujacego. Tak. Jesli chodzi o powierzchownosc, Dan byl calkowitym przeciwienstwem Kamila.

Mlody Branzowiec podejrzewal rowniez nie lubianego przez siebie kompana o to, ze jego umysl byl pstry i przenikliwy, podczas gdy siebie uznal za typ wolnego, upartego buldoga, ktory byc moze wie, dokad zmierza, ale na tym jego zalety sie koncza, Kamil natomiast sunal do przodu lekko i zwinnie, zawsze trafial do celu. I to bylo najgorsze. Dan usmiechnal sie ironicznie. Inzynier dalby sie lubic, gdyby chociaz raz sie pomyllil... Ale on mial zawsze racje.

Co prawda Centrum przydzielilo Dana na ten statek, ale nikt nie moze od niego wymagac, zeby akceptowal wszystkich bez wyjatku. Komputery tez czasem zawodza. W Syndykacie mial mozliwosc poznania bardzo cennej swojej cechy, mianowicie potrafil sobie ulozyc dobre stosunki z wiekszoscia ludzi.

Doszedl w koncu do wniosku, ze nie ma sensu wymyslac problemow i polozyl sie spac. Nastepnego dnia o swicie z niecierpliwoscia czekal na swa pierwsza zwiadowcza wyprawe.

Kapitan Jellico uszanowal zyczenie doktora Richa i nie wyznaczyl kursu na ruiny. Z drugiej jednak strony jasno poinstruowal zalogi kapsul: w wypadku znalezienia jakichkolwiek sladow po Przodkach nalezalo natychmiast zawiadomic baze uzywajac krotkofalowki, a nie, jak zazwyczaj, interkomu. Meldunek mogl byc bowiem przechwycony przez Richa.

Dan zapial haube i zacisnal wokol bioder pas, do ktorego przyczepione byly: zwoj cienkiej liny, sakwa z narzedziami oraz latarka. Ich wyprawa miala byc krotka, lecz przezornie wlozyli do schowka pod fotelem zapas skoncentrowanej zywnosci, mala apteczke,! komplet sztuccow oraz kilka towarow kontaktowych.! Dan nie sadzil jednak, zeby mialy im sie one

przydad na tym pustkowiu.

Ali usiadł za sterami kapsuły, a Dan i Tau stoczyli się na fotelu za nim. Asystent inżyniera przycisnął klawisz tablicy rozdzielczej i wypukła osłona zamknęła się nad ich głowami. Wystartowali płynnie i, zgodnie z poleceniem Kapitana, skierowali się na północ.

Słońce było już wysoko, jego promienie odbijały się od polaci zuzłu na wypalonych terenach i przywracały do życia chorowita zieleni rosnących na obrzeżach roślin. Dan włączył kamerę. Skierowali się prosto na północny łańcuch gór.

Gdy pojawiły się rzadkie kępy zarośli, Ali natychmiast wytracił wysokość i zwolnił, dając im szansę dokładnego przyjrzenia się okolicy. Jednak Dan nie widział żadnych śladów życia, żadnych owadów czy zwierząt. Ani jedno skrzydlate stworzenie nie dzieliło z nimi powietrznej przestrzeni.

Przelecieli nad pierwszą wąską doliną i nie zauważyli nic niezwykłego. Potem Ali skręcił w prawo i wznosił się niemal pionowo w górę tuż przy czarnej, nagiej i stromej skale, aby kontynuować poszukiwania nad kolejnym odcinkiem żyznej ziemi.

Trzecia dolina wydawała się bardziej obiecująca. Środkiem przepływał strumyk, a roślinność była nie tylko gęstsza, ale miała również ciemniejszy, zbliżony do naturalnego, odcień zieleni. Nagle Dan i Tau krzyknęli:

-Na dole! Tam!

Ali przemknął zbyt szeroko nad wskazanym miejscem, ale po chwili zawrócił i zszedł niżej. Dan i Tau przyglęli się osłonie, usiłując przyjrzeć się tej nieoczekiwanej zmianie w krajobrazie.

To właśnie to! Dan miał teraz pewność, że jego domysły były słuszne. W dole zobaczyli ogrodzone 'murem z kamyczków' przestrzenie, które musiały być i polem uprawnym. Zdziwiająca była jego wielkość: zajmowało najwyżej jeden metr kwadratowy powierzchni.

W regularnych odstępach rosły na nim miniaturowe rośliny z żółtymi, podobnymi do paproci liśćmi, które drżały nieznacznie, jakby pod wpływem lekkiego wiatru. Jednak żaden z pobliskich krzaków nawet nie drgnął. Ali okrążył dwukrotnie to miejsce i zjechał w dół, w kierunku spustoszonej równiny. Mineli jeszcze trzy odrębne pola, a później większa przestrzeń, gdzie dolina rozszerzała się i mieściła trzy lub cztery razem. Wszystkie były ogrodzone i zadbane, chociaż nie dostrzegli ścieżek. Nie było też innych śladów istoty, która te rośliny zasadziła i zapewne zbierze plony.

-Oczywiście - przerwał Tau pełną zdumienia ciszą - mamy tu do czynienia z cywilizacją roślinną raczej niż zwierzęcą.

-Jeśli uważasz, że te marchewko-podobne stworzenia same zbudowały ogrodzenia, a potem

same siebie zasadzili... - zaczął pokpiwać Ali, lecz Dan mógł to zjawisko wytłumaczyć. W Syndykacie nauczono go między innymi, że Branzowiec, a szczególnie specjalista w dziedzinie magazynowania towarów powinien zawsze zachować otwarty umysł i nie odrzucić żadnej teorii, poki nie zostanie ona sprawdzona.

-Może to być rodzaj szkolki. Zapewne sadzeniem i pielęgnowaniem tych roślin zajmują się dorosłe jednostki.

Odpowiedzia Aliego był jedynie tłumiony śmiech. Ale Dan nie pozwolił sobie na okazywanie złości.

-Czy możemy wylądować? Powinnismy przyjrzeć się tym polkom z bliska.

-Tylko oddał się trochę... - ostrzegł po chwili.

-Słuchaj, ty handlarzu! - warknął Ali. - Nie jestem zielony w tych sprawach, rozumiesz?

Tak, zasłużyłem sobie na to, przyznał w duchu Dan. To nie Ali, lecz on sam odbywał właśnie pierwszą zwiadowczą wyprawę. Żadnych więcej wskazówek z tylnego fotela nie będzie! Zagryzł usta. Ali ruszył spirala w dół, w stronę nagiej skały, daleko od strumyka i pol.

Tau skontaktował się z Krolowa i powiadomił Kapitana o odkryciu. Otrzymali polecenie przeszukania doliny w celu znalezienia innych oznak istnienia inteligentnych form życia.

Medyk przyjrzał się klifom, w pobliżu których wylądowali.

-Może są tam jakieś jaskinie? - zasugerował.

Mimo że pokonali spora odległość wzdłuż tych wysokich, czarnych skal, nie zauważyli żadnych otworów czy szczelin wystarczająco głębokich, by schroniło się tam stworzenie chociażby rozmiarów Sinbada.

-Mogli się ukryć przed szperaczem - stwierdził Ali. - I teraz pewnie obserwują nas z ukrycia.

Dan zatoczył koło przyglądając się uważnie powierzchni skal, kepkom zarosli i ostrej, wysokiej trawy.

-Muszą być bardzo mali - mruknął w zasadzie do siebie.

-Te pola zajmują tylko niewielką przestrzeń.

-Cywilizacja roślinna - Tau przypomniał swoją teorię. Dan nie mógł się jeszcze z nią zgodzić.

-Nawiazalismy dotychczas kontakt z osmioma pozaziemskimi rasami- rzekl powoli. - Slicisa z rodziny gadow, Arvanie w pewnym stopniu kotowaci, a Fiftokowie maja cos wspolnego z ramienionogami. Z pozostalych pieciu, trzy sa chemicznie rozne od nas a dwie, Kanddoydzi i Mimsynczycy, to owady. Ale cywilizacja roslinna?

-Jest absolutnie mozliwa - dokonczyl za niego Tau.

Ostroznie przeszukali najblizsze pole. Rosliny wyrastaly na okolo szescdziesiat centymetrow, a ich koronkowe listowie bezustannie drgalo. Plantatorzy zadbali nie tylko o utrzymanie jednakowej odleglosci miedzy poszczegolnymi okazami, ale rowniez o to, zeby zaden chwast nie przeszkadzal w ich wzroscie. Ziemianie nie dostrzegli na wiotkich lodygach ani owocow, ani nasion. Gdy jednak pochylili sie, zeby przyjrzec sie roslinom z bliska, wyczuli bardzo intensywny zapach.

Ali wciagnal powietrze.

-Goździk? Cynamon? Jakis ogrod zielarski moze...

-Dlaczego ziola i nic poza tym? - zastanawial sie glosno Dan. Najbardziej dziwil go brak sciezek oraz drozek, ktore laczylyby poszczegolne pola. Te miniaturowe ogrody byly bardzo zadbane, a jednak nic nie wskazywalo na to, ze farmerzy docierali tu na wlasnych nogach... Na wlasnych nogach? Czy byl to moze klucz do rozwiazania zagadki? Moze te planete zamieszkiwala jakas uskrzydlna rasa? Powiedzial kolegom o swoich domyslach.

-Pewnie, oczywiscie - Ali jak zwykle postanowil go wysmiac. - Jakas grupka nietoperzy, na przyklad. Wychodza w pole tylko noca. To dlatego nie ma tu jeszcze komitetu powitalnego.

Nocne stworzenia? To nie jest wykluczone, pomyslal Dan. Znaczyloby to, ze powinni zalozyc stacje kontaktowa i wyznaczyc dyzury na noc. Jesli jednak jacys farmerzy pracowali w zupelnej ciemnosci, trudno bedzie ich dostrzec. Ale bylo to chyba jedyne wyjście. Byc moze swoim przybyciem przestraszyli mieszkancow doliny...

Tau i Dan ukryli sie w cieniu wysokich skal, podczas gdy Ali ustawil szperacz na szczycie klifu, tak by stal sie zupelnie niewidoczny. Godziny mijaly, a krajobraz nie zmienial sie.

Jesli nawet istnialy jakies formy zycia na Otchlani, to ich ilosc byla na pewno ograniczona. Tau zebrał próbki wody i roslinnosci, a pozniej dolaczyl do tej kolekcji owada w kolorze ziemi, ktory zreszta bardzo przypominal dobrze im znanego chrzaszcza. Na pokladzie Krolowej zostanie on dokladnie zbadany i byc moze posluzy za material doswiadczalny. Jakis inny jeszcze owad zanurzyl sie w strumieniu, ale nie bylo jednak nadal zadnych zwierzat, ptakow czy gadow.

-Cokolwiek przetrwalo te ekologiczna katastrofe, musi byc teraz na samym dole drabiny rozwoju - powiedzial szeptem Tau.

-No, ale te pola - protestował niepewnie Dan. Usilnie próbował wyobrazić sobie, co mogłoby stanowić przynęty dla mieszkańców Otchlani. Jeśli, oczywiście, w ogóle wyjdą z ukrycia. Nawiązanie kontaktu jest niezwykle trudne, jeśli nie posiada się żadnych danych na temat ich usposobienia. Może ich wzrok różnił się od wzroku Ziemiaków? Kolorowe drobiazgi przeznaczone dla prymitywnych kultur stałyby się wówczas bezużyteczne. Ich słuch mógł być wrażliwy na dźwięki o zupełnie innej częstotliwości niż ta, do której przywykło ucho ludzkie. Znaczyłyby to, że wszelkie pozytywy, które tak doskonale sprawdzały się w kontaktach z Kanddoydami, tutaj nie miałyby zastosowania. Zastanawiał się teraz nad zapachem roślin w ogrodkach. Był tak intensywny, że mógł spowodować powonienie człowieka. To jedyna charakterystyczna cecha, która powinna podsunąć im jakiś pomysł. Nawiązanie kontaktu przy użyciu ostrego, pikantnego zapachu jako przynęty, może się udać. Dan zapytał Tau:

-Czy masz wśród swoich leków coś, co pachnie podobnie do tych roślin? Ja mam przy sobie tylko mydło z Garatoli, ale jego won jest zbyt intensywna.

Tau uśmiechnął się.

-Problem z wabikiem, co? Tak, może rzeczywiście skusi ich jakiś aromat. Ale czy nie lepiej spróbować przyprawy Mury? Może trochę od niego dostaniesz?

Dan oparł się o skałę. Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślał? Przyprawy używane do gotowania! Mura miał może w swojej kuchni coś, co przyciągnęłyby istoty hodujące zioła o koronkowych liściach. Musieliby jednak wrócić do bazy, żeby to sprawdzić.

-Myśle - kontynuował medyk - że nie uda nam się dzisiaj nawiązać kontaktu. Według mnie są to istoty nocne i pod tym kątem powinniśmy przygotować punkt kontaktowy. Chodźmy!

Jako starszy oficer Tau miał prawo podjąć taką decyzję, a Dan, chcąc jak najszybciej zdobyć materiały kontaktowe, chętnie się z nią zgodził. Dali znak Aliemu, który cały czas siedział w szperaczu i zameldował się Kapitanowi. Otrzymali zgodę na powrót.

W kajucie Kapitana, w obecności Szefa Ładowni, zdali relację z wyprawy. Dan zasugerował wówczas, aby w celu zjednięcia mieszkańców Otchlani, użyć przypraw kuchennych. Jellico wrócił się do Van Rycka:

-Co o tym sądzisz, Van? Czy stosowałeś kiedyś przyprawy w nawiązaniu kontaktu? Szef Ładowni wzruszył ramionami.

-Można użyć czegokolwiek, Kapitanie, jeśli w grę wchodzi kontakt z istotami pozaziemskimi. Ważny jest efekt. Powiedziałbym, że warto spróbować, a ponadto można, mimo wszystko, zastosować rutynowe sztuczki.

Jellico przysunął do ust mikrofon interkomu.

-Frank - powiedział - przyjdź tutaj i przynies probki swoich przypraw. Wszystko, co ma silna, pikantna won.

Dwie godziny później Dan spojrzal na swoje dzieło praktycznym okiem. W polowie drogi między dwoma poletkami znalazł skałę, na której poukladał parę drobiazgów z podstawowego zestawu handlowego. Był tam wybor bizuterii, malenkich zabawek, polyskujących, metalowych przedmiotów, pozytywka, która wystarczyło podnieść, żeby usłyszeć spokojną melodię, oraz trzy miseczki z tworzywa sztucznego. Każda z nich przykryta była cienką jak mgielka gaza i z każdej wydobywał się zapach przypraw.

W zarosłach Dan ukrył kamerę, która miała zarejestrować wszystko, co działo się przy skałce i przekazać obraz do szperacza na klifie. Tam, przez całą noc, we trzech będą dyżurować.

Asystent Szefa Ładowni był ciągle cokolwiek zadziwiony, że pozwolono mu zająć się sprawą nawiązania kontaktu. Jednak zdążył już odkryć, że zasady funkcjonowania załogi Królowej były bardzo sprawiedliwe: pomysł był jego, więc tylko on miał prawo go zrealizować i wyłącznie od niego zależały sukces lub porażka. Wsiadając z powrotem do kapsuły był pełen obaw co do rezultatów swojej pracy.

Rozdział 6. - Niebezpieczna Dolina

Dan ponownie uswiadomił sobie skoncentrowaną jakość nocy na Otchlani. Planeta nie miała żadnego satelity, a więc nic nie mogło rozjaśnić ciemności. Gdzieś daleko nad nimi widac było jedynie malenkie jak główka od szpilki punkciki gwiazd. Nawet ustawiona na dole kamera nie mogła przeniknąć mroku, chociaż wyposażona była w promienie przeszywające o potrojnej mocy. Tau wyprostował się i przesunął w swoim fotelu mimowolnie tracając łokciem Dana. Chociaż mieli na sobie zimowe tuniki z podwójną podszewką, a temperatura wewnątrz kapsuły była chyba podobna do temperatury na Królowej, przenikał ich dotkliwy chłód.

Po kolei każdy z nich czuwał przy ekranie, a dwóch pozostałych miało w tym czasie odpoczywać. Dan jednak nie mógł zasnąć. Patrzył wytrwale w ciemność, która otaczała ich zewsząd jak czarna, ciężka zasłona. Nie miał pojęcia, która mogła być godzina, gdy zobaczył pierwszy błysk: czerwony snop światła rozdarł niebo na zachodzie. Krzyknął, a wtedy spojrzal w górę czuwający przy ekranie Ali. Tau obudził się.

-Tam! - być może nie byli w stanie zobaczyć jego wskazującego kierunek palca, ale teraz już nie potrzebowali pomocy. Błysk powtórzył się i za chwile wszystko ucichło. Noc stała się jeszcze bardziej czarna.

Pierwszy odezwał się Ali.

-Ogień miotaczy! - i natychmiast zaczął wystukiwać wiadomość do Królowej.

Dan wpadł w panikę, ale tylko na moment. Uświadomił sobie bowiem, że płomienie były daleko od nich, na zachodzie. Królowa nie mogła więc zostać zaatakowana.

Ali meldował o wydarzeniach sugerujących bitwę. Na statku jednak nikt niczego nie zauważył i nikt nie zdawał sobie sprawy z zajęć mających miejsce na planecie. Nie zauważono też żadnego ruchu przy ruinach, gdzie rozbił oboz Rich.

-Czy mamy tu pozostać? - zadał ostateczne pytanie Ali. Odpowiedź nadeszła szybko:

-Tak, chyba że zostaniecie zmuszeni do odwrotu.

Konieczność zapoznania się z formami życia na planecie stała się teraz sprawą nagłą.

Ekran pozostawał jednak czarny. Widzieli ciągle to samo: skały, artykuły handlowe i nic poza tym.

Postanowili, że od tej pory jeden z nich będzie dyżurował przy ekranie, a drugi powinien obserwować zachodnią stronę planety. Płomienie nie rozdzierały już ciemności nocy. Jeśli nawet kiedyś odbyła się tu jakaś bitwa, to na pewno dawno już się skończyła.

Było to chyba tuż przed świtem, gdy Dan z przyzwyczajenia zerknął na ekran i zauważył zmianę. Ruch był tak minimalny, że uznał to za złudzenie. A jednak zarosła z prawej strony skały najwyraźniej tworzyły ciemne tło dla czegoś tak niesamowitego, że nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na szczęście zdarzył we właściwym momencie nacisnąć przycisk kamery.

Ta rzecz była niematerialna i poruszała się bardzo szybko, co sprawiało, że w ogóle nie można było dostrzec jej konturów. Dan był najzupełniej pewien, że "coś" widział, ale nie miał pojęcia, co.

Po chwili wszyscy trzej nachylili się nad ekranem, chcąc dojrzec każdą, najmniejszą nawet zmianę. Chociaż przez ciemności nocy powoli przedzierał się świt i widoczność stale się polepszała, nie zobaczyli nic prócz poruszanych wiatrem liści. Czymkolwiek było to, co przemknęło obok skały na dole, na pewno nie wykazało zainteresowania towarami handlowymi. Może uda im się odkryć naturę tej przedziwnej istoty, gdy przejrza w bazie nagrany film.

Słońce Otchłani zaczęło swą codzienną wspinaczkę. Szron, który w nocy pokrył kamienie, teraz powoli topniał. Dolina nadal była pusta: gość, którego Dan wypatrzył przed świtem, nie wrócił.

Nadleciała druga kapsuła ze zmiennikami. Wypoczęty Rip podszedł do ziewających kolegów.

-Widzieliście coś?

-Mamy tasme, moze uda sie to rozszyfrowac - odpowiedzial niezbyt zadowolony z siebie Dan. Ta tajemnicza, ledwo widoczna postac byc moze wcale nie jest wlascicielem poletek. Moze to tylko jakies zwierzec przechodzilo tedy przypadkiem.

-Kapitan mowi, zebyscie jeszcze zajrzeli na zachod, zanim wrocicie do bazy - zwrocil sie Rip do Tau. - Pozostawia wam ocene sytuacji, ale nie pakujcie sie w nic bez potrzeby.

Medyk skinal glowa. Ali siedzial juz za sterem i po chwili wzbili sie w gore, pozostawiajac na swym niedawnym posterunku kolegow. Pod nimi rozciagaly sie waskie, krotkie doliny i w dwoch lub trzech zauwazyli kwadraty pol. Chociaz Ali utrzymywal kapsule tuz nad ziemia, nie dostrzegli nic poza zaroslami i trawa. Odlecieli okolo osmiu kilometrow na zachod, gdy wreszcie ujrzeli miejsce nocnej tragedii.

Dym unosil sie leniwie z tlacych sie jeszcze zarosli, a dlugie, czarne pasy - slady uzycia miotaczy - krzyzowaly sie wsrod zieleni i skal. Wszedzie czuc bylo won spalenizny. Ale nie to ich w tej chwili interesowalo. W zaglebieciu skalnym lezaly trzy, chyba martwe, stworzenia. Wygladaly tak, jakby probowaly stawic czola broni, ktorej nie pojmowaly. Nienaturalnie pokrzywione, straszliwie poparzone ciala mialy teraz ledwo rozpoznawalna postac. Jednak Ziemianie wiedzieli, ze byly to kiedyś żywe istoty.

Ali przelecial szybko nad cala dolina. Nigdzie nie dostrzegl oznak zycia. Wrocil na miejsce niedawnej walki i wyladowal tuz przy szczelinie. Gdy opuscili kapsule i zaczeli przemierzac kamienista powierzchnie, znalezi jeszcze czwarta ofiare.

Cialo tego nieznanego stworzenia bylo zweglone, ale smierc nie nastapila od razu. Widocznie silna wola zycia zaprowadzila je do tego skalnego wglebienia i dopiero po jakimś czasie, gdy ustalaly wszystkie funkcje organizmu, zwloki stoczyly sie bezwladnie po skale.

Tau uklakl przy lezacej postaci. Dan nie mogl zniesc unoszacego sie wokol odoru, ktorego zrodlem byla zapewne nie tylko pobliska roslinnosc. Zdolal jedynie katem oka zerknac w tamta strone i z trudem opanowujac mdlosci zamknal oczy.

To nie byl czlowiek! Ta istota nie przypominala zadnej z tych, ktore kiedykolwiek mial okazje ogladac. To "cos" nie moglo istniec, nie moglo byc prawdziwe! Danowi udalo sie po chwili odniesc nad soba male zwyciestwo: otworzyl oczy i spojrzal jeszcze raz.

Nie tylko straszliwe rany, ale rowniez budowa lezacej postaci sprawily, ze trudno bylo pohamowac okrzyk przerazenia. Cialo skladalo sie z dwoch kul: jedna byla dwa razy wieksza od drugiej i nie widac bylo niczego w rodzaju glowy. Z wiekszej kuli wyrastaly dwie pary bardzo cienkich i zapewne bardzo gietkich, czterostawowych konczyn. Mniejsza kula miala ich tylko jedna pare, lecz za to kazda odnoga rozwidlala sie w zwinne czulki, ktore zakonczone byly pekiem cienkich jak wlos wypustek. Kule laczyła talia o smuklosci osy. Z tego, co zdolal zobaczyc Dan (a nie potrafil sie zmusic do szczegolowych ogladzin) wynikalo, ze istota ta prawdopodobnie nie posiadala brwi, oczu, uszu, czy ust.

Najdziwniejsze były jednak kule tworzące ciało: szaro-białe i polprzezroczyste. W środku czerwieniła się jakaś struktura, być może kości lub inne organy, ale Dan nie miał ochoty im się przyglądać.

-Wielki Kosmosie! - krzyknął Ali. - Wszystko można przez nie zobaczyć!

Przesadzał, ale nie za bardzo. Mieszkańcy Otchlani - o ile to był mieszkaniec Otchlani - mieli ciało bardziej przezroczyste niż jakakolwiek znana Ziemianom istota. Dan był teraz pewien, że taka właśnie postać ujrzy na filmie nagrany przy skale.

Ali ominiął leżące i zbadał ślady pozostawione przez miotacz. Ostrożnie dotknął czarną plamę na kamieniu i podniósł palec do nosa.

-Tak, to na pewno miotacz.

-Myślisz, że Rich?

Ali spojrzał w głąb doliny. Jak wszystkie inne, które na razie zobaczyli, rozciągała się od podnóża wysokich gór aż do wypalonej równiny. Nie mogli być daleko od ruin, do których udali się archeolodzy.

-Ale dlaczego? - Dan zadał drugie pytanie, zanim jeszcze otrzymał odpowiedź na pierwsze.

Czy te kuliste stwory zaatakowały Richa i jego ludzi? Dan jakos nie mógł w to uwierzyć. To bezwładne ciało, które studiował właśnie Tau, było jego zdaniem, całkowicie bezbronne. Niemożliwe, aby za życia stanowiło zagrożenie dla kogokolwiek.

-To jest pytanie - powiedział Ali nie przerywając poszukiwań. Skierował się na brzeg strumienia, który, tak jak i w pozostałych dolinach, płynął środkiem.

Widac tu było ślad pozostawiony przez najeźdźcę. Lecz nie był to ślad stop: szerokie bruzdy głęboko znaczyły miękką ziemię. Dan przystanął.

-Pelzacze! Ależ to nasze...

-Sa tam, gdzie być powinny: przy Królowej. Albo w środku, w magazynie - uspokoił go Ali.

-A ponieważ Rich nie mógł przemyścić takiego pojazdu w torbie podręcznej, należy przypuszczać, że Otchlan wcale nie jest pustkowiem. - Stał tuż przy strumieniu i ukląkł, przyglądając się bliżej skrawkowi schnącego błota. Ten ślad jest dość dziwny...

Choć nikt go o to nie prosił, Dan dołączył do kolegi. Wyzłobienia miały wyraźny wzór. Dan wiedział, co prawda, jak obsługiwać pelzacze i potrafił nawet wykonać drobne naprawy, ale w żaden sposób nie mógł zidentyfikować pojazdów wyłącznie na podstawie pozostawionych

przez nie śladów. I w tym miejscu musiał schylić głowę przed wiedzą i doświadczeniem Kamila.

Kolejny krok kolegi był dla młodego Branzowca całkowicie niepojęty. Zaczął mianowicie mierzyć odległość między dwiema koleinami. Dan odważył się spytać:

-O co tu chodzi?

Przez moment sądził, że nie otrzyma odpowiedzi. Ali jednak wytarł kurz z miernika i spojrzawszy w górę rzekł:

-Norma dla pelzacza jest 4-2-8 - tłumaczył. - Dla ślizgacza: 3-7-8. Podwozie miotacza nuklearnego ma 5-7-12.

Te cyfry niewiele Danowi mówiły, ale wiedział, że są istotne. Wszystkie urządzenia w Federacji zostały całkowicie ujednolicone, żeby ułatwić dokonywanie napraw na różnych planetach. Ali wymienił konfiguracje trzech typów pojazdów naziemnych. Zgodnie z przepisami prawa, miotacz nuklearny był bronią stosowana wyłącznie przez zmilitaryzowane oddziały Patrolu w czasie działań wojennych. Na nowych, niezbadanych planetach można go było używać w trudno dostępnym terenie lub dżungli.

-I to nie jest zaden z nich - domyslił się Dan.

-Zgadza się. Ten ma symbol 3-2-4. I jest bardzo ciężki. Albo przeladowany - takich bruzd nie zrobiłby zaden nie obciążony skuter czy pelzacz.

To Kamil jest inżynierem, powinien wiedzieć lepiej, uznał Dan.

-A więc, co to jest? Ali wzruszył ramionami.

-Cos, co odbiega od standardu: niskie i wąskie. Inaczej nie przeszłoby między tymi skalami. W naszych rejestrach na pewno tego nie ma.

Teraz Dan zaczął przypatrywać się pobliskim klifom.

-Sa tylko dwie drogi: w górę lub w dół... Ali wstał.

-Ja pójdę w dół - zerknął na siedzącego nieopodal Tau, który nadal zajmował się przerazającymi oględzinami. - Jego zapewne nikt nie odciągnie od pracy, poki nie dowie się wszystkiego, co możliwe. - Wzdrygnął się, być może z przesady, być może zupełnie szczerze. - Mam przeczucie, że nie powinniśmy pozostawać tu zbyt długo. Każdy zwiad musi działać szybko.

Dan spojrział w górę strumyka.

-W takim razie ja pójdę tam - stwierdził stanowczo. Ali był mu równy ranga, więc nikt

nikomu nie mogli wydawać rozkazów. Ruszył ścieżka między koleinami, nie oglądając się za siebie.

Był tak skoncentrowany na tym, by pokazać wszystkim, jak doskonale sobie radzi, że popełnił niewybaczalny dla Branzowca błąd: zapomniał włączyć interkom w haubic. Szedł więc na oślep w nieznaną i nie miał żadnego kontaktu z pozostałymi.

W tej chwili nie zdawał sobie oczywiście z tego sprawy. Ślady prowadziły stopniowo w górę zbieżającej się doliny, w stronę skalistego zbocza. Słońce oświetlało drogę, a jego promienie odbijały się od klifów, tworząc zatoczki purpurowych cieni.

Koleiny pozostawione przez pelzacz biegły na tyle prosto, na ile pozwalało na to ukształtowanie terenu. Dwa owady o koronkowych skrzydłach, takie, jakie widzieli w poprzedniej dolinie, musnęły powierzchnie strumienia, po czym odleciały w górę, w stronę zimniejszych warstw powietrza.

Roslinność była teraz rzadsza. Już od jakiegoś czasu Dan nie miał żadnego pola. Dolina zmieniła się w łagodny stok, a ściany skal tworzyły liczne zakrety i zagłębienia. Dan posuwał się naprzód ostrożnie, nie zamierzając stanąć twarzą w twarz z użytkownikiem miotacza.

W głębi duszy był przekonany, że doktor Rich miał z tym wszystkim coś wspólnego. Ale skąd wziął się tutaj ten pelzacz? Może doktor był już kiedyś na Otchlani? Czy włamał się także do jakiegoś tajnego magazynu Inspekcji? Jednakże Ali był przekonany, że pojazd nie spełniał wymogów Federacji.

Ślad urwał się tak nagle, że Dan stanął jak wryty, nie wierząc własnym oczom. Koleiny wiodły prosto w masywną skałę i ginęły tuż pod nią, jakby maszyna zwyczajnie przez nią przeniknęła!

Zawsze istnieje jakieś wyjaśnienie zjawisk niemożliwych - przypomniał sobie stara prawda Dan. I na pewno nie chodzi tu o sztuczki z filmów propagandowych... Jeżeli ślady prowadziły w głąb skały, to było to złudzenie, lub też istniało jakieś wejście. To on miał w tej chwili zdecydować, która z tych możliwości wchodziła w grę.

Gdy ostrożnie zbliżał się do nieoczekiwanej przeszkody, pod jego stopami skrzypiał żużel i piasek. Nagle zdał sobie sprawę z obecności czegoś nieokreślonego, jakiejś wibracji, pulsowania. W tym wąskim zakątku utworzonym przez skały było bardzo cicho - nie wiał wiatr, nie zaszeleszczał żaden liść. A jednak w powietrzu zawisł niepokój, jakies ledwo wyczuwalne poruszenie.

Odruchowo przyłożył dłoń do skały i natychmiast poczuł, jak wszechogarniające drganie przenika go na wskros. Stał się odbiornikiem pulsowania emitowanego przez substancję Otchlani, przez jej wnętrze. Przesunął palcami po nierównej powierzchni kamienia i przestudiował każdy jej centymetr - nie znalazł żadnego wylomu, żadnego śladu wejścia, żadnego powodu, dla którego ze środka mógł się wydobywać ten drażniący jego nerwy,

regularny rytm. Gwałtownie oderwał rece. Przyszła mu nagle do głowy irracjonalna myśl, że może tutaj już tak pozostać, na zawsze zespolony ze skałą. Teraz był pewien, że Otchłan nie była tym, czym wydawała się na początku: zapewne nie tak wyglądał opuszczony przez istoty żywe, wymarły świat.

Po raz pierwszy przypomniał sobie, że powinien być cały czas utrzymywać kontakt z pozostałymi i pospieszenie włączył interkom. Natychmiast zabrzmiał mu w uszach głos Tau:

-Ali, Thorson, odezwijcie się!

W głosie medyka slychac było zniecierpliwienie, toteż Dan natychmiast odszedł od skały i wrocil na sciezke prowadzaca w dol doliny.

-Tu Thorson. Jestem na krancu doliny. Chce zameldowac...

Tau przerwał mu:

-Wracajcie do kapsuły! Ali, Thorson, wracajcie natychmiast do kapsuły!

-Thorson wraca! Dan ruszył najszybciej, jak mógł, ale ciągle potykał się i ślizgał na zuzłach i kamiakach. Głos Tau cały czas brzmiał w interkomie - wzywał Aliego, lecz ten nie odpowiadał.

Dyszac ciężko, Dan dotarł do miejsca, gdzie zostawili medyka. Tau przywołał go do szperacza.

-Gdzie jest Ali?

-Gdzie Kamil? - zapytali niemal równocześnie, wpatrując się w siebie z przerażeniem. Dan odezwał się pierwszy.

-Powiedział, że idzie w dół strumienia, śladem tych kolein, które znaleźliśmy. Ja poszedłem w górę.

-W takim razie to musi być on... - Tau zmarszczył brwi. Odwrócił się i zaczął przyglądać dolinie. Obecność wody spowodowała tu bujny rozwój zarosli, które tworzyły rodzaj muru, z rzadka tylko poprzecinanego wdzierającym się wien strumieniem.

-Ale co się stało? - chciał wiedzieć Dan.

-Usłyszałem wezwanie w interkomie, ale dźwięk został natychmiast urwany.

-To na pewno nie ja, nie byłem podłączony - powiedział Dan, zanim zdążył pomyśleć, co mowi. Dopiero po chwili dotarły do niego jego własne słowa.

Nikt nie wychodzi na zwiad bez włączenia łączności. Była to zasada, która każdy w

Syndykacie, nawet najzwyczajniejszy junior, znalazł. A on pozwolił sobie o niej zapomnieć podczas pierwszej pracy w terenie! Czuli, jak zalewa go fala ciepła. Nie próbował jednak niczego wyjaśnić, czy usprawiedliwić. Wina była oczywista i będzie musiał ponieść konsekwencje swego błędu.

-Ali ma kłopoty - to był jedyny komentarz Tau, który siedział właśnie za sterami kapsuły. Milczący i zawstydzony Dan usadowił się za nim.

Wzniesli się w górę nierówno, skokami, zupełnie inaczej niż z Alim. Tau skierował dziób szperacza w dół i zwolnił maksymalnie, zachowując jedynie prędkość konieczną do utrzymania się w powietrzu. Obserwowali teren w dole. Nie widzieli jednak nic, oprócz wypalonych miotaczem pasów ziemi oraz niezmaconej niczym zieleni, wśród której pojawiały się tu i owdzie skały i polacie żużlu.

Zobaczyli również ślady pelzacza i teraz Dan zrelacjonował to, co udało im się z Alim ustalić. Twarz Tau była kamienna.

-Jeśli nie znajdziemy Aliego, musimy wrócić do Królowej.

Była to jedyna rozsądna decyzja, jaką mogli w tej chwili podjąć. Dan jednak obawiał się momentu, w którym będzie musiał przyznać się do swego zaniedbania. Być może ten błąd nie był jedynym, który popełnił. Może bardziej istotny był fakt, że rozdzielili się z Alim, że nie pozostali razem.

-Dzieje się tu coś paskudnego - mówił Tau. - Ten, kto użył tych miotaczy, na pewno nie działał w zgodzie z prawem.

Dan wiedział doskonale, że prawo Federacji dotyczące zasad walki było surowe. Obrona przed atakiem obcych jest dozwolona, ale w żadnym przypadku, oprócz ratowania własnego życia, nie wolno użyć miotacza lub innej broni przeciwko istotom pozaziemskim. Nawet promienie usypiające traktowane były jako broń, choć w praktyce stanowiły wyposażenie większości frachtowców wyruszających na nieznanne obszary zaludnione przez prymitywne plemiona.

Załoga Królowej wylądowała na Otchłani nieuzbrojona i dopóki nie zaistniało bezpośrednie zagrożenie życia Branzowców, nie wolno im było użyć broni. W tej dolinie jednak użyto miotacza, dając upust czyjejs bezsensownej nienawiści do mieszkańców planety.

-One nie mogły nikogo napasc, prawda? Te kuliste stworzenia?

Ciemna twarz Tau miała zacięty wyraz, kiedy zaprzeczył:

-Nie mieli żadnej broni. Powiedziałbym nawet, na podstawie tego, co widziałem, że zaatakowano je bez ostrzeżenia. Może ktoś zmiotł je z powierzchni ziemi jedynie dla przyjemności zabijania...

Te słowa przywołały koszmarny obraz z pola bitwy i Tau, który przywykł do życia zgodnego z prawem moralnym, zatrzymał się nagle, wstrzasnięty.

Pod nimi dolina zaczynała się rozszerzać i w formie wachlarza przechodziła w równinę. Nigdzie nie było widać śladów Aliego. Zniknął, jak gdyby zapadł się pod ziemię. A może wsiąkł w skałę? Dan przypomniał sobie koniec koleiny wrytej przez pelzacz i przycisnął twarz do osłony kapsuły, przeszukując wzrokiem okoliczne wzgorza. Do żadnego z nich jednak nie wiodły ślady pojazdu.

Szperacz tracił wysokość. Tau schodził do lądowania.

-Musimy zameldować się w bazie - rzekł, gdy dotknęli ziemi. Nie opuszczając swego miejsca, sygnalizował po mikrofon łączności dalekiego zasięgu.

Rozdział 7. - Katastrofa

Palce Tau uderzały w przyciski nadajnika. Nagle ten dźwięk został zagłuszony przez tajemniczy i groźnie brzmiący warkot. Tutaj, na skraju wypalanej ziemi, nie było słychać żadnego szumu wiatru czy szelestu liści, niczego, co mogłoby zakłócić odwieczną ciszę kotliny. Niespodziewane wycie nad ich głowami postawiło więc Tau i Dana na nogi. Tau, bardziej doświadczony, rozpoznał je pierwszy.-Statek!

Dan jeszcze nie znalazł się na tym, ale przeraźliwy huk rozdierający niebo nad nimi mówił mu, że jeżeli to rzeczywiście statek, to coś było z nim nie w porządku. Chwycił Tau za ramię.

-Co się dzieje?

Twarz medyka była coraz bledsza. Przygryzł usta. Oczy utkwione w niebo wyrażały przestraszanie. Kiedy wreszcie odpowiedział, musiał krzyknąć, aby Dan mógł go usłyszeć mimo hałasu:

-Nadlatuje zbyt szybko! Nie wszedł na orbite hamowania!

Teraz dopiero mogli ujrzeć to, co wcześniej słyszeli - ciemny kształt na tle porannego nieba, kształt przecinający niebo zbyt szybko, zmierzający w stronę ostrych szczytów gór na północy Otchłani, w stronę swego ostatniego lądowiska.

Wszystko ucichło. Tau pokręcił wolno głową.

-Na pewno się rozbił. Niemożliwe, żeby udało mu się wyjść z tej orbity na czas.

-- Co to mogło być? - zastanawiał się Dan. Cień pojazdu przemknął nad ich głowami tak szybko, że nie zdążył rozpoznać sylwetki.

Za mały, jak na liniowiec. Na szczęście. Mam przynajmniej taką nadzieję...

Również Dan doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że katastrofa statku pasażerskiego byłaby straszliwą masakrą.

-Może frachtowiec - Tau usiadł i znowu zajął się uderzaniem w przyciski nadajnika. - Musiał stracić kontrolę, kiedy wszedł w atmosferę.

Zaczął przysyłać na Królową wszystkie dane.

Nie czekali długo na odpowiedź. Otrzymali polecenie pozostania na miejscu, dopóki nie nadleci następna grupa zwiadowcza z podręczną torbą medyczną Tau. Ten drugi szperacz skieruje się potem w górę, na północ, na miejsce katastrofy, żeby pomóc tym, którzy być może przeżyli. Pozostali zajmą się poszukiwaniem Kamila.

Po paru minutach pojawiła się kapsuła z Królowej. Kosti i Mura wyskoczyli, zanim jeszcze płoży dotknęły piasku, a ich miejsce zajął Tau. Wkrótce ruszyli w stronę ostrych, górskich szczytów, gdzie zniknął tajemniczy statek.

-Widzieliście go? - zapytał Dan dwóch pozostałych z nim zwiadowców. Mura zaprzeczył.

-Czy widzieliśmy? Nie! Ale za to słyszeliśmy. Stracili kontrolę nad pojazdem!

Twarz Kostiego przybrała zatroskany wyraz.

-Rozbili się przy ogromnej szybkości. Straszna katastrofa. Pewnie nikt nie przeżył. Kiedyś widziałem taką krakę na Junonie - wszyscy zgineli. Na pewno nie mieli kontroli nad statkiem, nim jeszcze skierowali go w dół. Nawet nie próbowali manewrować tą maszyną, jakby byli skazani na taki koniec...

Mura westchnął głęboko.

-Może zaraza na statku?

Dan zadygotał. Statki dotknięte plagą to przerażające widma ciągle krążące po kosmicznych szlakach. Te blakające się wraki były grobowcami astronautów, którzy w jakimś nieznanym świecie zarazili się nową, śmiertelną chorobą i być może bez niczyjego nacisku postanowili umrzeć samotnie w przestworzach, nie chcąc przenosić infekcji na zaludnioną planetę. Strażnicy Systemu Słonecznego mieli w związku z tym prace nie do pozazdroszczenia: nadawali tym wedrującym cmentarzom określony kierunek i wysyłali je w stronę innych systemów słonecznych, gdzie promienie miały właściwości oczyszczające. Czasami musieli decydować się na inne, jeszcze okrutniejsze rozwiązanie. Tutaj jednak, poza granicami wszelkiej cywilizacji, wrak mogłoby dryfować całymi latami i tylko za sprawą przypadku wszedłby w pole przyciągania jakiejś planety i rozbijając się, przyniosłby jej zagładę.

Ludzie z Krolowej doskonale o tym wszystkim wiedzieli i zaden z nich nie zdecydowal sie pochopnie na przeszukanie wraku, o ile w ogole uda im sie go zlokalizowac. Kraksa mogla nastapic w odleglosci wielu mil, moze nawet poza zasiegiem lotu szperacza. Tau zajal sie ta sprawa, a byl to ostatni czlowiek, ktory zlekcewazylyby niebezpieczenstwo.

-Ali zniknal? - Kosti przypomniał kolegom o najpilniejszej teraz sprawie.

Dan, nie ukrywajac swego karygodnego bledu, opowiedzial o wszystkim, co zdarzylo sie w dolinie. Odczul ulge zauwazajac, ze Kosti i Mura pomineli milczeniem jego udzial w wydarzeniach i skupili sie na Kamilu. Mura zaproponowal plan dzialania:

-Kosti wezmie kapsule i bedzie krazil nad dolina, a ty i ja przeszukamy teren. Moze znajdziemy jakis slad, ktorego nie mozna zobaczyc z gory.

Rozpoczeli prace. Szperacz poruszal sie z niewielka predkoscia i nigdy nie odlatywal zbyt daleko. Dan i Mura natomiast szli w kierunku pola bitwy. Od czasu do czasu musieli w gestszych zaroslach uzywac maczety. Znalezli miejsce, w ktorym slad pelzacza przechodzil ze skaly na miekki grunt.

Tutaj Mura odwrocil sie i spojrzal na rownine. Nie widzieli stad jaskrawo pomalowanych ruin, ale obaj byli przekonani, ze pojazd nadjechal ze spalonej ziemi i skierowal sie w gory, gdzie zniknal w scianie klifu!

-Ludzie Richa? - wyrazil swe przypuszczenie Dan.

-Moze tak, a moze nie - padla enigmatyczna odpowiedz. - Czy Ali rzeczywiscie stwierdzil, ze ta maszyna nie byla znormalizowana?

-Nie myslisz chyba, ze przetrwali tu Przodkowie! - Dan wykrztusil z siebie ukryte obawy. Mura rozesmial sie.

-Mowia, ze w Kosmosie wszystko jest mozliwe, prawda? Ale nie, nie sadze, zeby ci pradawni wladcy kosmicznych drog pozostawili tu swoich wnukow. Mogli jednak zostawic cos, co wpadlo w niepowolane rece. Gdybym tak wiecej wiedzial o tych ruinach!

Moze teoria Ripa sprzed paru dni okaze sie sluszna? Moze rzeczywiscie na tej planecie znajduja sie urzadzenia nalezace niegdys do Przodkow i wystarczy je tylko odnalezc? Czy moze ktos juz je odnalazl? Ale jesli tak, to warto pamietac o tym, przed czym ostrzegal Ali - ze dawne instalacje Przodkow stanowia zagrozenie dla wszystkich, poki sa w posiadaniu nieodpowiedzialnych Ziemi.

Wspomagani przez szperacz powoli przeczesywali wylot doliny. Dan napoczal swoje zapasy i zul kostke gabczastego pokarmu, ktory podobno zaopatrywal jego mlode i wychudzone cialo we wszystkie potrzebne skladniki. Bylo to jednak pozywienie zupełnie pozbawione smaku i w niczym nie przypominalo potraw podawanych na Ziemi, czy

przygotowywanych na statku przez Mure.

Uderzył maczeta w kepe ciernistych krzewow i, potykając się o długie konary, przedarł przez zarosła. Zobaczył wówczas znajome, miniaturowe pola, otoczone kolczastymi krzewami. Pod stopami miał grubą warstwę gnijących liści, przez którą nie mogło się przedostać nawet pojedyncze źdźbło trawy.

Zatrzymał się nagle. Na burej, błotnistej powierzchni zauważył jakąś nierówność i poczuł fetor unoszący się z miejsca, z którego niedawno usunięto zielonkawo-szary mul.

Przykleknął i na czworakach okrażył ten skrawek. Nie znalazł śladów, ale wydało mu się, że musiała tu mieć miejsce bitwa. Mul nie zdążył jeszcze wyschnąć, a więc wszystko działo się bardzo niedawno. Przyjrzał się zarosłom otaczającym ten niewielki plac. Było to doskonale miejsce na zasadzkę. Jeżeli przechodził wtedy Kamil... O, tam...

Starając się nie zniszczyć śladów, Dan przeszedł na drugą stronę polany. Nie mylił się! Na galeziach niektórych krzaków widac było ślady maczety. A więc ten, kto wtedy szedł wyposażony był w przepisowy sprzęt terenowy... I ktoś czekał tutaj na niego...

A może to wcale nie ktoś, lecz coś? Może to te kuliste stworzenia? Lub właściciele nietypowego pelzacza i mordercy z tamtej doliny?

Co do jednego Dan miał absolutną pewność: znalazł miejsce, w którym Ali został zaskoczony. I nie tylko zaskoczony, ale również pokonany przez nieznaną siłę i uprowadzony. Jeszcze raz przyjrzał się bacznie krzewom. Ale nie znalazł żadnych więcej śladów. Wyglądało na to, że łowca, mając już ofiarę w reku, po prostu ulotnił się.

Dan drgnął słysząc trzaski w zarosłach. Odwrócił się w stronę, skąd dochodziły i wycelował w to miejsce swój rozpylacz promieni usypiających. Pośród liści ukazała się brązowa, znajoma twarz Mury. Dan przywołał go reka na polane. Nie musiał wskazywać miejsca walki - steward już je zauważył.

-Tutaj go złapali - stwierdził Dan.

-Ale kto lub co to jest? - zastanawiał się głosno Mura. Chwile później dodał jeszcze jedno pytanie, na które nie znali odpowiedzi:

-I jak się stąd wydostali?

-Ślady pelzacza prowadziły prosto w ścianę klifu - przypomniał Dan.

Steward zbadał obrzeże polanki.

-Na pewno nie ma tu żadnych drzwi zapadowych - stwierdził zaniepokojony, jakby rzeczywiście sądził, że znajdzie coś tak prymitywnego. - Pozostaje tylko powietrze - uniosł

reke w gore akurat wtedy, gdy rozlegl sie warkot szperacza z Kostim na pokladzie.

-Ale przeciez cos uslyszelibysmy, zobaczyli... - oponowal Dan, caly czas zastanawiajac sie, czy rzeczywiscie byliby w stanie cos uslyszec... On byl na drugim koncu doliny, gdy do Tau dotarlo to wolanie o pomoc. A od miejsca w ktorym teraz stali do punktu, w ktorym czekal medyk, bylo przynajmniej trzy kilometry nierownego terenu.

-Cos mniejszego od naszych kapsul - Mura ciagle rozwazal mozliwosci.

-Wtedy mogli uciec stad niezauwazeni. Jednego jestesmy pewni - to oni zabrali Kamila i trzeba sie dowiedziec, kim sa ci "oni". I gdzie sa...

Przedarli sie przez zarosla na otwarta przestrzen, skad dali znak Kostiemu, zeby wyladowal.

-Znalezliscie go? - zawolal jeszcze z maszyny pilot.

-Znalezlismy miejsce, z ktorego ktos go porwal. - Mura podszedl do klawiatury nadajnika.

Dan spojrzal jeszcze raz na zlowieszcza doline. Nagle jego uwage przyciagnelo cos, co dzialo sie na wyzszych poziomach otaczajacych ich klifow. Nie zauwazyl przedtem, ze slonce zniklo, gdy oni przeszukiwali zarosla. Teraz zbieraly sie chmury. Ale nie tylko chmury.

Zniknely nagie, gdzieniedzie pokryte sniegiem szczyty gor, ktore tak ostro i wyraziscie wbijaly sie w bezbarwne niebo nad Otchlania, gdy obserwowali sunacy ze smiertelna szybkościa statek. Tam gdzie przedtem widac bylo skaly, teraz klebila sie mgla. Byla tak gesta, ze wymazala polowe horyzontu, zupełnie jakby malarz zamalowal pedzlem polowe nieudanego pejzazu. Opadala na nich jakas zaslonka i w ciagu kilku sekund odciela ich od reszty swiata. Zagubic sie w czymś takim! - pomyslal lekko zaniepokojony Dan.

-Spojrzcie! - podbiegl do szperacza i szarpnal ramie Mury wskazujac na szybko znikajace wzgorza. - Spojrzcie na to!

Kosti wyrzucil z siebie jakies przeklenstwo w belkotliwym jezyku mieszkancow Wenus. Mura sluchal Dana i patrzyl. Na polnocy znikala wlasnie kolejna, ogromna czesc krajobrazu. Zauwazyli jeszcze cos: ze szczytow klifow unosily sie kleby szaro-zoltych oparow, ktore przywieraly do skal i zakrywaly ich kontury. Nie mieli pojecia, czy to wszystko bylo ta sama substancja, ale niewatpliwie nie wygladalo to obiecujaco. Stopniowo zblizali sie do siebie, troche z powodu nieuswiadomionego strachu, a troche dlatego ze zaczai ich przenikac chlod.

Z odretwienia wyrwal zwiadowcow trzask nadajnika, przez ktory wzywano ich na statek. Tam rowniez zauwazono niepokojujace zmiany w gorach i obu szperaczom wydano polecenie natychmiastowego powrotu.

W atmosferze nadal wszystko ulegało zmianie - mgły jakby wzmogły prędkość rozprzestrzeniania się.

Kleby pary nad skalami łączyły się z sobą i tworzyły jednolitą zasłonę, która opadała i dokładnie wypełniała wszystkie zakątki.

Kosti obserwował to z trwogą w oczach.

-Musimy odlecieć jak najdalej od kotlin. Ta substancja porusza się zbyt szybko. Możemy spróbować dotrzeć do bazy na promieniu wiodącym, ale to dla mnie ostateczność...

Zanim zdążyli oderwać się od podłoża, mgła dotknęła już dna doliny i klebiła się nad nierówną powierzchnią wypalonego ładu. Góry zniknęły, a podnóża wzgórz szybko wchłaniała tajemnicza materia. Cały ten proces wymazywania stałego ładu i zastępowania go brudną, kotłującą się substancją był niesamowity i przerażający jednocześnie. Wpatrywali się w wirujące opary, które w zetknięciu z obcą strukturą - ziemią - zastygały w bezruchu.

Kosti osiągnął maksymalną prędkość, ale nie zdążyli nawet przelecieć dwóch kilometrów, gdy zmuszony był wyhamować. Mgła wylewała się nie tylko z kotlin, ale również z terenów pod nimi. Kleby oparów tworzyły coraz gęstsze ściany.

Nie groziło im niebezpieczeństwo zagubienia się. Piskliwy dźwięk w słuchawkach nieomylnie prowadził ich w kierunku bazy. Ten fakt jednak nie wystarczał, by poczuli się lepiej lecąc po omacku przez gęstą mgłę.

Otoczająca ich zewsząd substancja tworzyła zawiesziste pecherzyki na osłonie kapsuły. Jedynie dzięki monotonnemu szumowi radaru nie stracili kontaktu z rzeczywistością.

-Mam nadzieję, że chłopcom udało się dotrzeć, zanim przyszło to najgorsze. - Kosti przerwał pełną napięcia ciszę.

-Jeśli nie, to będa musieli ładować i poczekać, aż to paskudztwo opadnie - rzekł Mura.

Kosti zwolnił jeszcze raz, gdy szum radaru wzmógł się.

-Nie mogę przecież zderzyć się z naszą pocziwą staruszką...

We mgle zanikało zupełnie wyczuwanie kierunku czy odległości. Może w tej chwili są trzysta metrów nad ziemią, a może tylko dwa metry. Kosti pochylił się nad przyrządami. Jego zazwyczaj dobroduszna twarz wydłużyła się i wystrzyła od napięcia. Oczy przesunął z zegarów na mgłę, i znowu na zegary.

Wreszcie ujrzeli statek - jego mroczna sylwetka wynurzała się zza mglistej zasłony. Kosti z mistrzowską precyzją skierował kapsułę w dół i usłyszeli zgrzyt zuzłu pod płozami. Pilot nie

spieszyl sie z wychodzeniem. Otarl wierzchem dloni spocona twarz. Mura przesunal sie do przodu i poklepal wielkiego czlowieka po plecach.

-Dobra robota!

Kosti usmiechnal sie szeroko:

-Nie moglo byc inaczej!

Wydostali sie ze szperacza i zupełnie nieswiadomie, chwycili za rece. Szli w strone niewyraźnej sylwetki Krolowej. Dotyk dloni stanowil nie tylko wzajemna asekuracje, ale dawal poczucie bezpieczenstwa, ktorego tak bardzo potrzebowal Dan, a byc moze rowniez jego towarzysze. Grozna mgla otaczala ich coraz ciasniej. W zetknieciu z haubami krzepła i zamieniala sie w tlusta maz, ktorej krople powoli zsuwaly im sie po twarzach i szyjach.

Wystarczylo dziesiec krokow, by znalezi sie u stop znajomej rampy i wkrótce byli juz przy oswietlonym wlasie. Stal tam Jasper Weeks, ktorego blada twarz pelna byla niepokoju.

-A, to wy - uslyszeli niezbyt cieple powitanie. Kosti zasmial sie.

-A kogo oczekiwales, maly czlowieku? Robota ziejacego ogniem? Pewnie, ze to my i cieszymy sie, ze wreszcie dotarlismy.

-Cos nie w porzadku? - przerwal Mura. Weeks podszedl znow do zewnetrznej pokrywy wlasu.

-Drugi szperacz. Nie slyszelismy ich od godziny. Kapitan rozkazal im wracac, jak tylko zobaczyl nadchodzaca mgle. Tasmu Inspekcji wykazuja, ze taka mgla moze czasem trwac pare dni - ale o tej porze roku sie nie zdarza.

Kosti gwizdnal ze zdziwienia. Mura oparl sie o sciane odpinajac haube.

-Pare dni - powtorzyl cicho Dan. Zagubic sie w tej zawiesinie na pare dni to bylaby kleska. Trzeba by wtedy po prostu wyladowac i zaczac sie modlic o wybawienie. Z drugiej jednak strony, awaryjne ladowanie w gorach w tych warunkach to samobojstwo! Teraz rozumial, dlaczego Weeks miotal sie przy wlasie. Ich wlasna podroz nad rownina wydawala sie w tym kontekscie czymś rownie prostym, jak przechadzka po parku na Ziemi.

Weszli na gore, zeby zdac raport Kapitanowi. Dowodca wlasciwie wcale ich nie sluchal, koncentrujac sie niemal wylacznie na interkome, przy ktorym siedzial Tang Ya. Oficer lacznosci wpatrzony byl w glowny ekranowizor, jego lewa reka zawisla wyczekujaco nad klawiatura nadajnika, a prawa nad przyciskiem radaru. Gdzies tam, w tej tajemniczej substancji okrywajacej Otchlan, blakal sie nie tylko Ali, lecz rowniez Rip, Tau i Steen Wilcox - calkiem spora czesc zalogi.

-Znowu jest! - czoło Tanga pokryły zmarszczki. Gwałtownie odsunął od uszu słuchawki i wówczas wszyscy usłyszeli hałas, który tak nim wstrząsnął. Dźwięk ten był nawet podobny do brzęczenia promienia wiodącego, ale osiągał znacznie wyższą częstotliwość i powodował potworny ból uszu.

Trwało to kilka minut, nim Dan zaczął sobie stopniowo zdawać sprawę z obecności jeszcze jednego elementu w tym warkocie - znajomego rytmu. Czuli go wtedy, gdy przyłożyli ręce do ściany klifu w tamtej okropnej dolinie. Zakłócenia na falach miały pewnie coś wspólnego z wibracją w skale.

Dźwięk urwał się tak nagle, jak się pojawił. Tang założył słuchawki i znowu wyczekiwał sygnału z nadajnika Aliego.

-Co to jest? - zapytał Mura. Kapitan Jellico wzruszył ramionami.

-Trudno się czegoś domysleć. Może to jakiś sygnał? Powtarza się regularnie w ciągu całego dnia.

-A więc musimy zgodzić się z tym - powiedział Van Ryck, który właśnie pojawił się w drzwiach - że nie jesteśmy sami na Otchłani. W istocie dzieje się tutaj znacznie więcej niż można było przypuszczać.

Dan osmielił się wyrazić swoje własne podejrzenie:

-Ci archeolodzy - zaczął, lecz Kapitan obrzucił go tak niechętnym spojrzeniem, że natychmiast zamilkł.

-Nie mamy pojęcia, co jest przyczyną tego wszystkiego - powiedział Jellico. - Idźcie coś zjeść i odpocznijcie.

Dan, boleśnie odczuwając tę nieoczekiwaną odprawę, ruszył za Mura i Kostim do mesy. Gdy mijali kajutę Kapitana, usłyszeli dzikie wrzaski Hoobata. Ten stwor wydawał się być w równie kiepskim nastroju, co Dan. I nawet ciepła strawa, w niczym nie przypominająca gumowatych substytutów, które musiał spożyć wcześniej w terenie, nie zdołała wyprowadzić go z przygnębienia.

Posiłek wpłynął natomiast doskonale na samopoczucie Kostiego.

-Ten Rip - oświadczył głośno - jest rozsądny. A Wilcox, on też wie, co robi. Znaleźli gdzieś bezpieczne miejsce i czekają w zaciszu, aż zniknie to paskudztwo. Nikt przecież nie będzie się w tym poruszał...

Czy rzeczywiście Kosti miał rację? - zastanawiał się Dan. Przypuszcmy, że na planecie jest ktoś, kto zna wszystkie pułapki tutejszego klimatu, kto na tyle dobrze jest obeznany z mgłą, że jest w stanie się w niej i mimo niej przemieszczać... A może nawet użyje jej jako osłony?

Ten sygnał, który słyszeli w swoich odbiornikach mógł być wskazówką dla jakiejś grupy przedzierającej się przez te zawiesziny, dla oddziału zmierzającego w kierunku nieswiadomej niebezpieczeństwa Krolowej...

Rozdział 8. - Uwieszeni we mgle

Ci spośród załogi statku, którzy nie mieli żadnych pilnych obowiązków do wypełnienia, zebrali się przy włazie, z którego widac było jedynie szara substancja okrywająca Otchlan. Właściwie najchętniej udaliby się do sterowni i posłuchali razem z Tangiem dźwięków z inter-komu, ale powstrzymywała ich obecność Kapitana. Lepiej już było przykucnąć na szczycie rampy, wpatrywać się w mgłę i nasłuchiwać. Może wreszcie usłyszą warkot silnika szperacza, który dotąd nie nadleciał. - Oni wiedzą, co robią - stwierdził po raz chyba dwudziesty Kosty. - Nie bój się ryzykować utraty życia przedzierając się przez to okropieństwo. Ali... to zupełnie coś innego. Porwali go, zanim to wszystko się zaczęło.

- Czy sądzisz, że to klusownicy? - odważył się zadać pytanie Weeks.

Jego ogromny kumpel zastanowił się głęboko.

- Klusownicy? Być może. Ale na co oni mają tu klusować, powiedz mi? Nie przywieźliśmy ze sobą sivekowskich futer ani arlunowych kryształów - przynajmniej ja nie widziałem, żeby to gdzieś tu leżało. A co z tymi martwymi stworzeniami, które widzieliście w dolinie, Thorson? - zwrócił się do Dana. - Czy wyglądali na takich, którym warto było coś ukrąść?

- Nie byli uzbrojeni, ani nawet ubrani, tak nam się przynajmniej wydawało - odrzekł Dan trochę roztargniony. - A na ich polach rosną jakieś ostro pachnące rośliny, których nigdy dotąd nie widziałem.

- Narkotyki? Może to są narkotyki? - zastanawiał się Weeks.

- Jakis nowy rodzaj. Tau nie rozpoznał liści. Dan podniósł głowę patrząc w gestę opary przed nimi. Tak, teraz był pewien: to ten sam dźwięk!

- Słuchaj! - szarpnął ramie Kostyego i wyciągnął go na rampę. - Czy teraz coś słyszysz?

W tej mgle, przez którą światło sygnalizacyjne Krolowej nie mogło się przedrzeć i która z nastaniem nocy stała się jeszcze bardziej nieprzejrzysta, rozległ się jakiś dźwięk. Regularny rytm pracującego silnika został spotęgowany w podstępnej zawieszynie i wydawało się, że cała eskadra samolotów ruszyła na nich ze wszystkich stron wszechświata.

Dan odwrócił się i opuścił dzwignię kontrolującą światła na rampie. Nawet przez tak gęstą mgłę mógł się przedrzeć jakiś słaby promień, który wskaże drogę zablakanemu szperaczowi. Weeks zniknął. Dan słyszał loskot jego magnetycznych butów na trapie: spieszył do sterowni z meldunkiem. Ale zanim Jasper dotarł do sterowni, następny sygnał rozświetlił mgłę. Był to reflektor dziobowy o pełnej mocy, którego promień nie mógł zostać

stlumiony.

W tym samym momencie ciemny przedmiot przemknął obok tak blisko, że omal nie rozbił się o rampę. Silnik huczał głośno, potem przycichł, i znowu zawarczał nad ich głowami. Samolot podchodził do lądowania.

Zgrzyt, który usłyszeli, sugerował brak wyczucia odległości u pilota. Do rampy zaczęły zbliżać się trzy postacie, które pozostawały nierozpoznawalne, dopóki nie znalazły się przy władze.

-O, Bogowie Przesławi! - do uszu oczekujących dotarł głos Ripa, który zatrzymał się i poklepał burzę statku. - Dobrze znowu widzieć naszą starą damę! O, Wszechświecie, jak dobrze!

-Jak wam się udało przedostać przez to paskudztwo? - zainteresował się Dan.

-Musielismy - udzielił mu prostej odpowiedzi asystent astronawigatora. - Tam, w górach, nie było nigdzie miejsca, żeby wylądować. Klify wznoszą się zupełnie pionowo nad ziemią. Tak nam się przynajmniej wydaje. Weszliśmy na fale prowadząca, ale przez moment... Słuchajcie, co powoduje te zakłócenia? Dwa razy uciekł nam przez to promień, nie mogliśmy tego szumu wyciszyć...

Steen Wilcox i Tau szli powoli za Ripem. Medyk, wyczerpany i obciążony awaryjnym zestawem, powłoczył nogami. Wilcox mruknął coś niewyraźnie na powitanie i przecisnął się przez witającą ich grupkę do sterowni. Rip zatrzymał się na moment i zapytał:

-Co z Alim?

Dan opowiedział wszystko, czego dowiedzieli się przeszukując dolinę.

-Ale jak to możliwe? - padło następne, pełne zdziwienia, pytanie.

-Nie mamy pojęcia. Chyba że unieśli się od razu w górę. Ale nie było tam dość miejsca dla szperacza. I pomyśl tylko o tych śladach pelzacza, które wiodą prosto w ścianę klifu. Rip, jest coś niesamowitego w tej Otchłani...

-Jaka jest odległość między ruinami a dolina? - głos asystenta astronawigatora nie był już tak serdeczny, ale spokojny i nieco szorstki.

-Byliśmy bliżej ruin niż Królowej. Ale w drodze powrotnej zaskoczyła nas mgła i nie dostrzegliśmy ich, o ile w ogóle nad nimi przelatywalismy.

-I nie słyszeliście już Aliego po tym jednym przerwany sygnale?

-Tę próbował. A w terenie byliśmy cały czas na nasłuchu.

-Mogli to z niego od razu zerwac - stwierdzil Rip. - To bylby rozsadny ruch z ich strony. Inaczej wiedzielibysmy, jak do nich dotrzec.

-A czy moglibysmy uzyskac wspolrzedne interkomu, nawet jesli nikt go teraz nie uzywa? - Dan widzial w tym rozwiazaniu jakas niewielka szanse. - Oczywiscie, o ile nadal ma zasilanie...

-Nie wiem. Ale zasieg jest ograniczony. Mozemy zapytac Tanga. - Rip byl juz na trapie, gdy to mowil i wspinal sie do kajuty, w ktorej dyzurowal oficer lacznosci.

Dan spojrzal na zegarek i sprawnie obliczal czas na Otchlani, mnozac i podnoszac do kwadratu czas obowiazujacy w ich bazie. Byla noc. Przypuscmy, ze Tang zdola okreslic wspolrzedne interkomu Aliego - i tak nie zdołaja dotrzec do niego w tych warunkach.

Oficer lacznosci nie byl sam. Zebrali sie przy nim wszyscy ze starszyzny. Tang znow trzymal sluchawki z dala od uszu, zeby inni mogli uslyszec ten nieprzyjemny dla ucha dzwiek, ktory dochodzil do nich z okrytego mgla swiata.

-To jest wlasnie to! - mowil Wilcox, gdy weszli Rip i Dan - Zupelnie odcielo fale wiodaca. Nawet udalo mi sie ustalic wspolrzedne. Ale w tych warunkach atmosferycznych, w tej zawiesinie zaslaniajacej wszystko, nie sa one na pewno zbyt dokladne. Ten dzwiek pochodzi z gor...

-Czy to nie sa zaklocenia atmosferyczne? - zwrocil sie Kapitan do Tanga.

-Zdecydowanie nie! Nie sadze, zeby to byl sygnal... chociaz moze to promien wiodacy... Ale brzmi to raczej jak jakies wielkie urzadzenie.

-Jakie urzadzenie mogloby emitowac tak niesamowite dzwieki? - zastanawial sie glosno Rip.

Tang odlozil sluchawki na pulpit zatrzaskowy tuz przy lokciu.

-Cos niewatpliwie duzych rozmiarow - moze nawet wielkosci komputera HG na Ziemi.

Wszyscy zamilkli, wstrzasnieni. Instalacja o mocy porownywalnej z HG na spustoszonej planecie byla rzecza wiecej niz niezwykla. Potrzebowali czasu, zeby z ta mozliwoscia sie oswoic. Dan zauwazyl jednak, ze nikt nie kwestionowal teorii Tanga.

-Ale co to tutaj robi? - w glosie Van Rycka slychac bylo autentyczne zdumienie. - Do czego to moze tutaj sluzyc?

-Dobrze byloby wiedziec - odparl Tang - kto to obsluguje. Pamietajmy, ze Kamil zostal porwany. Oni pewnie duzo wiedza o nas, a my ciagle poruszamy sie po omacku.

-Klusownicy - zasugerował Jellico niepewnie, jakby sam w to nie bardzo wierzył.

-I są w posiadaniu czegoś tak ogromnego jak komputer HG? Możliwe... - Van Ryck najwyraźniej nie był przekonany. - Tak czy inaczej, nie możemy iść na zwiad, póki mgła nie opadnie.

Pomost został wciągnięty i na statku ponownie zapanował porządek. Dan zastanawiał się, jak wielu jego kolegów mogło spokojnie zasnąć. On sam nie sądził, że mu się to uda, ale przecięcia ostatnich dwudziestu czterech godzin wyczerpały go niezmiernie. Śnił o Alim, o tym, że szukał go w kretych dolinach i wśród wysokich wież komputera HG.

Jego zegarek wskazywał dziewiątą, gdy rankiem następnego dnia podszedł do wjazdu. Równie dobrze mogła to być głęboka noc, jedynie szarość oparów była o trzy lub cztery stopnie jaśniejsza. Dla Dana mgła była jednak tak samo gęsta jak wtedy, gdy wrócili do bazy.

Rip stał na środku rampy i wycierał dłoń wilgotną od skondensowanej, tłustej zawiesiny, która osiadła na linie. Właśnie wrócił z przechadzki na dole i widac było, że jest zmartwiony. Dan ostrożnie zbliżał się do niego - pomost był również pokryty dziwną mazią.

-Chyba ani trochę się nie przejasnia - odezwał się niepewnie.

-Tang sądzi, że ma zamiar odbiornika Aliego! - wyrzucił z siebie gwałtownie Shannon. Chwycił w dłoń linię prowadzącą z pomostu na dół i spojrzał na zachód gniewnie, jak gdyby chciał rozproszyc wzrokiem kleby mgły zasłaniające mu horyzont.

-Skąd, z północy?

-Nie, z zachodu.

A więc stamtąd, gdzie były ruiny, gdzie Rich rozbił swój oboz! Mieli zatem rację - istnieje związek między nim a tajemnicą Otchlani.

-Nad ranem zakłocenia nagle ustaly - kontynuował Rip. - Warunki odbioru polepszyły się na jakieś dziesięć minut. Tang nie dałby za to głowy, ale sądzi, że złapał dźwięk pracującego interkomu.

-Te ruiny są dość daleko - rzucił Dan. Był jednak zupełnie pewien, że jeżeli oficer łączności w ogóle o tym wspomniał, to musiał być w dziewięćdziesięciu procentach przekonany o swojej racji. Tang nie miał zwyczaju zgadywać.

-Co możemy zrobić? - odezwał się znowu asystent Szefa Ładowni.

Rip określił linię wokół rak.

-Co możemy zrobić? - powtórzył bezradnie. - Nie możemy tak po prostu stąd wyjść i liczyć na to, że natkniemy się na ruiny. Gdyby mieli włączony nadajnik, to co innego...

-No właśnie, a co z nadajnikiem? Czy nie powinniśmy utrzymywać z nimi cały czas kontaktu? Czy nasz szperacz nie mógłby do nich trafić według ich promienia? - zapytał Dan.

-Mógłby - gdyby był jakiś promień - odparł Rip. - Zniknęli z eteru, kiedy nadeszła mgła. Tang wzywał ich przez całą noc co dziesięć minut. Włączył nawet częstotliwość awaryjną, żeby mogli w każdej chwili odpowiedzieć. Tylko, że oni milczą!

Bez promienia wiodącego żaden pojazd latający nie przebije się przez ten mrok, nie mówiąc już o bezpiecznym lądowaniu w ruinach. Ale stamtąd właśnie, i to wcale nie tak dawno, odezwał się interkom, być może z hauby Aliego.

-Byłem tam na dole - Rip wskazał ziemię, na której wylądowali, a której nie mogli teraz dostrzec nawet z pomostu. - Gdybym nie przymocował liny, zgubiłbym się po paru krokach.

Dan wierzył mu. Znal również to wzburzenie, które opanowało Ripa. Drażniła go zapewne niemożność uczynienia czegokolwiek akurat teraz, gdy mają pierwszą wskazówkę, co do miejsca pobytu Kamila. Dan przesunął się po śliskiej rampie, znalazł sznur, który Rip umocował wokół słupka i trzymając go mocno w dłoniach, spuścił się w głąb szarej chmury. W kontakcie z jego tuniką i ciałem mgła zamieniła się w krople, które spływały mu po twarzy i pozostawiły metaliczny smak na ustach. Szedł powoli, ostrożnie stawiając kroki i nie puszczał liny, która stanowiła w tych warunkach jedyną gwarancję bezpieczeństwa. W ciemnościach zauważył kontury jakiegoś przedmiotu i zaczął podchodzić do niego z obawą. Rozesmiał się jednak zawstydzony, gdy okazało się, że to tylko jeden z ich pelzaczy - ten, który zawoził sprzęt ekspedycji Richa do ich obozowiska. Jeździł tam i z powrotem...

Dłoni Dana zacisnęła się mocniej na linie. A jeśli?... Nie było żadnej gwarancji - mogli mieć tylko nadzieję...

Używając sznura za przewodnika wrócił pośpiesznie na rampę. Jeśli to, na co liczył, okaże się prawdą, to mają rozwiązanie problemu. Mogą znaleźć archeologów i zaskoczyć ich w obozie.

Rip czekał na niego. Musiał domyslić się na podstawie wyrazu twarzy kolegi, że ten odkrył coś istotnego, ale nie zadawał pytań, tylko ruszył za nim do wnętrza statku.

-Gdzie jest Van Ryck? I Kapitan?

-Jellico spi, Tau go namówił - odpowiedział asystent astronawigatora. - A Van Ryck jest chyba w swojej kajucie.

Dan skierował się zatem do biura swego bezpośredniego szefa. Gdyby tylko miał rację!... Mieliby ogromne szczęście! Pierwszy raz od czasu aukcji na Naxos, która tyle im sprawiła

kłopotu.

Szef Ładowni leżał na swej koi z rękami pod głową. Dan zawahał się, ale niebieskie oczy Van Rycka nie były zamknięte. Zdecydował się więc zadać pytanie pierwszy:

-Czy w ciągu ostatnich dwóch dni używał pan pelzacza?

-O ile wiem, nikt go nie używał. A dlaczego pytasz?

-A więc służył tutaj tylko jednemu celowi - ekscytował się Dan - czyli przewiezieniu materiałów doktora Richa do obozu.

Van Ryck usiadł. Przysunął nawet buty i zaczął je zakładać.

-I sądzisz, że pozostały w jego pamięci współrzędne tego miejsca? Może masz rację, synu, obys miał rację!

Zwierzchnik nakładał już tunikę.

-Mamy więc przewodnika! - krzyknął radośnie Rip.

-Na razie jest to jedynie przypuszczenie - ostrzegł Van Ryck.

Tym razem to Szef Ładowni pierwszy przedzierał się przez mgłę w stronę zaparkowanego pelzacza. Pojazd stał dokładnie tak, jak zostawił go Dan: przytulony do stateczników Królowej, ze ściętym dziobem wysuwającym się poza to bezpieczne ogrodzenie i wystarczyło pół obrotu, by skierować go na zachód. Automatyczny namiar ciągle wskazywał współrzędne obozu. A więc pelzacze może poprowadzić ich prosto do doktora Richa, któremu dwa dni wstecz przewoził zapasy. Mają zatem szansę znaleźć Alięgo.

Szef Ładowni bez słowa skierował się z powrotem na statek, a za nim ruszyli Rip i Dan, który zerknął jeszcze na pojazd stanowiący ich jedyną nadzieję.

-Gdybysmy tak mieli chociaż jeden przenosny miotacz ognia - mruknął pod nosem, ale usłyszał go Rip.

-Bardziej odpowiedni byłby chyba grom akustyczny!

Dan przeraził się. Miotaczem można kogoś przestraszyć lub użyć go do przelamania ewentualnych fortyfikacji, a więc jego zastosowanie jest dość szerokie. Ale grom akustyczny to okrutna broń: fale dosłownie rozdzierają człowieka i nic nie jest w stanie go przed tym ochronić. Jeśli Rip dopuścił w myślach użycie tego urządzenia, to na pewno obawiał się poważnych kłopotów. Ponieważ jednak na Królowej przestrzegano prawa Federacji, dyskusja o sprzeczności tego rodzaju była czysto akademicka.

Van Ryck podążył w kierunku sterowni. Gdy zapukał do prywatnej kajuty Kapitana,

usłyszeli wrzask Hoobata. Za chwile w uchylonych drzwiach pojawila sie znuzona twarz dowodcy. Zanim jednak przywital Szefa Ladowni, uderzyl klatke, w ktorej siedzial stwor. Ale mimo gwałtownych obrotow, jakie to uderzenie wywolalo, Hoobat nie przestawal wydobywac z gardla przeraźliwych piskow. Van Ryck obserwowal szalonego pol-ptaka.

-Od jak dawna on sie tak zachowuje, Kapitanie? Jellico spojrzal z wsciekloscia na wieznia i wyszedl na korytarz.

-Wlasciwie przez cala noc. Mysle, ze zwariowal.

Zamknal drzwi i to odrobine stlumilo wrzaski.

-Zupelnie nie wiem, dlaczego wpada w szal.

-On odbiera rowniez fale naddzwiekowe, prawda? - indagowal dalej SzeF Ladowni.

-Tak. Cztery punkty. Ale co... - Kapitan przerwal nagle. - Te przeklecie zaklocenia! Myslisz, ze to fale akustyczne?

-Niewykluczone. Czy Hoobat wyje, gdy to sie konczy?

-Mozna sprawdzic - Jellico ruszyl do kajuty, lecz Van Ryck powstrzymal go.

-Mamy teraz cos wazniejszego do zalatwienia, Kapitanie.

-Co na przyklad?

-Znalezlismy przewodnika, ktory moze nas zabrac do obozu Richa.

Van Ryck opowiedzial wszystko o pelzaczu. Jellico oparl sie o sciane korytarza. Jego twarz nie wyrazala niczego. Rownie dobrze mogli sluchac sprawozdania o rozkladzie ladunku.

-Moze sie uda - to byl jedyny komentarz, na jaki sie zdobył, ale nie spieszyl sie wcale do rozpoczecia akcji.

Zaloga zebrała sie znowu w mesie - nie bylo tylko Tanga, ktory dyzurowal przy interkomie. Gdy wszedl Jellico, wszyscy zauwazyli srebrny pret, przyczepiony za pomoca lancucha do jego pasa.

-Odkrylismy - zaczal bez wstepow - ze pelnacz towarowy ma ciagle w pamieci wspolrzedne obozu Richa. Moze wiec sluzyc za przewodnika.

Odpowiedzial mu szmer, przez ktory przedarły sie pojedyncze glosy, domagajace sie ustalenia terminu rozpoczecia akcji. Wszyscy jednak ucichli, gdy Jellico uderzyl pretem w stol proszac o uwage.

-Losy - powiedział krotko. Mura miał je już przygotowane. Wrzucił wszystkie do jednej czary i wymieszał.

-Tang musi zostać przy komputerze - przypomniał Jellico. - Pozostaje więc nas dziesięciu: ida ci, którzy wylosują krotka słomkę.

Steward podszedł do wszystkich, trzymając czare nad głowami siedzących mężczyzn. Dan zauważył, że każdy z nich miał w dłoni swój los i dopiero, gdy Mura zakończył obchod, wszyscy na raz sprawdzili swoje przeznaczenie.

Krotka słomka! Dan zadrzał - trochę z radosnego podniecenia, trochę ze strachu. Rozejrzał się szukając towarzyszy wyprawy. Rip! Słomka Ripa też była krotka! Miał taką również Kosti w swoich zabrudzonych smarem palcach. Steen Wilcox miał następną, a piąta była w rękach Mury.

Wilcox będzie dowodził - to dobrze. Dan darzył małego astronawigatora ogromnym zaufaniem. A los tak dziwnie zrzadził, że ci, którzy wyruszą, byli najmniej niezbędni na Królowej. Jeśli nastąpiłaby katastrofa, statek mógłby spokojnie opuścić Otchlan. Dan próbował jednak nie myśleć o takiej możliwości.

Jellico westchnął rozczarowany, zobaczywszy długi los. Wstał i podszedł do prawej ściany mesy. Włożył pret w jakiś otwór i otworzył niewidoczne dotychczas drzwi. Rozległ się zgrzyt, jakby nikt przez długi czas ich nie otwierał.

Oczom załogi ukazał się regał zapelniony podreęcznymi miotaczami nuklearnymi. Pod nimi wisiały na hakach pasy i kabury oraz polyskiwały złowrogo zapasowe wkłady. Był to arsenał Królowej, który otwierano tylko wówczas, gdy Kapitan uznał sytuację za skrajnie niebezpieczną.

Jellico brał po kolei miotacze i podawał je Stotzowi. Ten przeglądał je dokładnie, sprawdzał zamki i kładł na stole. Wkrótce było już na nim pięć miotaczy z zapasowymi magazynkami. Wydawało się, że Jellico przewidywał wojnę.

Kapitan zasunął pokrywę i zamknął ją wzorcowym srebrnym pretem, który zgodnie z prawem Federacji był jedynie jemu przypisany. Podszedł do stołu, spojrzął na tych pięciu wybranych i wskazał na bron. Z zajęć w Syndykacie pamiętali, jak posługiwać się miotaczami, ale zazwyczaj Posrednikowi dane było użyć tego śmiertelnego urządzenia tylko raz w życiu.

-Wszystkie są wasze, chłopcy - powiedział dowódca. Te słowa wystarczyły, by zrozumieć, jak trudne czekało ich zadanie.

Rozdział 9. - Polowanie w mroku

Jeszcze raz Dan zakładał swój sprzęt terenowy. Gdy na głowę wsuwał haubę, przyrzekł

sobie solennie, że tym razem jego interkom będzie włączony przez cały czas. Nikt dotąd nie wspomniał ani słowem o błędzie, który popełnił w dolinie. Sądził, że przez swoją lekkomyślność zostanie odsunięty od wszelkich prac. A jednak dano mu jeszcze szansę i nikt nie kwestionował wyników losowania, w którym mu się poszczęściło. A więc teraz należało udowodnić, że nie mylili się mając do niego zaufanie. Ponieważ gesta zawieszona nadal okrywała Otchlan, trudno było stwierdzić, czy zapanowała już noc, czy jeszcze trwał dzień. Zanim wkroczyli w ten mrok, zjedli gorący, pożywny obiad. Ich zegarki wskazywały wczesne popołudnie.

Czując się cokolwiek niezręcznie z miotaczem u boku, Dan schodził ostrożnie z rampy w ślad za Ripem i Wilcoxem. Kosti i Mura już pracowali przy pelzaczem.

Na płaskiej platformie niewielkiego pojazdu było miejsce dla jednego człowieka; dwóch mogło usiąść, jeśli bardzo się stłoczyli. Ale ponieważ pelzacz nie miał burt i nie było na nim nic, co powstrzymałoby siedzących ludzi przed upadkiem w nierównym terenie, woleli przywiązać line do maszyny i iść jej śladem.

Kosti przekrecił kluczyk i pelzacz ruszył do przodu, miażdżąc żwir i porowate kamienie. Nikt nie miał kłopotu z dotrzymaniem kroku, jako że pojazd poruszał się wolno.

Dan obejrzał się. Królowa zniknęła. Jedynie jasność wysoko we mgle znaczyła zasięg reflektora, który w normalnych warunkach byłby widoczny z odległości wielu kilometrów. Wtedy właśnie asystent Szefa Ładowni zrozumiał, jak wielka tragedia mogła być utrata kontaktu z pelzaczem. Zaciśnął mocniej dłoń na linie.

Na szczęście powierzchnia była dość równa i tylko raz pośliznęli się przechodząc przez pasmo żyzności. Człowiek, który prowadził pelzacz przez pustkowia podczas pierwszej podróży do ruin, wybrał najlepszą z możliwych dróg.

Stopniowo zdali sobie sprawę z jeszcze jednej szczególnej cechy mgły: szumu. Trudno było jednakże stwierdzić, czy to odgłosy ich kroków wracały do nich spotęgowane, czy był to rezultat jakiegoś innego zjawiska. Zatrzymywali się kilkakrotnie, Kosti wylączył silnik, po czym wszyscy nasłuchiwali. Wydawało im się, że tuż obok przesuwa się przez mrok jakaś inna grupa, która otoczyła ich i szykowała się do ataku. Lecz gdy tak stali nieruchomo, odgłosy milkły i dopiero wtedy, gdy znowu zaczęli ciężko stapać, pojawiło się i narastało wrażenie, że są śledzeni. Po dwóch takich przystankach wszyscy zgodnie, choć bez porozumienia, zignorowali szmery i posuwali się naprzód. Widzieli tylko cienie swych kolegów i kilkanaście centymetrów ziemi pod stopami.

Wilgoc, która skraplała się na haubach i ubraniu, była dla nich dodatkowym problemem. Substancja ta miała w dodatku bardzo nieprzyjemny zapach - tak przynajmniej wydawało się Danowi - i przyklejała się do skóry tworząc brudną, śliską warstwę. Dan próbował zetrzeć tę masę z twarzy, ale stwierdził, że jedynie wciera ją jeszcze głębiej.

Nic nie przerywało teraz ich powolnego marszu. Chociaż nie widzieli już statku ani ruin, ku którym się kierowali, elektroniczna pamięć pojazdu prowadziła ich bezbłędnie. Przeszli już jakieś trzy czwarte drogi, kiedy usłyszeli nowy dźwięk - i nie było to echo ich kroków.

Ktoś lub coś najwyraźniej biegło! Jednak ten odgłos nie był uderzeniem kosmicznych butów o ziemię - rytm różnił się jakos dziwnie od dotychczas im znanego. Brzmiało to tak, jakby istota przemykająca obok nich miała więcej niż dwie nogi.

Dan spojrział w mrok, próbując ustalić kierunek, z którego ten dźwięk nadchodził. Ale w mgłę nie mógł dostrzec wskazówek kompasu. To stworzenie mogło biec zarówno w ich stronę, jak i w stronę pustkowi. W tym momencie Dan poczuł szarpnięcie lina.

-Co to było? - usłyszał stłumiony głos Ripa.

-Trudno powiedzieć.

Dan nie słyszał już tupotu. Może to jedna z tych kulistych istot?

Jakis ciemny przedmiot wynurzył się z mgły i nagle rozległ się czyjs okrzyk. Buty przestały skrzypiec na zwirowej drodze - to znak, że znaleźli się na równym terenie. Stał właśnie na płycie chodnika, a ten cien z lewej to wyszczerbiony fragment muru. A więc przeszli przez pustkowie!

-Thorson! Dan!

Głos Ripa naglił i Dan odpowiedział mu pośpiesznie. Kosti widocznie zatrzymał pelczacz, bo nie czuł zupełnie napięcia w linie. Po chwili natknął się na asystenta astronawigatora, który pochylał się nad leżącą postacią.

Był to bezpośredni szef Ripa, Wilcox. Musiał się potknąć i jego noga, aż do kolana tkwiła w skalnej szczelinie.

Wszyscy czterej wyciągnęli w końcu astronawigatora, ale minęło jakieś pół godziny, zanim wsiadł na pelczacz. Stare, ostre kamienie budowli, na którą natrafili, rozdarły osłone nog na wysokości łydki i zraniły go do krwi. Wyjęli podreczną apteczkę i zrobili opatrunek, ale Wilcox musiał podrożować dalej na platformie maszyny.

Poruszali się w zwartej grupie tuż przy pelczaczu. Na swojej zdrowej nodze Wilcox oparł obnazony miotacz. Zamiast strzepów ruin pojawiały się stopniowo całe ściany, fragmenty dziwacznych gmachów. Ciągle jednak nie widzieli nic, co przypominałoby oboz Ziemi.

Tutaj, wśród śladów pradawnej i obcej cywilizacji, Dan odniósł znowu wrażenie, że ktoś go obserwuje, że poza zasięgiem jego wzroku, w mgłę czyha coś, co w tych sklepionych oparach czuje się doskonale. Koła pojazdu przestały skrzypiec i otaczała ich pełna grozy cisza. Po gładkich ścianach sciekła woda, tworząc tu i owdzie kaluże, z których unosił się

nieprzyjemny, niezdrowy metaliczny zapach.

Weszli w strefe pełna nienaruszonych, jak się zdawało, budowli. Twarde mury nadal pilnowały tajemnic wymarłego świata. Ciemne, cuchnące wnętrza nie zachęcały do odwiedzin.

Na szczęście pelzacz nie zatrzymywał się po drodze, lecz wytrwale sunał do przodu po wygiętych płytach chodnika. Dan uswiadomił sobie, że widział nie tylko otaczające ich kształty, ale również twarze kompanów. Może ściany budynków stanowiły przeszkodę dla mgły?... Teraz już wszyscy członkowie wyprawy często oglądali się za siebie i wpatrywali się w każdy załom. Dan nie był więc osamotniony w swoich obawach.

Pierwszego odkrycia dokonał Rip. Wyjął swą podreczną lampę i oświetlał nią chodnik. W którymś momencie jednak przesunął promień na ścianę i oczom ich ukazała się ciemna plama tuż nad ziemią. Pociągnął line dając sygnał zatrzymania się i ukląkł przy swoim znalezisku. Dan wkrótce do niego dołączył.

Rip zachowywał się bardzo dziwnie - obwachiwał tę plamę niczym pies gonczy, który zgubił ślad.

-Co to jest?

Światło lampy Ripa przesunęło się z muru na chodnik, jakby w poszukiwaniu czegoś istotnego, po czym promień skoncentrował się na brązowym rulonie. Rip przyjrzał mu się dokładnie, ale go nie dotknął.

-Ziarno craxu...

Dan stał dotychczas pochylony nad Ripem, ale gdy tylko usłyszał te słowa, wyprostował się.

-Jestes pewien?

-Powachaj!

Asystent Szefa Ładowni nie miał jednak zamiaru sprawdzać przypuszczeń kolegi. Im mniej kontaktu z craxem, tym lepiej.

Rip wstał i ruszył pośpiesznie do pelzacza.

-Na chodniku jest przezute ziarno craxu. Całkiem świeże, może z dzisiejszego rana.

-A nie mówilem? Klusownicy! - wtracił Kosti.

-Więc to tak... - Wilcox mocniej zacisnął dłoń na miotaczu.

Ziarno craxu było jednym z zakazanych w całej Galaktyce narkotyków. Ci, którzy byli na tyle nierozsadni, by je zuć, mieli przez pewien okres przyspieszony czas reakcji, podwyższone możliwości intelektualne i siłę supermana. To, co następowało później, wcale nie było takie przyjemne. Jeśli jednak spotkałeś na swojej drodze człowieka zjadającego crax, to musiałeś stawić czoła istocie o wiele sprytniejszej, silniejszej i szybszej niż ty. A takiego przeciwnika nie wolno lekceważyć.

Mimo poszukiwań, nie znaleźli żadnych innych śladów życia w pobliżu i wydawało się, że nikt poza nimi nie kroczył tą drogą od czasów wojny, która zniszczyła miasto. Jeżeli doktor Rich rzeczywiście rozpoczął swoje prace wykopaliskowe, to zlokalizowanie jego obozu ciągle nastreczało trudności.

Wilcox ustawił szybkościomierz na najniższej wartości i ruszyli dalej. Ale nie był już jedynym, który trzymał w ręku przygotowany miotacz, pozostali czterej poszli w jego ślady.

-Ciekawe - powiedział Dan przyglądając się postrzępionym dachom. - Ta mgła - zwrócił się do Ripa - czy nie wydaje ci się, że jest rozrzedzona?

-Chyba tak. Zauważyłem to już podczas ostatniego postoju. To dobrze dla nas. Spójrz na to, Thorson!

Przed nimi pojawiła się szczelina rozcinająca chodnik tak szeroko, że mogli się w niej zmieścić zarówno pelczacz, jak i towarzyszący mu ludzie. Gdyby mgła była gęstsza, ten row byłby ich ostatnim przystankiem. Maszyna była jednak na to przygotowana. Ociezale skierowała się na wschód i zaczęła wspinać się po ścianie gruzu. Wilcox musiał schować miotacz do kabury i obiema rękami chwycił platformę. Ich przewodnik dotarł na szczyt i zaczął powoli zjeżdżać, a właściwie ślizgać się po powierzchni gruzu uginającego się pod jego ciężarem.

Zapewne taki loskot zaniepokoiłby ludzi Richa, ale choć zwiadowcy z Królowej ukryli się i czekali długo na jakąś reakcję, nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek ich usłyszał.

-Tutaj na pewno nikogo nie ma - rzekł Kosti, wysuwając się zza muru na znak Wilcoxa.

-I najprawdopodobniej nikt tego miejsca dawno nie odwiedzał - dodał Rip. - Wiedziałem, że nie jest prawdziwym archeologiem!

-A co z interkodem Aliego? - wtracił Dan. - Tang odebrał przecież niewyraźny sygnał z tego kierunku - choć prawda jest że nie mógł sprecyzować, czy na pewno pochodzi on z ruin.

Wilcox przyjrzał się dokładnie otoczeniu. Mieli przed sobą row wypełniony gruzem, który tworzył niezbyt stabilny most. Pamięć pelczacza przywiodła ich tutaj, a więc pojazd musiał w czasie swoich poprzednich podróży przejeżdżać wtedy z materiałami Richa. Jeśli zatem chcieli wiedzieć, co stało się z rzekomymi archeologami, musieli podjąć ryzyko i pokonać te

przeszkode.

Astronawigator włączył silnik i przyłgnał do platformy. Maszyna przechylała się w różne strony na nierównym gruncie. Raz koła natrafiły na tak głęboką wyrwę, że pelzacz przyjął pozycję niemal pionową. Gdyby przesunął się jeszcze pół metra, jego pasażer spadłby w przepaść.

Kosti ruszył jako następny. Jego ręce ciągle mocno trzymały linę przywiązaną do pojazdu. Szedł ostrożnie, robiąc małe kroki, a spod jego hauby spływały krople potu, które znaczyły ścieżki na policzkach pokrytych mgiełną mazią. Za nim posuwali się następni, sprawdzając uważnie grunt pod nogami. Fakt, że nie widzieli dna przepaści, nie ułatwiał jednak przeprawy.

Tuż za mostem pelzacz przyspieszył i wrócił na swoją trasę. Mgła rozrzedzała się coraz bardziej, choć jeszcze całkowicie nie zniknęła. Pole ich widzenia zwiększyło się jednak do około piętnastu metrów.

-Mieli przecież bankowe namioty - powiedział nagle Dan. - I przepisowy zestaw obozowy.

-No więc, gdzie jest ten oboz? - Rip był wyraźnie zirytowany. Od czasu, gdy znalazł ten przezuty crax, stracił pogodę ducha.

-Nie zrobiliby postojów w mieście - powiedział z przekonaniem Dan. Te ruiny miały w sobie coś niesamowitego i przerażającego, co z każdego człowieka wysysało optymizm i odwagę. Dan nigdy nie uważał siebie za szczególnie wrażliwą osobę, ale nawet on odczuwał to działanie. Był przekonany, że pozostali odnieśli podobne wrażenie. Mura nie odezwał się ani słowem od czasu, gdy zobaczyli mury miasta. Włókł się na końcu grupy i przesuwał tylko wzrok z jednej strony ulicy na drugą, jakby oczekiwał, że skoczy na niego z ciemności jakieś bezkształtne straszidło. Kto odważyłby się ustawić tutaj namiot, jesc tu i spać, a potem prowadzić badania w otoczeniu tych parusetletnich, pokrytych cuchnącą mazią domów, które być może dawały schronienie istotom niezupełnie ludzkim?

Pelzacz przeprowadził ich przez labirynt murów i mineli budynki, które przynajmniej z pozoru wydawały się nienaruszone. Teraz posuwali się wśród zburzonych ścian i w ślad za pojazdem pokonywali hałdy gruzu i ziemi. Innej drogi najwyraźniej nie było.

Okrzykli właśnie jedną z takich przeszkód, gdy Wilcox nagle uderzył dłonią w przycisk kontrolny i zatrzymał maszynę. Jego gwałtowny ruch został jednoznacznie zrozumiany przez pozostałych zwiadowców - ukryli się natychmiast za resztkami ścian, po czym ostrożnie zaczęli zbliżać się do pojazdu.

Przed ich oczami pojawił się nieco jeszcze zamazany mgłą bankowy namiot. Jego powierzchnia była od wilgoci. W końcu więc dotarli do obozu Richa.

Wilcox trwał jednak nadal w bezruchu. Nie mieli przeciwko archeologowi nic prócz

podejrzen, ale postawa astronawigatora sugerowała, że miał zamiar potraktować mieszkańców tego obozu jak wrogów.

Zapiał pasek hauby i przysunął do ust mikrofon interkomu. Jego rozkazy nie były jednak słyszalne i musiał dać znak ręką, żeby otoczyli namiot. Dan ruszył za Ripem w prawą stronę, cały czas kryjąc się w załamach ścian.

Przeszli może jedna czwarta kola, które zatoczyli wokół głównej kwatery Richa, gdy Rip chwycił Dana za ramię i dał mu znak, by pozostał na miejscu, podczas gdy on przesunął się trochę dalej.

Dan przestudiował uważnie topografię terenu między swoją pozycją a namiotem. Gruz był tutaj ubity i wyrównany, jak gdyby mieszkańcy obozu przygotowali miejsce dla szperaczy i innych pojazdów. Asystent Szefa Ładowni nie znalazł się na archeologii, jednak zostały mu w pamięci fragmenty instrukcji Ripa oraz pare obrazów z taśm, które przejrzał na statku. Był więc całkowicie przekonany, że nikt nie prowadził, ani nawet nie rozpoczął, prac wykopaliskowych w ruinach. Gdyby byli to prawdziwi fachowcy, to po drodze zauważyłby ślady ich działania: jakieś odkryte fundamenty, czy może nawet pojemniki na szczególnie wartościowe znaleziska. Ale to miejsce wyglądało raczej na polowa kwatery grupy operacyjnej kolonizatorów lub Inspekcji. A może jest to oboz Inspekcji właśnie, a nie Richa?

Wreszcie wynurzył się z coraz rzadszej mgły pelzacz z Wilcoxem. Szef ich grupy podciągnął nogę tak, że nikt nie mógłby się teraz domyslić, że jest ranny. Pojazd posuwał się powoli w kierunku namiotu, lecz nie widac tam było żadnych oznak życia.

Ku zdumieniu Dana i Wilcoxa, jak można było sądzić po wyrazie jego twarzy, maszyna nie zatrzymała się jednak obok obozowiska. Skreciła natomiast omijając bankę i jechała dalej, dopóki astronawigator jej nie zatrzymał. Wpatrywał się przez chwilę w namiot, po czym szepnął do interkomu:

-Chodźcie, ale ostrożnie!

Zbliżyli się do banki, przemykając pochyleni przez otwartą przestrzeń i co jakiś czas chowając się za sterty gruzu. Gdyby jednak ktoś był w namiocie, hałas na zewnątrz na pewno zwróciłby jego uwagę. Mura dotarł tam pierwszy i zaczął szukać zamka. Kiedy kłapa opadła, wszyscy na raz spojrzeli w głąb.

Banka była pusta. Ścianki wewnętrzne nie zostały postawione, nie było nawet wykładziny, która pokryłaby nierówne, kamieniste podłoże. Nie było też pojemników i toreb, które sami widzieli na pokładzie Królowej.

-Atrapa! - mruknął gniewnie Kosti. - Postawili to tylko po to, byśmy myśleli...

-Ze ciągle tu są - dokończył za niego Wilcox. - Na to właśnie wygląda, prawda?

-Gdybysmy tedy przelatywali - mowil polglosem Rip - bylismy przekonani, ze wszystko jest w porzadku. Ale gdzie oni w rzeczywistosci sa?

Mura zasunal klape namiotu.

-Na pewno nie tutaj - oswiadczył, jakby dokonal jakiegos odkrycia. - Ale, panie Wilcox, czy pelzacz nie probowal ominac tego terenu? Moze on wie wiecej niz my przypuszczamy?

Wilcox przesuwal w palcach pasek hauby. Mgla wokol nich znikala - znacznie wolniej jednak niz sie zjawila. Jego wzrok przesunal sie z namiotu na resztki oparow. Byc moze, gdyby nie porwanie Aliego, zarzadzilby powrot do bazy. Ale w tej sytuacji, po krotkim namysle, znow wlaczyl silnik.

Maszyna okrazyla namiot i ruszyla w dalsza droge. Pojawily sie teraz kepy roslinnosci: lykowata trawa i skarlowaciale krzewy. Pochylone skaly sygnalizowaly, ze zblizyli sie do podnoza gor.

Mgla, ktora rozrzedzala sie na rowninie, teraz znowu byla gesta i otaczala ich coraz ciasniej. Przyglneli ponownie do pojazdu i nie oddalali sie od siebie bardziej niz na wyciagniecie reki.

Znowu mieli wrazenie, ze ktos ich sledzi, ze krok w krok za nimi poruszalo sie cos i nie odstepowalo ich ani na chwile. Grunt pod nogami stal sie kamienisty i nierowny, ale Kosti wypatrzył miekkie skrawki ziemi, na ktorych widac bylo slady kol. Pelzacz zatem juz raz tedy przejezdzał.

W miare jak mgla stawala sie coraz bardziej gesta, wszyscy wytezali sluch i wzrok. Poza swoimi kompanami nie widzieli jednak niczego. Nie mogli ufac odglosom, ktore do nich dochodzily.

-Uwazaj! - Rip pociagnal Dana w tyl, chroniac go tym samym przed bolesnym spotkaniem ze skalna sciana, ktora wynurzyla sie z oparow. Echo ich krokow swiadczylo o tym, ze weszli teraz w ciasny wawoz. Staneli obok siebie wyciagajac ramiona i wtedy z latwoscia dotkneli jego scian.

Wilcox zatrzymal maszyne. Byl zaniepokojony. Wedrujac tak po omacku mogli wpasc w pulapke. Z drugiej jednak strony ci, ktorych szukali, sadza zapewne, ze zaloga Krolowej nie odwazy sie opuscic statku w tej mgle. Astronawigator musial zatem zdecydowac, jakie maja szanse na zaskoczenie niewidocznego wroga i jakie jest prawdopodobienstwo, ze trafia w potrzask.

Fakt, ze byl bardziej niz inni przezorny, czynil go doskonałym fachowcem i nie pozwalal na podjecie nieprzemyslanej decyzji. Ci, ktorzy go znali, wiedzieli, ze gdy raz cos postanowil, nikt nie byl w stanie tego zmienic. Westchneli zatem z ulga, gdy ponownie wlaczyl pojazd.

W poscigu nastapil jednak bardzo szybko nieoczekiwany zwrot. Przejechali zaledwie kilka metrow, gdy wyrosla przed nimi skalna sciana. Najbardziej zaskakujace bylo to, ze kola pelzacza nadal sie obracaly, jak gdyby maszyna probowala wedrzec sie w glab klifu.

Rozdzial 10. - Wrak

-On probuje przez to przejsc! - zdumial sie Kosti.Wilcox otrzasnal sie ze zdziwienia i wylaczyl silnik. Pelzacz przestal wgryzac sie w kamienna sciane, przez ktora jego pamiec nakazywala mu przejsc.

-Pewnie celowo wpisali falszywe wspolrzedne - zasugerowal Rip.

Jednakze Dan, pamietajac to, co zobaczyl niedawno w dolinie, minal Shannona i przylozyl dlon do mokrej, sliskiej powierzchni skaly. Mial wiec racje!

Wibracja byla slabsza niz tam, ale i tak przenikala przez jego ramie i cale cialo. Wydawalo mu sie rowniez, ze sie nasila, ze dochodzi teraz z ziemi i uderza w podeszwy jego butow. Pozostali tez juz to odczuwali.

-Co do krocset! - wyrzucil z siebie Wilcox, znowu usilujac pokonac skale. - Tam musi cos byc! Ta instalacja, o ktorej mowil Tang!

To oczywiste. Urzadzenie, ktore wedlug oficera lacznosci moglo byc tutaj zainstalowane i ktore dorownywalo najwiekszemu komputerowi Ziemi, wysylalo nie tylko fale dzwiekowe slyszane na Krolowej, ale nadawalo sygnaly przez skaly Otchlani! Ale czemu to wszystko sluzyl? I jak brzmialo haslo, ktore uniosloby skale stojaca na ich drodze? Dan nie zgadzal sie z teoria o sfalszowaniu wspolrzednych. Gdyby juz ktos tego dokonal, to na pewno wyslalby ich gdzies w pustkowiu, gdzies daleko od tetniacych skal.

-Musimy sie w tym jakos polapac... - mruzczal Wilcox przesuwajac swa dlon po kamiennej powierzchni.

Dan byl jednak pewien, ze astronawigator nie uruchomi tym sposobem zadnego zamka. Sam mial juz okazje przekonac sie w innej dolinie o daremnosci takich poszukiwan.

Kosti oparl sie o gasienice pelzacza.

-Nawet jesli kiedys tedy przeszedl, to na pewno nie robi tego teraz. Nie wiemy przeciez, jak otworzyc wlasciwe wrota. Przydalby sie kawalek torytu...

-Moze da sie jednak cos zrobic - Rip przykucnal i zaczal przeszukiwac podloze przy klifie.
- Jak duzy musialby to byc kawalek?

Wilcox pokrecil glowa.

-Nie wystartujesz, poki nie bedziesz miał zamiaru, prawda? Chwyc tutaj - zwrócił się do Kostiego - połącz swój interkom z moim i spróbujmy zdwojona mocą wywołać bazę.

Mechanik odczepił swoje źródło zasilania i połączył je z rdzeniem Wilcoxa wiązaniem alarmowym.

-Instalacja zwiększa napięcie - ostrzegł Dan, czując w swoich palcach wzmożone drgania.
- Czy myśli pan, że możemy się przedrzeć przez te zakłocenia?

-Nie jest to chyba takie proste. - Wilcox przysunął mikrofon. - Ale nigdy nie nadawali bez przerwy. Możemy poczekać na taki moment.

Rip i Mura podeszli z powrotem do skały. Dudnienie było miarowe i jednostajne. Dan przeszedł na prawą stronę. Odkrył zakręt, który był jedynie przewężeniem ciągnące się dalej, spowitej mgłą kotliny. Czuli, że w miarę, jak się przesuwa, trzymając cały czas ręce na skale, drzenie staje się coraz silniejsze. Czy nie można by na podstawie dotyku wykryć tego urządzenia? Trzeba o tym pomyśleć. A gdyby tak odczepić liny łączące ich z pelzaczem i utworzyć lancuch, na którego końcu jeden z nich mógłby wysunąć się na północny-wschód?...

Wrócił po swoich śladach i zameldował Wilcoxowi o wszystkim, dodając przy tym własną sugestie.

-Zobaczymy, co powie Kapitan - odrzekł astronawigator.

Teraz, podczas postoju, dotkliwie odczuwali chłód towarzyszący mgłę. Dan zastanawiał się, jak długo Wilcox miał zamiar tu pozostać. Przez cały czas trzymali ręce na skale i zauwazyli, że rytm osłabł, że być może kiedyś nastąpi jakaś przerwa. Wilcox przygotowywał mikrofon czekając na moment, w którym to intrygujące urządzenie zamilknie.

I kiedy drzenie ustalo niemal całkowicie, wyrzucił z siebie szybko kodem Branzowców informacje o odkryciu w ruinach oraz o obecnym impasie.

Nastąpiło pełne niepokoju oczekiwanie. Mogą być poza zasięgiem Królowej, nawet przy użyciu podwojnego zasilania. W końcu jednak, poprzez trzaski spowodowane zakłóceniami atmosferycznymi, dotarła do nich odpowiedź bazy: mogli przeszukać dalszy odcinek kotliny, ale w ciągu godziny powinni zacząć powrót do bazy.

Pomogli Wilcoxowi zejść z pelzacza i odwrócili ciężką maszynę, po czym ustawili wszystkie wskaźniki na współrzędne statku. Sznury powiazali w dwie długie liny, które miały służyć do spuszczenia się w głąb kotliny.

Dan nie czekał na rozkazy: w końcu to był jego pomysł. Zawiązał jedną z lin wokół ciała, pozostawiając tym samym swobodę rąkom. Jednocześnie trzeźwo myślący Kosti wziął drugą, wrywając ją niemal z rąk Ripa i nie zważając na jego protesty.

-Znowu sie zaczyna - zameldował oparty o klif Mura.

Dan przyłożył lewą dłoń do skały i ruszył. Kosti kroczył zaraz za nim. Okrzykli zakret odkryty przez Dana i weszli w kotline ciągle wypełniona klebami mgły.

Było rzeczą oczywistą, że żaden pelzacz nigdy tutaj nie dotarł. Waska droga zablokowana była stosami kamieni i musieli sobie wzajemnie pomagać, żeby nie stracić równowagi. W miarę, jak się posuwali, drzenie w skalnych ścianach narastało.

Kosti uderzył pięścią w kamień, gdy zatrzymali się, żeby zaczerpnąć oddechu.

-Oni nie przestają walić w te bebnny! Odległe dudnienie rzeczywiście przypominało grę na tych instrumentach.

-W podobnym rytmie tancerze Burzy na Gorbie, no, może tylko trochę podobnym. Jest w nim coś demonicznego: wdziera się w ciebie i musisz wstać i podskakiwać tak jak oni. I to jest paskudne i niebezpieczne... A tutaj zaczynasz powoli przypuszczać, że coś takiego czeka na ciebie i w każdej chwili może chwycić cie w swoje szpony! - mechanik spojrzał z lekkiem na kleby mgły.

Szli dalej, wspinając się na coraz wyższe stosy kamieni. Byli zapewne bardzo wysoko nad powierzchnią doliny, w której zostawili pojazd, gdy natrafili na najdziwniejsze z dotychczasowych znalezisk.

Dan stapał chwiejnie po wzniesieniu trzymając się występow skałnych. W pewnym momencie pośliznął się i upadł, zanim

Kosti zdążył go chwycić. Stoczył się w dół, gdzie uderzył w jakiś ciemny przedmiot. Pod palcami nie poczuł jednak żwiru i kamieni, ale jakas niezwykle gładka powierzchnie. Czy był to może jeden z wielu zniszczonych budynków, tym razem daleko od miasta?

-Czy jesteś ranny? - zawołał z góry Kosti. - Uważaj! Schodzę do ciebie!

Dan odsunął się, a Kosti niemal zjechał w dół, dzwoniąc butami o powierzchnie tego ukrytego w ziemi przedmiotu.

-Co do...! - mechanik przyklakł, studiując widoczny skrawek znaleziska. Zidentyfikował go prawie natychmiast: - Statek!

-Co? - Dan przysunął się bliżej. Teraz sam dostrzegł wygięcie płyty oraz inne drobne, znane szczegóły. Rzeczywiście natknęli się na szczątki rozbitego statku - ofiary straszliwej katastrofy. Zastanawiające było to, że wcisnął się w tak wąskie gardło kotliny. Gdyby mieli iść dalej, musieliby się po nim wspinać. Dan chwycił mikrofon interkomu i zdał relację trzem pozostałym przy pelzaczach.

-Czy to wrak tego statku, który słyszeliście w czasie zwiadu? - zapytał Wilcox. Dan wiedział jednak wystarczająco dużo, żeby dać mu odpowiedź przeczącą.

-Nie, proszę pana. Ten leży tu od dawna: jest cały pokryty ziemią i zardzewiał. Myślę, że musiało minąć wiele lat, od kiedy wzbil się w przestrzeń.

-Zostaniecie na miejscach - już schodzimy!

-Ale tu nie mozna sprowadzic pojazdu: podloze jest niebezpieczne.

W koncu jednak przyszli. Na najtrudniejszych odcinkach pomagali Wilcoxowi i caly czas trzymali line, ktorej koniec przywiazany byl do pelzacza. W miedzyczasie Kosti przeszukiwal odkryty przez nich skrawek statku, probujac znalezc wlasz.

-To jakis kosmolot pionierow obrzeza - zameldowal, gdy tylko Wilcox bezpiecznie usiadl na skale. - Ale jest w nim cos dziwnego. Nie moze dokladnie okreslic typu... No i jest tu juz uwieziony bardzo dlugo. Ten wlasz powinien byc gdzies tutaj... - kopnal stos zwiru, ktory nagromadzil sie z jednej strony kadluba. - Mysle, ze moglibysmy sie dokopac.

Rip i Dan wrocili do pelzacza po narzedzia, ktore stanowily obowiazkowe wyposazenie kazdego pojazdu zwiadowczego. Przyniesli lopate i lewar, po czym zaczeli usuwac nagromadzony przez lata gruz.

-A co, nie mowilem? - Kosti nie posiadal sie z radosci, widzac czarny luk znaczący wierzcholek otwartego wlaszu.

Musieli jednak odgarnac jeszcze znacznie wiecej ziemi, zanim ktokolwiek mogl sie wczolgac w glab. Kosmoloty pionierow obrzeza byly powszechnie znane jako bardzo solidne, a w dodatku niezwykle szybkie statki. Zaprojektowano je tak, ze wytrzymywaly wstrzasy, z ktorych liniowce, a nawet kosmoloty pocztowe i frachtowce rzadko wychodzily calo.

Stan tego, na ktorym stali, dowodzil, ze jego nieznany budowniczy wykonal prace zadziwiajaco dobrze. Katastrofa nie

spowodowała zadnych większych zniszczeń. Jego kadłub nadal tworzył całość, choć niektóre części zostały wgniecione.

Gdy usuneli cały gruz, Kosti oparł się na łopacie.

-Nie mogę go rozszyfrować... - pokręcił bezradnie głową.

-A czy ktokolwiek mógłby? - odezwał się zniecierpliwiony Rip. - To tylko stos złomu.

-Widziałem już bardziej roztrzaskane. - Kosti wydawał się rzeczywiście przejęty. - Coś jest nie w porządku z jego strukturą...

Mura uśmiechnął się.

-Powiedziałbym raczej, Karl, że wręcz przeciwnie: wszystko jest w najlepszym porządku. Nie sądzę, żeby jakikolwiek współczesny statek wyszedł z takiej katastrofy w tak doskonałym stanie.

-Zaden współczesny statek? - powtórzył Wilcox. - Zatem widziałeś już takie, jak ten? Mura nie przestawał się uśmiechać.

-Gdybym widział taki jak ten, musiałbym mieć teraz przynajmniej pięćset, a może osiemset lat. Ten przypomina Kategorie Trzecia statków Pasa Asteroidów. Myślę, że jeden z nich jest wystawiony w Muzeum Branży w Porcie Wschodnim Ziemi. Ale jak on się tu dostał? - zakończył wzruszając ramionami.

Historyczna edukacja Dana nie obejmowała szczegółów dotyczących projektowania kosmolotów, lecz ich znaczenie doceniali zarówno Kosti, jak i Rip oraz Wilcox.

-Jednak pięćset lat temu nie mieli hipernapedu, - zaprotestował astronauta. - Nie ruszaliśmy się jeszcze wtedy poza nasz system słoneczny!

-Może z wyjątkiem kilku zwariowanych eksperymentatorów... - poprawił go Mura. - Istnieją, jak wiecie, kolonie Ziemiaków w innych systemach, i mają już ponad tysiąc lat. A szczegóły dotyczące ich lotów są przekazywane z pokolenia na pokolenie w formie swoistych legend. Mówi się przecież o tych, którzy wyruszyli zahibernowani w przestrzeń, aby pokonać przepaść kosmiczną. I o tych, którzy przez cztery, sześć i osiem pokoleń żyli na statkach, aż do czasów, gdy ich potomkowie stanęli na planetach do których trasy wytyczyli przodkowie. Istniały oczywiście wcześniejsze wersje hipernapedu, których realizacja mogła się udać, choć ich konstruktorzy nigdy nie dotarli z powrotem na Ziemię, aby potwierdzić sukces. Nie wiem zupełnie, w jaki sposób kosmolot pionierów z Pasa Asteroidów dostał się na Otchłan, ale jestem najzupełniej pewien, że leży tutaj od bardzo dawna.

Kosti skierował latarkę w otwór, który odkopali.

-Moglibyśmy tam wejść, chociażby po to, żeby się przekonać.

Kosmolot był małym statkiem z bardzo ciasną częścią mieszkalną. W porównaniu z nim Krolowa była niemal liniowcem. Kosti musiał nawet zawrócić przy wewnętrznym włazie, jako że nie mógł precyzyjnie się przez ciasne przejście. W końcu tylko Mura i Dan dotarli do miejsca, które przed katastrofą spełniało zapewne podwójną rolę: magazynu i kwatery.

W świetle podrecznych lamp dostrzegli nagle ogromny wylom,

przez który dostała się ziemia. Ten sektor został rozdarty z zewnętrznej strony, a powstały otwór z czasem pod warstwami piachu i kamieni. Przyczyna tego stanu nie było jednak zderzenie z planetą: dostrzegli wyraźne ślady użycia lasera. W jakiś czas po katastrofie kosmolot został otwarty płomieniem z powodów zupełnie w tej chwili oczywistych: część, do której dotarli, była splądrowana. Gdzieś tam stały jeszcze resztki pojemników towarowych.

-Ograbili ich! - krzyknął Dan kierując światło na podłogę i ściany.

Z prawej strony mieli ten wgnieciony sektor, który był niegdyś zapewne sterownia. Tutaj również dostrzegli ślady lasera na metalu, ale grabieżcy nie mieli już szczęścia: z otworów wystawała skała i wygięty metal, który na nic im się nie przydał. Wszystko poza magazynem było całkowicie stracone.

Mura ostrożnie dotykał rozcięcia na ścianie.

-To stało się jakiś czas temu, może nawet parę lat, ale na pewno długo po katastrofie.

-Dlaczego chcieli się tu dostać?

-Ciekawość, chęć sprawdzenia, co jest w środku. Kosmolot pionierów wyruszających w dalekie trasy mógł mieć na pokładzie interesujące rzeczy. A ten statek wiozł pewnie coś wartościowego. I został ograbiony. A wtedy lekki wrak przewrócił się, może było też jakieś trzęsienie ziemi i w rezultacie całkiem ugrzązł w tym wawozie. Ale przedtem go splądrowano...

-Nie sądzisz, że ci, którzy przeżyli, mogli tu wrócić? Może przed

katastrofa udało im się umknąć kapsuła ratunkowa?...

-Nie, nie sędze. Czas między kraksa a grabieza wydaje się być bardzo długi. Ten statek został odnaleziony przez kogoś innego i okradziony. Tamtym - Mura wskazał na przednią komorę - chyba nie udało się uciec.

Czy Otchlan zamieszkiwały istoty inteligentne? I czy to tubylcy użyli lasera, aby dostać się do wnętrza statku? Dana jakos nie mógł uwierzyć, żeby te dziwaczne, kuliste stworzenia mogły cokolwiek splądrować.

Zanim opuścili wrak, Mura wszedł jak najdalej w głąb przedniego sektora. Kiedy wrócił, powtarzał jakiś numer.

-Xc-4 na 9532600. Kod rejestracyjny, - powiedział. - Jakimś cudem jest jeszcze widoczny. Zapamiętaj to: Xc-4 na 9532600.

Dana zainteresowała jednak inną sprawą.

-To przecież kod ziemski!

-Tak przypuszczałem. Jest z kategorii statków Pasa Asteroidów. Może kosmolot eksperymentalny z jakąś wczesną wersją hipernapedu... Mogł być prywatną własnością, dziełem dwóch lub trzech osób, próbujących swoich sił w nowej dziedzinie. Gdyby można było go stąd wyciągnąć, nasi inżynierowie - mogliby się dowiedzieć czegoś o alternatywnej wersji zwykłego silnika. Chociażby tylko z tego powodu warto byłoby się dostać głębiej...

-Ahoj! - wzywano ich z zewnątrz. - Co tam tak długo robicie?

Dan przekazał przez interkom krótka informacje o tym, co znaleźli, po czym przeciskając się przez właz, opuścili statek.

-Całkowicie ograbiony! - Kosti był najwyraźniej rozczarowany. - Rozcieli go i okradli! Musieli mieć na pokładzie coś rzeczywiście wartościowego, skoro zadali sobie tyle trudu.

-Wolałbym wiedzieć, kto to zrobił. Nawet, jeśli działo się to całe wieki temu - odezwał się Rip, a Wilcox najwyraźniej się z nim zgadzał.

Astronawigator wstał z trudem i oparł się o ścianę.

-Lepiej wracajmy do bazy.

Dan rozejrzał się. Był przekonany, że mgła rzędła teraz również i tutaj, tak jak przedtem w ruinach. Gdyby naprawdę opadła, mogliby wziąć szperacz i dokładnie przeczesać te okolice. Nie znaleźli śladu Aliego, a każdy kolejny krok zamiast zbliżać ich do rozwiązania tajemnicy, podsuwał im coraz więcej zagadek.

Rich i jego ludzie zniknęli - w ścianie skalnej, jeżeli wierzyć pelzaczowi. A teraz ten statek obrabowany wiele lat po katastrofie, której uległ. Na dodatek gdzieś głęboko w sercu Otchlani pracowało nieznanne urządzenie, które mogło stanowić dla nich śmiertelne zagrożenie.

Wrocili do pelzacza, ale zanim Wilcox usiadł znow na platformie minęło sporo czasu i widac już było, że mgła coraz szybciej ustępuje. Dostrzegli teraz odrapane ściany budynków i poryta koleinami drogi. Musiała być niegdys uczeszczana arteria. Ci, którzy wtedy przybywali i odjeżdżali uczynili z niej niemal

autostrade jeszcze przed ladowaniem Krolowej - niektore slady mialy na pewno wiecej niz kilka dni.

W materialach Inspekcji nie bylo jednak zadnych informacji na temat tych ruin, instalacji i rozbitych statkow. Dlaczego nie? Czy raport Inspekcji zostal opublikowany? Ale przeciez Otchlan byla wystawiona na aukcji legalnie, tak jak i inne planety. Czy znaczylo to, ze grupy zwiadowcze w ogole nie zbadaly ladu?

Wystarczy im widok spalonej powierzchni, zeby stwierdzic, iz nie warto ladowac...

Zaczelo padac. Deszcz zmoczył im wysokie kolnierze tunik i zewnetrzne obicia butow. Zupelnie nieswiadomie przyspieszyli kroku, jak gdyby chcieli jak najszybciej dotrzec do bazy. Dan zalowal, ze nie mogli ruszyc na przelaj i skrocic sobie drogi do domu. Przynajmniej nie musieli juz przywiazywac sie linami do pojazdu.

Znowu znalezi sie w ruinach i tak jak poprzednio uwaznie im sie przypatrywali. Jaskrawe kolory na budynkach przytlumione byly z powodu braku swiatla slonecznego, lecz mimo to klocily sie ze soba i w niezauwazalny sposob wstrzasaly ludzkimi zmyslami. Istoty, ktore zbudowaly to miasto mialy zapewne inny sposob widzenia rzeczywistosci. Mozliwe tez, ze reakcja chemiczna wywolana pozarami niekorzystnie wplynela na farby, ktore zmienily odcien. Tak wiec, zaden z Branzowcow nie czul sie dobrze, gdy zbyt dlugo patrzyl na freski.

-To nie chodzi wylacznie o kolory - powiedzial glosno Rip. - Ksztalty tych postaci tez sa jakies dziwaczne. Na przyklad te anioly: sa powykrzywiane i wygladaja przerazajaco.

-Wybuch mógł je wypaczyc - podsunal wyjasnienie Dan. Lecz Mura nie chcial sie z nim zgodzic.

-Rip ma racje. Kolory sa wedlug naszych kryteriow zle dobrane, a ksztalty tez odbiegaja od tego, co nazywamy norma. Widzicie te wieze? Pozostaly tylko trzy kondygnacje, ale kiedys byla wyzsza... Spojrzcie na nia tak, jakby nadal tam stala, nietknieta.

Pielaby sie wysoko w Kosmos. Jednak cala jej sylwetka tez jest nieprawidlowa...

Dan rozumial go doskonale. Mozna bylo w wyobrazni podwyszyc wieze o kilkanascie pieter, ale to powodowalo zawroty glowy. Analizujac wszystkie spostrzezenia latwo bylo zrozumiec, ze Przodkowie byli rasa obca pod kazdym wzgledem, daleka genetycznie od wszelkich ras, na ktore trafili Ziemianie w swoich miedzy galaktycznych podrozach.

Szybko odwrocil oczy od wiezy, skrzywil sie przesuwajac wzrokiem po nieprawdopodobnie szkarlatnej scianie i z ulga spojrzal na bezbarwny i monotonny pelzacz, z plecami Wilcoxa okrytymi szaro-brazowa tunika na szczycie.

Astronawigator nie wlaczyl sie do dyskusji wspoltowarzyszy. Siedzial zgarbiony, trzymajac obiema rekami mikrofon wzmocnionego interkomu, ktorego Kosty nie zdazyl jeszcze zdemontowac. Bylo cos w jego postawie, co zaniepokojilo idacych za nim ludzi.

Rozdzial 11. - Cmentarzysko

Dan wytezyl sluch, probujac uslyszec w swoich sluchawkach

jakis dzwiek. Rozlegl sie trzask, ktory szybko zniknal. Na pewno jednak Wilcox ze swym podwojnym zasilaniem uslyszal znacznie wiecej. Astronawigator odsunal dlon od mikrofonu i gestem przywolal wszystkich do pojazdu. Na szczescie nie bylo zadnych zaklocen i w uszach Dana zabrzmialo nagle slowo: "Zostancie". Wilcox spojrzal na nich.

-Mamy na razie nie wracac...

-Co sie stalo? - glos Mury byl nadal zupełnie spokojny.

-Krolowa jest otoczona...

-Otoczona? Przez kogo? Co sie stalo? - padly naglace pytania.

-Ktos otworzyl do nich ogien, kiedy probowali opuscic statek. I nie moga wystartowac z jakiegos powodu. Mamy trzymac sie z daleka, az oni zorientuja sie, o co chodzi.

Mura spojrzal na doliny, ktore odslonila unoszaca sie w postrzepionych oblokach mgla.

-Gdybysmy szli przez otwarty teren na przelaj - zaczal mowic powoli - bylibysmy teraz widoczni z daleka. Ale przypuscmy, ze wrocimy tymi kretymi kotlinami, omijajac pustkowie. Moglibysmy dotrzec do Krolowej od drugiej strony, wspiac sie na wzgorza i zobaczyc stamtad, co sie dzieje.

Wilcox skinal glowa.

-Mamy nie kontaktowac sie z nimi przez interkom. To juz nie jest bezpieczne.

Chociaz mgla uniosla sie, widocznosc nie byla dobra. Musial byc juz pozny wieczor. Astronawigator przygladal sie otoczeniu z dezaprobata. Bylo dla wszystkich oczywiste, ze nie moga wedrowac w gorzystym terenie w ciemnosciach. Musza poczekac do rana. Jednak ich dowodca zwlekal z decyzja.

Mura przerwal cisze:

-Jest przeciez ta banka... Moglibysmy tam sie rozlozyc. Chyba nie uzywal jej nikt od czasu, gdy postawiono ja dla odwrocenia uwagi.

Z wdziecznościa przystali na jego propozycje i pelzacz ruszyl w strone opuszczonego obozowiska archeologow. Tam rozsuneli calkowicie wejsciowa klape, aby zmiescil sie rowniez pojazd. Dan odczul ulge, gdy drzwi namiotu zostaly powrotnie zasuniete. Dobrze znane sciany z tworzywa pochodzacego z Ziemi odgradzaly ich od wrogiego, obcego swiata i to stwarzalo poczucie bezpieczenstwa. Nie mogli sie przez nie przedrzec rowniez wiatr i mimo braku ogrzewania, bylo im calkiem wygodnie. Tylko blakajacy sie wokol pustego pojemnika Kosti uderzyl noga w wystajaca skale.

-Mogli zostawic grzejnik! Przecie jest chyba czescia wyposazenia? Rip rozesmial sie.

-Alez nikt ich nie uprzedzil o naszym przyjsciu!

Kosti obrzucil go takim spojrzeniem, jakby poczul sie zniewazony, ale za chwile rozlegl sie jego chichot.

-Tak, nikt ich nie uprzedził, nie możemy więc narzekać...

Mura zajął się sprawami, które stanowiły część jego codziennych obowiązków: zebrał wszystkie awaryjne racje żywnościowe i rozdał teraz każdemu po jednej z tych bezsmakowych kostek. Pozwolił im też na jeden łyk soku z menazki. Dana zastanowiło dokładne dozowanie żywności przez stewarda. Zachowywał się tak, jakby nie wierzył w szybki powrót do bazy. Może sądził, że te skąpe zapasy mają wystarczyć na bardzo długo.

Po posiłku rozłożyli się na piaszczystym podłożu w zwartej grupce, dla utrzymania ciepła. Z zewnątrz dochodziło złowrobnego wycie wiatru hulającego w szczelinach ruin.

Dan nie mógł zasnąć. Co się działo na Królowej? Jeśli statek był otoczony, to dlaczego po prostu nie wystartowali? Mogliby wylądować gdzieś w bezpiecznym miejscu, po czym albo wysłać po nich samolot, albo przekazać swoje nowe współrzędne. Co trzymało ich na ladzie?

Być może rozmyślenia pozostałych członków grupy zwiadowczej były podobne, ale nikt nie zwerbalizował swoich obaw, nikt nie zadawał pytań. Mieli wszak już rozkazy i postanowili je wykonać, toteż jedyne, co mogli teraz zrobić, to próbować odpocząć.

Krótko po świcie Wilcox usiadł i utykając podszedł do pelzacza. W szarym świetle poranka wyglądał znacznie starszej, tym bardziej że usta miał mocno zacisnięte. Pochylił się nad maszyną i przestawił wszystkie przyrządy na sterowanie ręczne, bo takie właśnie będzie im odtąd potrzebne.

Prawdopodobnie żaden z nich nie spał, ponieważ pierwsze kroki

Wilcoxa zadziały na wszystkich jak sygnał. W ciągu kilku sekund cała grupa była na nogach. Mrukliwie wymieniali pozdrowienia rozprostowując kosci. Posilek też nie wzbudził entuzjazmu: Mura oszczędnie rozdawał przysługujące im racje. Potem wyszli na rzeskie powietrze i z ulgą przywitani słońce, którego od tak dawna nie widzieli. Mgła zniknęła całkowicie. Na północy ostre szczyty gór wyraziście wcinają się w niebo. Tam właśnie Wilcox skierował pelzacz.

Mieli przed sobą wzgorza postrzępione kotlinami, mogli więc czuć się dostatecznie zamaskowani. Może uda im się przemknąć tedy na wschód, do bazy. Najtrudniejsze zadanie czekało astronawigatora: droga była tu bardzo nierówna, toteż zwolnił do minimum, aby nie spaść z platformy.

Po jakimś czasie podzielili się na dwie grupy: dwóch zawsze stanowiło zwiad i wysuwało się do przodu, a pozostali szli obok pelzacza. Brak jakichkolwiek śladów sugerował, że byli zupełnie sami w tym spustoszonej świecie. Tutaj droga nie byłaznaczona koleinami, nie dochodziły do nich żadne dźwięki, nie zauwazyli nawet tych rzadkich i niezwykłych owadów, które najwidoczniej przebywały w bardziej gościnnych częściach kotlin

Dan z Mura wysunęli się właśnie do przodu, gdy nagle steward chrząknął i podniósł dłoń zasłaniając oczy. Ponad ich głowami promień słońca dotknął jakiejś lśniacej powierzchni i palący snop światła uderzył Ziemię.

-Metal! - zawołał Dan. Czy jest to może trop, który doprowadzi ich do instalacji?

Ruszył w stronę tego punktu, wdrapując się niezdarnie na

rumowisko utworzone zapewne przez niedawna kamienna lawine. Potem wciagnal sie na skalny wystep i szedl dalej w kierunku zrodla swiatla. Trudno powiedziec, czego tak naprawde oczekiwal. Ale to, co znalazl, bylo niewatpliwie wrakiem kolejnego statku kosmicznego... Jego sylwetka byla dziwna, nawet jesli wziac pod uwage zniekształcenia wywolane przez krakse. Byl mniejszy niz kosmolot, ktory odkryli poprzedniego dnia. Byl rowniez bardziej zniszczony: jego kadlub stanowiły teraz kawalki pokrytego rdza metalu.

Mura dolaczyl do Dana i spojrzal w dol na zgnieciony pojazd, ktory niegdys przemierzal Kosmos.

-Ten jest stary - bardzo, bardzo stary. - Wzial w reke kawalek jakiegos preta. W jego palcach, zamiast metalu, zostal czerwony pyl. - Mysle, ze zaden Ziemianin nigdy nie przebywal na jego pokladzie.

-Statek Przodkow? - Dan byl wstrzasniety. Gdyby to rzeczywiscie byla prawda, gdyby udalo im sie odkryc cos tak cennego, zaroiloby sie tu natychmiast od statkow Inspekcji i sluzb pokrewnych.

-Moze nie az tak stary -juz by go nie bylo... Ale przed nami byli w przestrzeni miedzygalaktycznej Rigelianczycy i wymarla juz rasa Angoli Wtornych. To oni mogli go zbudowac...

-Ale dlaczego tutaj przylecieli? - zastanawial sie Dan. - To dziwne, ze zarowno kosmolot pionierow, jak i ten tutaj statek, zakonczyl podroz tak tragicznie. Jest jeszcze ten frachtowiec, ktory slyszelismy, zanim opadla mgla. A Krolowa nie miala najmniejszych problemow z ladowaniem. Czegos tu nie

rozumiem: aż trzy katastrofy na jednej planecie?

-Tak, to daje wiele do myślenia - zgodził się Mura. - Może powinniśmy się jeszcze rozejrzeć. Rozwiązanie tej zagadki jest być może w zasięgu naszego wzroku i słuchu, a jednak nie możemy go dostrzec.

Zatrzymali się na skalnym występie, aby dać sygnał grupie przy pelzaczach. Astronawigator dokładnie ustalił współrzędne tego miejsca, na wypadek, gdyby mogli tu przysłać później grupę badawczą. Może wiek tej maszyny i jej tajemnicze pochodzenie zdecydują o wartości znaleziska.

-To wszystko przypomina mi trochę sposób, w jaki Sysyci łowią szkarlatne jaszczurki, których skóry wykorzystują do robienia butów - powiedział Kosti. - Maja taki rodzaj wahadła, cienki drut przymocowany do silniczka. Kiedy zobaczy to jaszczurka, to właściwie przepadła. Siada i gapi się w ten pret, po czym przychodzi Sysyt i spokojnie wrzuca ją do worka. Może ktoś zainstalował tutaj coś w tym rodzaju, żeby zwabić statki? To dopiero byłaby zabawa!

Wilcox przyglądał mu się uważnie.

-Kto wie, może masz rację - odparł, przesuwając palce po mikrofonie. Najwyraźniej chciał zawiadomić bazę o kolejnym znalezisku. Miał również propozycje dla zwiadowców: - Rozejrzyjcie się w tych kotlinach, ale nie tracie na to zbyt dużo czasu. Chciałbym wiedzieć, czy są tu w okolicy jeszcze jakieś wraki.

Odtąd zatem robili krótkie wycieczki w głąb dolin, choć cały czas

kierowali się w stronę Królowej. Trzeci statek znaleźli Kosti i Rip.

O ile dwa poprzednie pochodziły z czasów bardzo odległych, ten nie tylko był najzupełniej współczesny, ale nawet udało im się go od razu rozpoznać. Jakims dziwnym zrzadzeniem losu nie był on również tak bardzo zniszczony. Maszyna leżała co prawda na boku, ukazując wypaczona i polamana blachę, ale nie była zmiadzona.

-Inspekcja! - krzyknął Rip. Na szczęście nikt nie mógł ich usłyszeć.

Nie mylili się jednak co do znaków na rozbitym dziobie: skrzyżowane warkocze komet były tak dobrze znane na międzygwiazdnych szlakach jak laserowe miecze Patrolu.

Wilcox pokustykał do przodu dołączając do reszty. Szli ostrożnie wzdłuż brzoły nowego znaleziska.

-Właz jest otwarty - zawołał Rip ze skały, na którą się wspinał, żeby mieć lepszy widok.

Uwagę ich zwrócił jednak nie sam właz, lecz to, co z niego zwisało. Lina zawieszona w ten sposób znaczyła tylko jedno: ktoś ocalał! Czy było to wyjaśnienie wszystkich zagadkowych zdarzeń na Otchłani? Dan usiłował przypomnieć sobie, jak liczna załoga miała statek Inspekcji... Zwykle towarzyszyła im grupa specjalistów. Może więc było ich tylu, co na pokładzie Królowej?

Choć nie istniał w zasadzie powód, dla którego ktokolwiek miałby pozostać w rozbitym statku, jednak grupa Ziemiaków przygotowała się do zejścia. Rip umocował linę na skale i zawisł dokładnie nad

wejsciem. Na zewnatrz pozostal tylko Wilcox.

Dan mial bardzo dziwne wrazenie opuszczajac sie w glab szybu, ktory byl kiedys korytarzem. W przedzie migotaly przelotne promyki odbijajacego sie od gladkich powierzchni swiatla lamp. Zwiadowcy zagladali do kajut.

-Ten tez jest ograbiony! - zabrzmialy w sluchawce slowa Ripa. -
Ide do sterowni...

Dan nie wiedzial zbyt wiele o rozkladzie pomieszczen na statku Inspekcji. Mogl jedynie isc za innymi. Zatrzymal sie przy pierwszych otwartych drzwiach i skierowal latarke w ciemny otwor. To musial byc magazyn uniformow kosmicznych i narzedzi badawczych, taki jaki mieli na Krolowej. Teraz bylo tu jednak zupełnie pusto - szafki rozpruto najwidoczniej w ogromnym pospiechu. Czy zalodze udalo sie opuscic poklad przed katastrofa? Nie, to nie wyjasnia istnienia tego sznura przy wlawie.

-O, Bogowie! - W glosie Ripa slychac bylo takie przerazenie, ze Dan stanal jak wryty. Co on tam odkryl?

-Co sie stalo? - to Wilcox niecierpliwil sie na gorze.

-Ide do ciebie... - mruknal Kosti. Chwile pozniej zatrzeszczaly im w haubach okrzyki mechanika, rownie przerazonego jak Rip.

-O co chodzi?! - wsciekl sie Wilcox.

Dan szybko opuscil pomieszczenie i ruszyl w strone przejscia laczonego wszystkie sektory statku. Zauwazyl przed soba Mure i

wkrotce do niego dolaczyl.

-Znalezlismy ich - smutno odpowiedzial astronawigatorowi Rip.

-Znalezliscie? Kogo? - nalegal Wilcox.

-Zaloge!

Korytarz byl zablokowany. Dan moglby cos zobaczyc ponad Mura, ale Kosti i Rip byli zbyt potezni i zaslaniali calkowicie wejscie do sterowni. Rip odezwal sie znowu glosem tak zmienionym, ze trudno bylo go zrozumie.

-Musimy... stad... uciekac...

-Tak! - potwierdzil Kosti.

Obaj odwrocili sie i Mura oraz Dan wycofali sie teraz do wlazu ponaglani przez wstrzasnietych kolegow. Wdrapali sie na zakrzywiona burte statku. Rip przeczolgal sie do statecznikow i bez sil oparl sie o nie walczac z nudnosciami.

Twarz Kostiego byla zielonkawa, ale utrzymywal rownowage. Nikt z pozostalych trzech nie mial odwagi zapytac w tym momencie, co tam zobaczyli. Wytrzymali w niepewnosci az do chwili, gdy drzacy jeszcze Rip zsunal sie po linie na ziemie. Wilcox stracil cierpliwosc:

-No wiec, co tam sie stalo?

-Morderstwo! - uslyszeli krotka i az nazbyt jasna odpowiedz Ripa. Slowo to, zwielokrotnione echem, brzmialo jeszcze dlugo w ich uszach.

Dan odwrócił głowę w stronę wjazdu. Mura bez żadnych wyjaśnień schodził powtórnie na pokład. Zaciemniona hauba twarzy małego człowieka była spokojna i opanowana.

Wilcox nie zadawał pytań. Po dwóch czy trzech minutach Mura odezwał się z dołu:

-Ten statek również został ograbiony.

Najpierw roztrzaskany kosmolot, a teraz to - niewątpliwie łup był znacznie bogatszy. Ci, którzy przeżyli wcześniejsze katastrofy mogli szukać pożywienia albo materiałów, które uczyniłyby życie na pustkowiu znosniejszym, ale - Rip przerwał ten tok rozmyślań jednym straszliwym zdaniem:

-Ludzie Inspekcji zostali spaleni ogniem miotaczy!

Spaleni! Tak, jak te dwukuliste stworzenia, które znaleźli w dolinie. Bezlitosne, obce cywilizowanym światom okrucieństwo miało Otchłan we władaniu. Kolejny okrzyk Mury sparaliżował wszystkich.

-Sadzę, że to jest zaginiony Rimbald! Statek, którego zniknięcie było pośrednią przyczyną aukcji na Naxos, a więc również ich pojawienia się tutaj! Ale jak on dotarł na te kręce Wszechświata i co spowodowało katastrofę? Statki Inspekcji były całkowicie niezawodne ze względu na rodzaj powierzonych załodze zadań... Chyba tylko dwa razy w ciągu stu lat zdarzyło się, żeby któryś zaginął. A jednak Rimbald nie miał szczęścia, mimo doświadczenia doskonale wyszkolonej załogi oraz istnienia wszystkich tych urządzeń zabezpieczających.

Dan zsunął się po linie na ziemię. Kostim ruszył za nim. Słońce schowało się za chmury, a pojedyncze krople deszczu uderzały o skały. Zaczynało już mżyć, gdy dołączył do nich steward. To, co zobaczył wewnątrz Rimbolda, nie wstrząsnęło nim tak jak Ripem i Kostim. Miał jednak zamysłony, zadziwiony wyraz twarzy.

-Czy Yan nie opowiadał takiej historii? - zapytał nagle. - O czasach, kiedy statki podróżowały tylko po oceanach, a nie w Kosmosie. Podobno było takie miejsce na zachodnim oceanie Ziemi, gdzie nie wiały żadne wiatry i pełno było wodorostów, które chwytaly statki w potrzaski... Unosiły się potem na powierzchni takie wysepki śmierci...

Rip zastanawiał się, kiwając głową.

-Tak, tak... Morze Sago... nie! Morze Sargassowe!

-No właśnie. Mamy tu takie Morze Sargassowe Kosmosu, które chwyta w zasadzkę statki i doprowadza do ich katastrofy. Cokolwiek to jest, jego moc jest przeogromna. Statek Inspekcji to nie było jakiś wytwór wczesnych eksperymentatorów, którzy mogli się mylić. To nie kosmoplan pionierów obrzeża, którego silnik może w każdej chwili zawieść.

-Ależ - zaprotestował Wilcox - Królowa nie miała przecież żadnych kłopotów z lądowaniem!

-Czy przyszło ci może do głowy - odezwał się Mura spokojnie - że z jakiegoś powodu pozwolono nam spokojnie wylądować?

To wyjaśnialoby wiele, ale pomysł był przerażający. Znaczyłoby to, że Królowa Słońca była pionkiem w jakiejś grze. W grze

doktora Richa może? Nie mieli już żadnej kontroli nad swoim i jej losem.

-Ruszajmy! - Wilcox wstał i powłócząc nogą ruszył w stronę pelzacza.

Odtąd nie robili już wypadków w poszukiwaniu wraków. Dan przypuszczał, że mogło ich być tutaj sporo. Zaczął rozmyślać o wyjaśnieniu, które podsunął Mura: o Morzu Sargassowym Kosmosu, przyciągającym wędrowców drog międzygwiazdnych, którzy przypadkiem znaleźli się w zasięgu zgubnego działania. Dlaczego jednak Królowej udało się normalnie wylądować, podczas gdy inne statki kończyły lot katastrofą? Czy może dlatego, że Rich i jego ludzie byli na pokładzie? Kim był w takim razie Rich?

Przeprawili się przez strumyk, którego wody wezbrały po ostatnim deszczu. Wilcox zatrzymał pelzacz i powiedział wskazując na pobliski klif:

-Zbliżamy się do Królowej. Jeśli nie chcemy jej ominąć, powinniśmy wspiąć się już na górę.

Postanowili rozbić tymczasowy oboz, z pelzaczem jako baza. Na zwiad wyruszy jednorazowo tylko dwóch członków grupy, a pozostali dotrzymają towarzystwa Wilcoxowi. Było już późne popołudnie, a gdy nadejdzie noc, będą mogli poruszać się bardziej swobodnie. Muszą jednak znaleźć najlepszy punkt obserwacyjny przed zapadnięciem zmroku.

Rip i Mura poszli pierwsi. Nie mogli już ufać nadajnikom, ponieważ ich sygnały zostałyby na pewno przechwycone, toteż

Shannon zjawil sie niebawem, aby zameldowac, ze Krolowa znajduje sie w zasiegu wzroku, ale jest jeszcze dosc daleko.

Wilcox ostroznie wlaczył maszyny i wyprowadził ją z doliny, która dopiero co wybrali na swoją bazę. Przeszli jakieś dwa kilometry wzdłuż skraju równiny, po czym ukryli się za występem skalnym, czekając na kolejny meldunek. Tym razem pojawił się Mura.

-Stamtąd - wskazał szczyt skały - wszystko dobrze widac. Krolowa jest zamknięta i kreca się wokół niej ludzie. Ale nie mogliśmy ich policzyć ani nie widzieliśmy ich broni.

Kosti, którego lek wysokości powstrzymał od wspinaczki, powrócił właśnie z wędrowki po równinie. Wiadomości, które przyniósł były tak samo istotne, jak informacje Mury.

-Jest takie miejsce tam na gorze, za punktem obserwacyjnym, gdzie można postawić pelzacz i nie będzie go widac z zadnej strony.

Wilcox skierował maszyny w tamtą stronę, a mechanik przejął potem ster, żeby ustawić ją w ciasnym załomie. Kosti i Wilcox pozostali tam, podczas gdy Dan wraz z Mura wspieli się na szczyt. Rip siedział oparty o skałę i przez lornetkę obserwował rozciągające się poniżej pustkowie.

Na tle nieba widac było ostry dziób Krolowej. Istotnie, włączyły się zamknięte, pomost wciągnięty: najwyraźniej przygotowane do startu. Dan odpisał swoją lornetkę od pasa, przyłożył do oczu i ustawił ostrość. Tuż przed nim wyrosły nagle skały otaczające statek.

Rozdział 12. - Oblezenie

Dostrzegł wówczas również jeden pojazd o bardzo dziwnym kształcie oraz dwóch opartych o niego ludzi. Wydawało się, że byli oni doskonale widoczni z Krolowej i Dan zastanawiał się, dlaczego Branzowcy nie zaatakowali - o ile, oczywiście, ci, których widział, byli wrogami.-Nie ma gdzie się ukryć - zauważył głośno. Ale Rip nie był tego taki pewien.

-Niezupełnie. Jest tam trochę skal. Widoczność jest w tej chwili kiepska, ale zobaczysz je, gdy pokaze się słońce. Gdybyśmy mieli karabin ogluszający...

Tak, z tego wzniesienia i mając do dyspozycji karabin, można by po kolei unieszkodliwić krecące się w dole postaci, nawet z tej odległości. Jednakże ich wyposażenie stanowiła wyłącznie broń krótkiego zasięgu: rozpylacz promieni usypiających oraz miotacze, skuteczne jedynie w bezpośrednim starciu.

-Równie dobrze mogłbyś sobie marzyć o bazookie - skomentował Dan.

Oba szperacze zniknęły z pola. Przypuszczalnie zostały wciągnięte na statek. Asystent Szefa Ładowni dokładnie badał teren, starając się dostrzec każdy nienaturalny kształt. W ciągu kilku minut naliczył pięć posterunków rozstawionych nieregularnie wokół Krolowej. Cztery z nich były zmotoryzowane: maszyny przypominały w pewnym stopniu ich własne pelzacze, lecz miały dłuższą i węższą sylwetkę. Zapewne swobodniej poruszały się w wąskich kotlinach i innych zakamarkach planety.

-Jeśli już mowa o bazookach - głos Ripa był napięty - co tam

widzisz? Co to jest?

Lornetka Dana posłusznie przesunęła się na zachód.

-Gdzie?

-Tam w lewo od tej skaly, która trochę przypomina głowę Hoobata.

Dan szukał wzrokiem czegoś, co w swej potworności przypominałoby ulubienca Kapitana. Wreszcie znalazł. Teraz w lewo... Tak! Najzwyklejsza lufa! Czy była to, czy mogła to być lufa bazooki, skierowanej na statek, trzymającej go na muszce?

Bazooka nie mogła zagrażać szczelnie zamkniętemu statkowi, to prawda. Mogła jednak przynieść nagłą śmierć tym, którzy odwagiliby się wejść w chmurę gazu ulatniającego się z wyrzucanych przez nią pocisków. Z tą bronią nie było żartów.

-O, Kosmosie! - westchnął Dan. - Dostaliśmy się chyba w samą paszczę lwa!

-Który w dodatku siedzi nam na karku i dyktuje warunki - zgodził się z porównaniem Rip. - Ale dlaczego Królowa nie wystartowała? Mogliby przysiąść gdziekolwiek, a my dołączylibyśmy do nich później. Po co oni tu zostali?

-Czy myślisz - zapytał Mura - że może to mieć jakiś związek z wrakami? Gdyby statek próbował się unieść, stałoby się z nim być może to samo, co z innymi.

-Zaden ze mnie ekspert - odrzekł Dan - ale nie rozumiem, jak mogliby go ściągnąć... Nie widac tu przecież nic dostatecznie

wielkiego, co pokonaloby moc Krolowej. A trzeba by nie lada sily...

-Czy widziales jakies slady uzycia sily na Riboldzie? Nie bylo zadnych, prawda? Uderzyl w ziemie, jak gdyby przyciagala go sila, ktorej nie mogl sie przeciwstawic. Tamci w dole znaja pewnie te tajemnice. Mozliwe, ze zapanowali nie tylko na powierzchni Otchlani, ale rowniez w przestrzeni kosmicznej.

-Sadzisz, ze ta instalacja moze byc czescia ich systemu? - zapytal Rip.

-Kto wie - kontynuowal spokojnym glosem steward, nie przestajac obserwowac rowniny. - Bardzo mozliwe, ze tak. Chcialbym tam zejsc po zapadnieciu nocy i troche poszperac. Przydalaby nam sie krotka i uprzejma rozmowa z jednym z wartownikow.

Ton Mury w ogole nie zmienil sie: byl jak zwykle lagodny i opanowany. Dan wiedzial jednak doskonale, ze nie nalezalo lekcewazyc jego slow. Nie chialby byc na miejscu tego, z ktorym wlasnie mial ochote "pogwarzyc" sobie jego druh.

-No coz - Rip przygladal sie okolicy. - Moze nam to wyjdzie... Albo jeden z nas moglby sprobowac dostac sie na poklad i dowiedziec sie, o co tu chodzi.

-A moze skontaktujemy sie z nimi przez interkom? - zasugerowal Dan. - Jesteśmy dostatecznie blisko.

-Widzisz te helmy na glowach wartownikow? - zwrocil mu uwage Rip. - Zaloze sie o caly moj zarobek na Ziemi, ze odbieraja nasza

czestotliwosc. Jesli my cos powiemy, oni beda to slyszec. I nie tylko slyszec, bo na pewno nas wtedy zlokalizuja. A w dodatku znaja ten teren lepiej niz my. Masz ochote zabawic sie z nimi w chowanego?

Dan zdecydowanie wolalby tego uniknac, ale trudno mu bylo zrezygnowac z nawiązania kontaktu przez interkom. O ilez byloby to latwiejsze od wielogodzinnych poszukiwan i prob dotarcia do reszty zalogi osobiscie... Mistrzowie w Syndykacie wbijali mu jednak przez wiele lat do glowy, ze niewiele bylo w zyciu Branzowca latwych i bezpiecznych drog. Od pierwszego do ostatniego momentu podrozy trzeba bylo myslec i byc czujnym. W kazdej chwili mogla zaistniec potrzeba improwizacji: wszystkie sztuczki byly dozwolone, gdy w gre wchodzil zysk z wyprawy, statek lub twoja skora. Wydawalo sie, ze w obecnej sytuacji te dwie ostatnie wartosci byly mocno zagrozone.

-Wiemy przynajmniej - mowil dalej Rip - ze nie tylko Rich i jego doskonale dobrani chlopcy sa w to wplatani.

-Rzeczywiscie - zgodzil sie Mura - wydaje sie, ze przeciwnik przewyzsza nas liczebnościa. - Przesuwal wzrok z jednej grupki wartownikow do drugiej. - Jest ich tam chyba pietnastu.

-Nie mowiac juz o posilkach, ktore moga miec w gorach. Ale kim, na Czarne Krance Kosmosu, oni sa? - wybuchnal Rip.

-Cos sie dzieje... - Mura zastygl w bezruchu, wpatrujac sie w jeden punkt.

Dan skierowal lornetke w te strone. Steward mial racje. Jeden z oblegajacych odwaznie opuscil swoje ukrycie i podszedl do

statku wymachując energicznie nad głową prastarym symbolem negocjacji: kawałkiem białego materiału.

Przez moment wydawało się, że Królowa nie zamierza odpowiedzieć. Ale włączył się wysoko nad powierzchnią ziemi, został po chwili otwarty. Nie spuszczano jednak rampy i tylko w otworze widac było zarys postaci. Dan rozpoznał Kapitana Jellico.

Posiadacz białej flagi zatrzymał się w pewnej odległości. Obserwatorzy nie widzieli zbyt dobrze w półmroku, mogli jednak wszystko usłyszeć. Rip miał rację: interkomunikatory najeźdźców ustawione były na ich pasmo częstotliwości.

-Przemyslał pan to, Kapitanie? Będzie pan rozsądny?

-Czy tylko tyle chce pan wiedzieć? - był to bez wątpienia chrapliwy głos Jellico. - Przekazałem wam swoją decyzję ostatniej nocy.

-Może pan tu sobie siedzieć, aż umrze pan z głodu, Kapitanie. I proszę nawet nie próbować wystartować!

-Jeżeli my nie możemy stąd odlecieć, to i wy tutaj się nie dostaniecie!

-I ma rację - zauważył Mura. - Żadne z tych urządzeń na dole nie jest w stanie wdrzeć się na Królową. A jeśli nawet mogą ją zmiążdżyć, to i oni nie będą z niej mieli pożytku.

-Sądziś, że o to im właśnie chodzi - o statek? - powatpiewał Dan.

-To oczywiste - odrzekł Rip. - Nie chcąc, żeby się uniosła, a więc

maja zamiar ja jakos wykorzystac. Zaloze sie, ze Rich sciagnal nas tutaj tylko po to, zeby dostac Krolowa.

-Jest jeszcze sprawa zapasow, Kapitanie - zabrzmial w sluchawkach glos przeciwnika. - My mozemy siedziec tu i pol roku, jezeli to bedzie konieczne, a pan tego nie wytrzyma! Niech pan nie bedzie dzieckiem! Proponujemy wam uczciwy interes, a nie macie chyba szczegolnego wyboru, prawda? Pozbyliscie sie wszystkiego na aukcji, kupujac prawa handlu z Otchlania. A my proponujemy cos znacznie lepszego niz prawa handlu. I mamy cierpliwosc, zeby poczekać na decyzje.

Nawet jesli mowca rzeczywiscie mial cierpliwosc, ktora tak sie przechwalal, zabraklo jej jednemu z jego ludzi. Padl strzal. Jellico zrobil unik albo wpadl w glab statku. Rozlegl sie zgrzyt zamykanego wlazu. Trzej Branzowcy siedzieli nieruchomo na klifie. Wydawalo sie, ze czlowiek z flaga nie oczekival takiego posuniecie ze strony swoich kompanow. Zawahal sie przez moment, a potem rzucil biala szmate i skoczyl za wystep skalny. Stamtad dopiero spojrzal w strone swego posterunku.

-Tego nie bylo w programie - powiedzial Mura. - Ktos stracil cierpliwosc o ulamek sekundy za wczesnie. Dostanie mu sie za nadgorliwosc. Przekreslil wszelkie przyszle negocjacje.

-Czy Kapitan moze byc ranny? - zapytal z obawa Dan.

-Nasz stary zna wszystkie sztuczki. - Rip nie wygladal na zmartwionego. - Mysle, ze zdazyl sie ukryc. Ale teraz beda musieli go zaglodzic, jesli chca, zeby sie poddal. Ten strzal na pewno nie wyciagnie naszych ludzi z pokladu.

-Tymczasem my powinniśmy zająć się swoimi sprawami. - Mura położył lornetkę na kolanach. - Być może uda nam się precyzyjnie między wartownikami, ale statek jest zamknięty, więc jak mamy się tam dostać? Przecież nie spuszcza liny na nasze zawołanie. Przynajmniej nie teraz.

Dan wpatrywał się w przestrzeń między szczytem, na którym siedzieli, a Królową. Może byłoby łatwo przemknąć między posturkami przeciwników - pochłonięci byli raczej statkiem niż tym, co znajdowało się na ich tyłach. Możliwe, że nie widzieli jeszcze o grupce, która wysłano na zwiad w ruiny. Ale jak wejść na pokład, gdy dotrą już do swego celu?

-Mamy problem, niewielki problem... - mruczał pod nosem Mura.

-Czy nie jesteśmy na tym samym poziomie, co sterownia? - zapytał nagle Rip. - Moglibyśmy wymyślić jakiś sygnał i dać im znać, że kogoś wysyłamy.

Dan chciał spróbować. Mrużąc oczy porównywał wysokość, na jakiej się znajdowali z dziobem statku.

-Musimy to jednak zrobić szybko - ostrzegł Mura. - Jest coraz ciemniej.

Rip spojrzał w niebo. Słońce, które towarzyszyło im rano, dawno już zniknęło. Wisiały teraz nad nimi ołowiane chmury. Wokół panował półmrok.

-A gdybyśmy tak zrobili osłone z naszych tunik i zapalili w środku lampę? Z boków i z dołu światło nie byłoby widoczne, ale mogliby je dostrzec ze sterowni... - odezwał się Shannon.

W odpowiedzi na to steward odpisał swój pas i rozpiął mundur. Dan natychmiast poszedł w jego ślady. Potem, trzesąc się z zimna, przykucnęli i utworzyli z tunik parawan. Rip usiadł w środku i zaczął zapalać i gasić lampę przekazując w ten sposób sygnał alarmowy kodem Branzowców. Mieli niewielką szansę, że ktoś będzie siedział w sterowni, patrząc w ciemność pod takim akurat kątem, że dostrzeże to światło, małe jak główka od szpilki.

Nagle błysnęła nocna latarnia Królowej. Trzech siedzących na klifie ludzi czekało w napięciu na jakiś znak. Po chwili żółty snop światła zmienił odcień na czerwony.

Mura odetchnął z ulgą.

-Zrozumieli nas.

-Skąd wiesz? - Dan nie rozumiał, na jakiej podstawie steward wyciągnął taki wniosek.

-Włączyli promień sztormowy. Widzisz? Teraz znowu zanika. Ale nas zauwazyli! - Uśmiechnął się zakładając tunikę. - Myślę, że powinniśmy zawiadomić Wilcoxa o naszym sukcesie. Trzeba też zdecydować, co mamy przekazać na statek. Nawet jeżeli oni nie mogą się z nami porozumieć, to przecież my możemy im przesłać informacje i może uda nam się z tego jakos wybrnąć.

Zeszli więc do pelzacza i zrelacjonowali wszystko, co widzieli i czego dokonali.

-Ale nie są w stanie nam odpowiedzieć - podkreślił Wilcox. - Nie użyliby promienia sztormowego, gdyby mieli inny sposób na

potwierdzenie odbioru sygnału.

-Bedziemy musieli kogos wyslac. Teraz moglibysmy tylko zasygnalizowac, ze jeden z nas idzie do nich. Beda na niego czekali i wciagna go na poklad - tłumaczyl pelen entuzjazmu Rip.

Zachowanie Wilcoxa sugerowalo, ze nie do konca zgadzal sie z tym pomyslem. Chociaz jednak przedyskutowali wszystko szczegolowo, nie znalezi innego rozwiazania.

Mura wstal.

-Noc szybko nadchodzi. Musimy natychmiast sie zdecydowac. Wspinaczka na gore nie jest latwa i nie mozna wedrowac do naszego punktu w ciemnosciach. Kto i kiedy ma pojsc? Przynajmniej to mozemy im przekazac.

-Shannon - Wilcox wskazal na asystenta astronawigatora - nadszedl czas, kiedy twoje kocie oczy na cos sie przydadza. Widzisz noca lepiej niz Sinbad - tak przynajmniej sadze po wydarzeniach na Baldur. Chcesz zaczac, powiedzmy o... - zerknal na zegarek - dwudziestej pierwszej? Do tego czasu nasi przyjaciele z dolu zdaza sie ulozyc do snu.

Rozpromieniona twarz Ripa byla wystarczajaca odpowiedzia. W drodze powrotnej na skale nucil sobie cos nawet po cichu.

-Dodaj jeszcze - wtracil Mura - zeby twoje bezpieczne przybycie potwierdzili nam swiatlem sztormowym. Tez chcielibysmy sie cieszac twoim sukcesem.

-Oczywiscie, bracie. Ale nie mam zadnych obaw. - Wrodzony

optymizm Ripa odezwał się w nim po raz pierwszy od czasu strasznego odkrycia na wraku Rimbolda. - To będzie zwykła przechadzka w porównaniu z tym, co musiałem zrobić na Baldur.

Mura odezwał się groźnie:

-Pamiętaj, że zawsze należy doceniać przeciwnika. Jesteś na tyle doświadczonym Branzowcem, że powinieneś o tym pamiętać. To nie jest pora na niepotrzebne bohaterstwo.

-Będzie tak przebiegły i bezszelestny jak wąż, nie martw się. Nigdy nie zauważa, że właśnie obok nich przeszedłem.

Dan i steward ponownie utworzyli parawany z tunik i drzeli z zimna, podczas gdy Rip przesyłał sygnały do milczącego, zamkniętego statku. Odpowiedź nie nadchodziła, ale wszyscy trzej byli przekonani, że po pierwszej próbie nawiązania łączności ktoś siedział na stanowisku czekając na ich następny znak.

Postanowili, że Mura i Dan przenocują na szczycie, a Rip wróci do pojazdu i stamtąd, gdy nadejdzie czas, wyruszy w drogę. Asystent astronawigatora zniknął im po chwili z oczu, a Dan poprzesuwał trochę kamieni tworząc prowizoryczną osłonę przed wiatrem.

Jedynym lekarstwem na przenikający ich chłód było usiąść jak najbliżej siebie w zagłębieniu skonstruowanym przez Dana. Musieli tu wytrwać i odebrać sygnał o bezpiecznym przybyciu Ripa na pokład.

-Zapalają... - powiedział półgłosem Mura.

Promień z Krolowej cały czas rozświetlał noc. Pojawily sie natomiast male ogniska w miejscach, gdzie rozlozyli sie wartownicy.

-To nawet lepiej dla Ripa - bedzie mogli ich uniknac - odwazyl sie stwierdzic Dan. Jego kompan byl jednak odmiennego zdania.

-Beda miec sie na baczności. Na pewno robia obchod między posterunkami i trzymaja straz.

-To znaczy... Sadzisz, ze oni wiedza o nas i tylko czekaja na Ripa?

-Moze tak, a moze nie. Ale sa czujni ze wzgledu na tych, co zostali na statku. Powiedz mi, Thorson, czy nie uwazasz, ze cos sie tu zmienilo? Czy nie czujesz czegos na skale?

Oczywiscie, ze czul: znowu to pulsowanie - nie tak silne, jak w poblizu ruin, ale niewatpliwie to samo. Mijaly powoli minuty, a jego natezenie nie zmienialo sie. Tajemnicza instalacja pracowala pelna para.

-To jest wlasnie to - mowil dalej Mura - co trzyma tu Krolowa.

Strzepy informacji, ktore zebrali podczas ostatnich dwoch dni ukladaly sie w logiczne wyjasnienie. Przypuszcmy, ze nieznani ludzie, ktorzy usidlili statek dla siebie tylko znanego celu, rzeczywiscie mieli wladze na czymś, co moglo go zniszczyc, gdyby probowal stad uciec? Trzeba by bylo wowczas ciagle pilnowac, zeby to urzadzenie, ten przekaznik energii, promien czy cokolwiek to bylo, pracowalo bezustannie. Inaczej bowiem statek moglby sie wymknac. Pozostali na pokladzie czlonkowie

załogi Królowej dochodzą zapewne również do takich wniosków, choć być może nie zdają sobie jeszcze sprawy ze wszystkich właściwości Otchłani.

-A więc jedynym sposobem, żeby się stąd wydostać - powiedział wolno Dan - jest odkrycie źródła tej mocy i...

-Zniszczenie go? Tak. Jeżeli Rip dotrze do Kapitana, to musimy spróbować coś z tym zrobić.

-Mówisz: "jeżeli Rip dotrze"... Nie wierzysz, że mu się uda?

-Jesteś jeszcze młody, Thorson. Po kilku rejsach człowiek pokornieje. Zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że tylko od tak zwanego szczęścia zależy sukces w Kosmosie. Tak naprawdę nigdy nie można być całkowicie pewnym, że uda ci się wszystko przeprowadzić tak, jak zaplanowałeś. Jest tyle czynników wpływających na twoje przedsięwzięcie, że nie jesteś w stanie wszystkiego przewidzieć. W Branży nie można liczyć na nic, co nie jest faktem dokonanym. Shannon ma duże szanse: doskonale widzi w ciemnościach, ma doświadczenie w działaniach terenowych i nie wpada w panikę. A w dodatku, siedząc tutaj, przyjrzał się okolicy oraz pozycjom przeciwnika. Jestem na osiemdziesiąt procent pewien, że mu się uda. Ale pozostaje jeszcze te dwadzieścia procent. Zarówno on jak i my powinniśmy być przygotowani na inne rozwiązania, dopóki nie ujrzymy sygnału, że dotarł.

Pozbawiony emocji głos Mury zaniepokoił Dana. Przypomnił mu się wytworny, ale sarkastyczny i zjadliwy sposób mówienia Kamila. Kamil... Gdzie on teraz był? Może w rękach tych, którzy otaczali Królową? Może zabrano go do tajemniczego źródła

energii?

-Jak sadzisz, co zrobili z Alim? - zapytal Dan swego towarzysza.

-Stanowi dla nich kopalnie wiedzy na nasz temat i dopoki jest im potrzebny, nic mu nie grozi.

Ta odpowiedz nie uspokoila jednak Dana: bylo w niej cos zlowieszczonego, co przypomnialo mu wydarzenie, o ktorym wolalby zapomniec.

-Ci ludzie z Rimbolda... Czy Rip mial racje? Czy ich rzeczywiscie spalono?

-Tak, Rip nie mylil sie. - Mura wypowiedzial te slowa bez emocji, ale byly one tym bardziej wymowne.

Pozniej niewiele sie odzywali. Wpatrywali sie wytrwale w dziob statku i w snop swiatla, ktory na razie nie zmienial zabarwienia. Od czasu do czasu jeden z nich rozprostowal zdretwiala noge czy ramie.

Rytm dochodzacy z glebi ziemi dzialal jednak na zziebnietych Ziemiach usypiajaco. Dan walczył z sennoscia starym, wyprobowanym sposobem: przypomnial sobie wszystkie szczegoly z tasm o zasadach skladowania. Gdyby mogl sie teraz znalezc w zacisznej kajucie Van Rycka i postudiowac sobie spokojnie madre ksiegi, przejrzec tasmy z danymi... Gdyby jedynym jego zadaniem bylo znowu przygotowanie jakiejs transakcji...

Nagle uslyszeli gwizd. Dochodzil z dolu i byl bardzo cichy, ale

przenikliwy. To Rip zaczynał swoje ryzykowne przedsięwzięcie. Dan podniósł lornetkę, choć doskonale wiedział, że nie będzie w stanie obserwować w mroku poczynania kolegi.

Godziny, które nastąpiły, wydawały się nieskończenie długie. Dan wpatrywał się w światło latarni z takim napięciem, że zaczęły go boleć oczy. Nic się jednak nie zmieniło. Poczul, jak Mura zmienia pozycję i szuka czegoś w ciemnościach. Słabe światło wydobywające się spod jego tuniki świadczyło, że steward spogląda na zegarek.

-Jak długo?

-Nie ma go już cztery godziny.

Cztery godziny! Nikt nie potrzebowałby aż czterech godzin na dotarcie stąd do Krolowef. Nawet gdyby trzeba było zboczyć nieco z drogi i ukryć się czasem przed wartownikami... Wszystko wskazywało na to, że będa musieli się niebawem pogodzić z faktem, że te dwadzieścia procent, o których mówił Mura, przeszkodziło Ripowi w osiągnięciu celu.

Rozdział 13. - Pulapka

Jasność na wschodzie zapowiadała już świt, a promień Krolowej nie zmienił zabarwienia. Zresztą, obserwatorzy z klifu przestali na to liczyć. Najwidoczniej z jakiegoś powodu Rip nie dostał się na statek. Nie mogąc już dłużej wytrwać w bezruchu, Dan wyczołgał się z prowizorycznego schronienia i zaczął iść wzdłuż brzegu skały, na której spędzili noc. Tworzyła ona rodzaj ściany oddzielającej wejścia do dwóch kotlin: tej, w której pozostawili Wilcoxa i Kostiego oraz drugiej, nieznannej.

W tej ostatniej Dan zauwazyl malenki strumyk. Z doswiadczen zdobytych na Otchlani wynikalo, ze obecnośc wody znaczyła obecnośc życia. I w tym wypadku jego teoria sprawdzila sie, naliczył bowiem dziesięć miniaturowych, pachnacych pol.

Tym razem jednak nie byly one puste. Pracowaly na nich dwa kuliste stworzenia. Cienkimi jak nitka czulkami spulchnialy ziemie wokol korzeni, a ich okragle plecy na przemian pojawialy sie i znikaly wsrod lisci.

Nagle obie istoty wyprostowaly sie. Poniewaz nie posiadaly twarzy czy oczu, trudno bylo domyslic sie, co robia. Wygladaly jednak tak, jakby nasluchiwaly lub czemus sie przypatrywaly.

Jeszcze trzy stworzenia bezszelestnie weszly na pole. Dwa z nich trzymaly drag, do ktorego przywiazane bylo zwierze wielkoscí kota. Dan nie uslyszal nic, co mozna by uznac za powitanie farmerow i myśliwych, ale utworzyli krag i odlozyli na bok lup. Przez lornetke widac bylo, ze trzymali sie za nitkowate rece.

-Pst! - Dan, zaabsorbowany rozgrywajaca sie w dole scena, drgnal, lecz na jego ramieniu spoczela za chwile dlon Mury.

-Nadjezdza pelzacz... - szepnal steward.

Grupka kulistych postaci wyczekiwala. Nagle rozpierzchli sie z szybkością, która zaskoczyla Ziemián. W ciagu kilku sekund pole przy strumyku opustoszalo.

Coraz wyrazniej bylo slychac chrzest gasienic na kamieniach i zwirze. Dwoch ludzi na skale dostrzeglo wreszcie zbliżający sie

pojazd. Tak jak wywnioskował przed swym zniknięciem Kamil, nie był to typ pelzacza używany przez Federację. Był dłuższy, wezszy i zaskakująco elastyczny, jak gdyby składał się z kilku części.

Za sterem siedział jeden człowiek. Hauba badacza zasłaniała mu twarz, a jego mundur składał się z tyłu przezrocznych elementów jak ubranie, które nosił Rich i jego ludzie.

Dłonie Mury silniej zacisnęła się na ramieniu Dana, on również domyślał się, że zastawiono tu pułapkę. W zaroślach coś się poruszyło. Branzowcy zauważyli, jak jedno, a potem drugie kuliste stworzenie, przyciska do górnej części ciała duży kamień.

-Kłopoty... - szepnął Mura.

Pelzacz posuwał się równomiernie, skrzypiąc po piasku i rozbryzgując wodę w strumyku. Dotarł teraz do pierwszego pola, a kierowca nie uczynił najmniejszego wysiłku, aby je ominąć. Jechał dalej prosto przygniatając do ziemi plot, a potem pachnące rośliny.

Kuliste stwory, ukryte przed wzrokiem przeciwnika, biegły równoległe z nim sciskając czulkami kamienie. Wszystko wskazywało na to, że człowiek na pelzaczach wpadł w zasadzkę.

Dopiero jednak, gdy maszyna zwałiła plot trzeciego pola, rozwścieczeni właściciele zdecydowali się zaatakować. Deszcz kamieni zasypał kierowcę i jego pojazd. Atakujący szybko osiągnęli swój cel: człowiek wydal z siebie stłumiony okrzyk i bezwładnie opadł na ster. Jedna z gasienic maszyny wjechała na głaz, po czym zatrzymała się pod niebezpiecznym kątem.

Dan i Mura zeszli w dol. Kierowca zasluzył sobie być może na takie traktowanie, był jednak człowiekiem i nie mogli pozwolić, by stał się ofiarą zemsty obcych stworzeń. Mimo że nie widzieli ich już nigdzie, postanowili dla bezpieczeństwa spryskać pobliskie zarośla promieniami usypiającymi. Mura pozostał na straży, aby w razie potrzeby zaaplikować kolejną dawkę nieszkodliwego promieniowania, a Dan podbiegł do pojazdu chcąc uwolnić kierowcę z potrzasku. Przeniósł go na plecach pod scianę klifu, gdzie, w razie potrzeby, mogłoby odeprzeć atak.

Jednak czy to z powodu promieni usypiających, czy pojawienia się dwóch Ziemiaków, atak nie powtórzył się. Dolina ponownie wydała się opuszczona.

-Spróbujemy? - Dan wskazał głową skałę za plecami. Mura uśmiechnął się.

-Oczywiście. Jeżeli zujesz crax, to na pewno nam się uda. Jak masz zamiar pokonać te strome sciany z naszym przyjacielem przerzuconym przez twoje szerokie ramiona.

Istotnie, steward miał rację, Dan wcześniej o tym nie pomyślał. Wspinaczka wymagała użycia zarówno rąk jak i nóg, więc nie było mowy o niesieniu bezwładnego ciała.

Nieprzytomny człowiek jęknął i poruszył się. Mura ukląkł i przyjrzał się jego twarzy otoczonej powyginaną od uderzeń kamieni haubą. Odczepił pas z miotaczem i zawiązał go wokół własnych bioder. Następnie zdjął jego hełm i zaczął beznamietnie klepać nieogolone policzki poturbowanego.

Terapia odniosła skutek. Człowiek zamrugał i spojrzał na nich, po

czym usilował się podnieść. Steward wydatnie mu w tym pomógł chwytając go za kołnierz.

-Czas iść - powiedział. - Tedy proszę...

Popychali kierowce pelzacza wzdłuż ściany skalnej, okrążając tym samym szczyt, na którym przesiedzieli całą noc. Skierowali się w stronę załomu, w którym Wilcox i Kosti rozłożyli oboz.

Prowadzony przez nich człowiek nie okazywał większego zainteresowania sytuacją. Najwidoczniej skoncentrowany był tylko na jednym: na zachowaniu równowagi. Dłoń Mury spoczywała pewnie na jego nadgarstku i Dan domyślał się, że steward cały czas był przygotowany do wykazania się umiejętnościami z zakresu walk wschodnich. Był rzeczywiście najlepszy w tej dziedzinie.

Dan cały czas obserwował zarosła i skały, oczekując w każdej chwili ataku ze strony właścicieli pol. Ziemiańskie bowiem mogli zostać uznani za przestępców ze względu na swoje zachowanie w stosunku do kierowcy. Być może tym samym zaprzepascili szansę na nawiązanie handlowych stosunków z dziwnymi istotami. Jednak żaden z nich nie miałby czystego sumienia, gdyby pozostawili tego człowieka na lasce pozaziemskich stworzeń.

Ich podopieczny splunął krwią i odezwał się do Mury:

-Jestecie z grupy Ombra, prawda? Nie wiedziałem, że też zostali wezwani.

Wyraz twarzy Mury nie zmienił się.

-To zadanie jest chyba dostatecznie wazne. Nie bez powodu wzywaja wszystkich...

-Kto tam mnie zaatakowal? Te nieznosne straszydla?

-Tak, tubylcy... Rzucali kamieniami. Czlowiek warknal.

-Powinnismy ich wszystkich przysmazyc! Kreca sie tu bez przerwy i za kazdym razem, kiedy przechodzimy przez te wzgorza, probuja nam roztrzaskac czaszki. Bedziemy znowu musieli uzyc miotaczy, oczywiscie, jesli zdolamy ich dogonic. Problem w tym, ze poruszaja sie za szybko.

-Tak, jest z nimi klopot - odparl uspokajajaco Mura. - Teraz tedy... - wskazal droge w strone kotliny. Prowadzony przez nich czlowiek poczul, ze cos sie nie zgadza.

-A po co tutaj?... - zapytal zdziwiony, a jego wyblakle oczy spogladaly w twarze Ziemiian niespokojnie. - Przeciez to slepa dolina...

-Mamy tu swoj pelzacz. Chyba lepiej, zebys nie chodzil za duzo w tym stanie, prawda? - przekonywal go Mura.

-Hm? Tak, masz racje. Jestem ranny w glowe, to nie ulega watpliwosci. - Podniosl dlon i skrzywil sie dotykajac bolacego miejsca przy prawym uchu.

Dan odetchnal. Mura radzil sobie doskonale. Chyba uda im sie bez najmniejszego problemu doprowadzic chlopaka tam, gdzie chcieli.

Steward caly czas trzymal wieznia za reke. Szli teraz wzdluz

ściany utworzonej przez glazy. Za nimi znajdowali się już Kosty i Wilcox z pelzaczem. To właśnie maszyna zdradziła ich.

Jeniec zatrzymał się tak nagle, że Dan wpadł na niego. Poturbowany kierowca przenosił wzrok z pojazdu na ludzi stojących obok niego. Gorączkowo szukał pasa na biodrach, ale stwierdził, że nie jest już uzbrojony.

-Kim jesteście? - zapytał.

-My również chcielibyśmy zadać to pytanie - odparł Kosty. - Może to ty powiesz nam, kim jesteś?

Chłopak zrobił krok do tyłu, jakby chciał sprawdzić, czy nie nadciąga pomoc. Silny uchwyt Mury powstrzymał go.

-Rzeczywiście -i dodał łagodnie steward - bardzo chcielibyśmy wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

Fakt, że przeciwników było tylko czterech, dodał więźniowi odwagi.

-Jesteście z tego statku - stwierdził zwycięsko.

-Istotnie, jesteśmy ze statku - zaczął Mura - ale na tej planecie jest ich bardzo, bardzo dużo.

Te słowa wywarły na chłopaku piorunujące wrażenie. Dan postanowił dodać coś jeszcze:

-Jest, na przykład, statek Inspekcji...

Więzien zachwiał się, a jego poplamiona krew twarz stała się

jeszcze bledsza. Przygryzl nerwowo warge, jakby powstrzymujac pchajacy sie na usta okrzyk.

Wilcox usadowil sie na pelzaczku i spokojnie wyciagnal z kabury miotacz. Polozyl go na kolanie, kierujac lufe w strone brzucha pojmanego.

-Tak, jest tych statkow calkiem sporo - powiedzial. Gdyby nie jego wyraz twarzy, mozna by myslec, ze rozmawiaja o pogodzie.

- Jak sadzisz, z ktorego pochodzimy?

Ich jeniec nie stracil rozumu.

-Z tego tam na dole, z Krolowej Slonca...

-A dlaczego tak uwazasz? Bo na pozostalych nikt nie ocalal? - zapytal cicho Mura. - Powiedz nam lepiej wszystko, co wiesz, przyjacielu.

-Wlasnie - Kosti przysunal swoje wielkie cielsko do przygnebionego kierowcy. - Oszczedz nam czasu, a sobie zaoszczedzisz klopotow. A im wiecej czasu stracimy, tym bardziej zaczniemy sie niecierpliwic, rozumiesz?

Oczywiscie, wiezien zrozumial. Grozba brzmiaca w slowach Mury urealniala sie teraz w przewyzszajacym go o kilkanascie centymetrow Kostim.

-Kim jestes i co tu robisz? - zaczal przesluchanie Wilcox.

Rana na glowie spowodowana przez mieszkancow Otchlani niewatpliwie oslabila kierowce. Natomiast Mura i Kosti swoimi slowami i postawa przestraszyli go na tyle, ze zaczal mowic.

-Jestem Lav Snall - rzekł ponuro. - A jeśli wy jesteście z Królowej Słonca, to zapewne wiecie, co tutaj robie. W ten sposób jednak nic nie zyskacie. Uziemiliśmy wasz statek i będziemy go trzymać, jak długo nam się spodoba.

-To bardzo interesujące - wycedził Wilcox. - Czyli ten statek na równinie będzie tu stał tak długo, jak zechcecie, tak? A gdzie hol, na którym go trzymacie? Może niewidzialny?

Wiezien pokazał białe zęby w szyderczym uśmiechu.

-Nie potrzebujemy holu - nie tutaj, na Otchłani. Ta cała planeta to pulapka. My po prostu używamy jej, gdy chcemy.

Wilcox zwrócił się do Mury:

-Czy rana na jego głowie jest bardzo ciężka? Steward skinał głową.

-Zapewne tak, skoro umysł mu zmetniał. Ale trudno cokolwiek powiedzieć - żaden ze mnie medyk. Snall dał się złapać na przynęte.

-Nie jestem kosmicznym pomyłencem, jeśli o to wam chodzi. Czy wiecie, co my tutaj znaleźliśmy? Instalacje Przodków, która ciągle pracuje! Potrafi ściągac statki z Kosmosu, spadają później z wielkim łomotem na ziemię. Kiedy ta maszyna działa. Królowa nie może wystartować. Nawet gdyby była statkiem bojowym Patrolu - nic nie mogłaby zrobić. Ba! Możemy ściagnac również statek Patrolu, jeśli zechcemy.

-Niezwykłe pouczające, doprawdy - skomentował Wilcox. - Macie

wiec w reku jakas maszynie, ktora sciaga statki z Kosmosu... To cos nowego. Czy opowiedzieli ci o tym moze Szeptacze?

Policzki Snalla byly ciemnoczerwone.

-Mowilem juz, ze nie jestem szalencem! Kosti polozyl swoje wielkie rece na ramionach wieznia i zmusil go, aby usiadl.

-Tak, wiemy - powiedzial drwiaco. - Oczywiscie, ze jest tu taka wielka maszyna, ktora zreszta obsluguje jakis tysiacletni Przodek! Wyciaga swoje macki - o, tak - i chwyta statki. - Zacisnal potezna piesc tuz przed nosem Snalla.

Jeniec zdazyl juz jednak odzyskac pewnosc siebie.

-Nie musicie mi przeciez wierzyc - rzekl spokojnie. - Wystarczy poczekac i popatrzec, co sie stanie, jezeli ten wasz uparty Kapitan sprobuje wystartowac. Nie bedzie to wcale przyjemny widok. A niedlugo i wy zostaniecie zlapani...

-Przypuszczam, ze macie sposoby, zeby nas wytropic, co? - Wilcox uniosl pytajaco brwi. - No coz, nie nawiazaliscie kontaktu z nami do tej pory, a przeciez krecimy sie po planecie juz od dawna.

Snall przenosil wzrok z jednego Branzowca na drugiego. Byl odrobine zdziwiony.

-Nosicie tuniki Branzy - powiedzial glosno. - Na pewno jestescie z Krolowej.

-Ale nie masz pewnosci, prawda? - naciskal Mura. - Mozemy byc ze slizgacza miedzygwiezdneho, ktory zlapaliscie w potrzask tym

sprytnym urządzeniem... Czy jesteś pewien, że nikt nie ocalał i nie płacze się teraz po tych dolinach?

-Nawet jeśli tak, to niedługo sobie pospaceruje! - odparł krótko Snall.

-Rzeczywiście. Macie przecież swoje sposoby porozumiewania się z takimi ludźmi, prawda? Może używacie głównie tego argumentu? - Wilcox podniósł miotacz na wysokość głowy wieznia.

-Tak rozmawialiście z tymi na Rimboldzie.

-Mnie tam nie było... - wybelkotal Snall. Mimo że ranek był mroźny, krople potu pojawiły się na jego czole.

-Wydaje mi się, że wszyscy jesteście przestępcami - odezwał się Wilcox tonem człowieka prowadzącego zwykłą, grzeczną rozmowę. - Czy na pewno nie wysłano za toba listu gonczego?

Te słowa wywarły natychmiastowy skutek. Snall podskoczył i udało mu się uciec kilka metrów, nim Kosti przywłókł go z powrotem i pchnął na skale.

-No więc tak, jestem na liście Patrolu! - warknął na Wilcoxa. - I co ze mną zrobicie? Spalicie nieuzbrojonego człowieka? No dalej, do dzieła!

Branzowcy potrafili być bezwzględni, jeśli wymagały tego okoliczności, ale Dan wiedział, że ostatnia rzecz, którą zrobiłby teraz Wilcox, było użycie miotacza przeciw Snallowi. A mógł to zrobić nie obawiając się jakichkolwiek kłopotów z Patrolem,

ponieważ umieszczenie przestępcy na liście sciganych i wyznaczenie nagrody za jego głowę, pozbawiało go wszelkich praw należnych istocie ludzkiej.

-A dlaczego mielibyśmy cię zabić? - zapytał cicho Mura. - Jesteśmy Wolnymi Branzowcami i ty wiesz, co to znaczy. Śmierć od miotacza to bardzo prosta droga w Nadkosmos... Ale w Strefie Konca, na Dziewiczych Planetach, nauczyliśmy się innych sztuczek. Myślisz, że nie wypróbujemy ich na tobie?

Twarz stewarda była jak zwykle dobrotliwa, bez cienia złości czy nienawiści. Ale Snall szybko odwrócił od niej oczy. Z trudem przełknął ślinę.

-Nie odważycie się... - zaczął, już bez przekonania. Uświadomił sobie, że miał przed sobą ludzi znacznie bardziej niebezpiecznych, niż przypuszczał. O Wolnych Branzowcach opowiadano przerozne historie. Ponoc byli równie brutalni jak Patrol i nie trzymali się przepisów. Wierzył, że Mura nie żartował.

-Co chcecie wiedzieć?

-Mów prawdę - odrzekł Wilcox.

-Przecież cały czas mówię tylko prawdę - zaproponował Snall. - Znaleźliśmy w górach instalacje Przodków. Działa na statki w ten sposób, że kiedy trafią na odpowiedni promień lub fale, albo coś w tym rodzaju, ściągają je tutaj, a one spadają z ogromną prędkością. Nie wiem dokładnie, jak to działa. Nikt, oprócz kilku ludzi z łączności, nie widział tego urządzenia.

-To dlaczego nie podziało na Królową Słońca? - zapytał Kosti. -

Wyladowala bez problemu.

-Urządzenie nie było wtedy włączone. Mieliscie na pokładzie Salzara, prawda?

-A kim jest Salzar? - indagował Mura.

-Salzar - Gart Salzar - był pierwszym, który zrozumiał, jaki skarb mamy w reku. Ukrył nas, kiedy krecili się tu ludzie Inspekcji. Siedzielismy cicho, a Salzar musiał coś zrobić, bo wiedział, że jeśli planeta zostanie wystawiona na aukcję, będziemy mieć problemy. Wztał kosmolot, który udało nam się doprowadzić do stanu używalności i wyprzedził Griswolda w drodze na Naxos. Tam skontaktował się z wami i takim to sposobem mamy pustą i nowy frachtowiec gotowy do załadunku...

-Wasz lup, co? A jak wy się tutaj znaleźliście? Też katastrofa?

-Salzar był tu pierwszy. Jakies dziesięć, dwanaście lat temu rozbił się tutaj jego statek, ale nie mieli wielkich strat. Ci, którzy przeżyli, przeszukali teren i znaleźli te maszyny Przodków. Siedzieli przy niej tak długo, aż nauczyli się ją obsługiwać. Teraz mogą je włączać i wyłączać, kiedy zechcą. W czasie, gdy krecili się tu ludzie Inspekcji, była wyłączona, bo Salzar wyleciał gdzieś na inną planetę i balismy się, że mogłby się roztrzaskać przy powrocie.

-Szkoda, że się tak nie stało - skomentował Wilcox. - A gdzie jest to urządzenie? Snall pokręcił głową.

-Nie wiem - Kosti zrobił krok naprzód; przerażony kierowca krzyknął: To najprawdziwsza prawda! Tylko ludzie Salzara

wiedza, gdzie jest i jak działa.

-Ilu ich jest? - chciał wiedzieć Kosti.

-Salzar i pieciu, albo czterech innych. Jest w gorach, gdzieś tam - wskazał drzaca reka odległe szczyty.

-Mysle, że może powinienes przypomniec sobie cos wiecej - zaczął Kosti, gdy nagle odezwał się Dan:

-To dlaczego Snall w ogole jechal w te strone, jesli nie wiedzial, dokad zdaza?

Mura przymknal oczy zapinajac pasek hauby pod broda.

-Sadze, że troche sie zaniedbalismy. Powinnismy byli zostawic straznika na gorze. Moze zablaka sie tu jakis przyjaciel Snalla.

Wiezien studiowal w tym czasie czubki butow. Dan podszedl do klifu i zaproponowal:

-Rozejrze sie stamtad.

Na pierwszy rzut oka sytuacja na rowninie nie zmienila sie. Wszystkie wlazy na Krolowej byly nadal zamkniete. Przez lornetke dostrzegl rowniez obozowiska wrogow, a w niewielkiej odleglosci od swego stanowiska zobaczyl cos, co bardzo go zainteresowalo.

Jeden z tych dziwnych pelzaczy oddalal sie od reszty. Na platformie bylo czterech ludzi: kierowca oraz dwaj jego koledzy podtrzymujacy kogos jeszcze. Dan nie mial watpliwosci, że ten czwarty pasazer mial na sobie tunike Branzowca.

-Rip! - Chociaz nie byl w stanie dostrzec twarzy jenca, wiedzial, ze pojmany to Shannon. Pelzacz kierowal sie w te sama doline, w ktorej tubylcy zaatakowali Snalla.

Mieli wiec teraz szanse nie tylko uwolnic Ripa, ale rowniez zmniejszyc sily przeciwnika. Dan podczolgal sie do brzegu klifu i machajac reka dal znak kolegom na dole. Wilcox i Mura skineli glowami, a Kosti odprowadzil wieznia w ustronne miejsce. Dan znalazl sobie bardziej dogodny punkt i w narastajacym napieciu czekal na pojazd wroga.

Rozdzial 14. - Bitwa

-Sadze, ze nadszedl czas - Mura postanowil towarzyszyc Danowi na szczycie - zebysmy przyjeli zwyczajnie naszych sprzymierzencow - tubylcow. Jak radzisz sobie z rzucaniem ciezкими przedmiotami, Thorson? - steward pochylil sie, po czym wzial w reke kamien wielkoscii swojej piesci. Wycelowal i cisnal go w dol doliny. Uslyszeli, jak uderza o skale. Dan zrozumial teraz, o czym myslal Mura nasladujac kuliste stwory. Ogien z miotaczy byl zbyt grozny dla Ripa. W odpowiedzi na taki atak wrogowie mogli go zabic lub ciezko zranic. Kamienie byly o tyle bezpieczne, ze celowane wylacznie w przestepcow nie mogly zaszkodzic Ripowi. Poza tym to mieszkancy Otchlani zostana posadzeni o atak. Uzycie innej broni zdradziloby Ziemian.

Kosti okrazil podnoze gory i ukryl sie ponizej stanowiska zajmowanego obecnie przez Mure. Dan przebiegl na druga strone kotliny i wspial sie na waski wystep skalny. Przykuczal, zebrawszy troche kamieni.

Nie mieli zbyt duzo czasu na przygotowania. Chrzest pelzacza

po nierównym terenie odbijał się echem wśród skał. Wkrótce Branzowcy dostrzegli, jak pojazd przedziera się z trzaskiem przez zarośla, po czym zwalnia i zatrzymuje się. Najwidoczniej interkom kierowcy był włączony, bo wyraźnie usłyszeli jego słowa:

-Jest wóz Snalla - rozwalony! Co się dzieje?...

Jeden z "opiekunów" Ripa wyskoczył z maszyny i ruszył w tamtym kierunku. W tym momencie Mura dał znak do ataku.

W helm niedoszłego detektywa uderzył kamień. Człowiek stracił równowagę i szukał oparcia w gasienicy pelzacza. Dźwięk cisnął w jego stronę kolejny skalny odłamek, po czym wymierzył w kierowcę pojazdu.

Ranni zaczęli wrzeszczyć i Rip ocknął się. Choć ręce miał z tyłu związane, całym ciałem rzucił się na wartownika i razem z nim wylądował na ziemi. Kierowca włączył tymczasem silnik i maszyna ruszyła w deszczu kamieni rzuconych przez trzech Branzowców.

Jeden z przestępców zdołał wejść na platformę, a drugi wysliznął się z obiektywu Ripa. Miał w ręku miotacz i teraz schylił się nad Shannonem ze złośliwym uśmiechem. Nagle jego twarz zamieniła się w czerwona miazgę. Wydał z siebie przeraźliwy okrzyk i osunął się w tył. Dostrzegł go jeden z ludzi na platformie.

-Kraner! Te przeklęte gnomy rozwalily mu twarz! Nie, nie zatrzymuj się! Zostawmy tego Branzowca! Dostana nas, jeśli zwolnisz!

Pelzacz jechał w kierunku gór. Z jakiegoś powodu przestępcy nie

spalili pobliskich krzakow. Atak byl taki niespodziewany, ze najwyrazniej mysleli tylko o ucieczce.

Gdy mineli woz Snalla i znikneli Branzowcom z oczu, Kosti wyczolgal sie z ukrycia i ruszyl w strone Ripa. Kilka minut pozniej dolaczyl do niego Dan.

Shannon lezal na boku ze zwiazanymi rekami. Mial podbite oko i krwawily mu wargi.

-Sporo przezyles, bracie - mruknal Kosti, gdy uklakl, aby przeciac sznur.

Rip odpowiedzial, z trudem poruszajac przecietymi ustami:

-Zaskoczyli mnie... Tuz przy Krolowej. Statek nie ruszy... Jakis promien chwytal wszystko, co znajdzie sie w jego zasiegu... Sciaga tutaj i roztrzaskuje...

Dan podlozyl ramie pod jego plecy i pomogl mu usiasc. Rip wydal z siebie stlumiony okrzyk i przylozyl reke do lewego boku.

-Masz jeszcze jakies rany? - Kosti wyciagnal reke chcac rozpiac tunike kolegi, ale ten odsunal pomocna dlon.

-Mysle, ze mam zlamane zebro, a moze dwa. Ale sluchajcie - oni maja Krolowa.

-Wiemy. Zlapalismy jednego z nich - powiedzial Dan. - Jechal tym pelzaczem. Wszystko opowiedzial. Moze uda nam sie przy jego pomocy zrobic jakis interes... Czy mozesz chodzic?

-Rzeczywiscie, czas juz, zebysmy sie wycofali. - Mura zszedl do

nich ze skaly. - Mieli włączone nadajniki, kiedy ich napadliśmy. Nie wiadomo, ile usłyszeli ci w obozie.

Rip mógł iść, ale trzeba go było podtrzymać. Po kilkunastu minutach dotarli do swojej maszyny i Wilcoxa.

-Jakieś wieści o Kamilu? - zapytał Kosti.

-Nie ma wątpliwości, że jest w ich rękach - odparł Rip. - Ale domyślam się, że trzymają go gdzieś indziej, może w głównej kwaterze... Maja sporo ludzi. I mogą tak wieść Krolowa aż zardzewieje... jeżeli tylko zechcą...

-Tak właśnie mówił Snall - odezwał się ponuro Wilcox. - Ponadto twierdził, że nie wie, gdzie jest ta tajemnicza instalacja. Mam co do tego pewne wątpliwości.

Słyszac to, związany i zakneblowany więzien zaczął się wiercić i wydawać stłumione dźwięki, próbując w ten sposób udowodnić swą szczerosc.

-Tam, na koncu kotliny jest jedno z wejść, prawdopodobnie do składu żywności i baraków - poinformował Rip. - A to urządzenie nie może być od nich daleko.

Dan dotknął koncem buta wiercącego się Snalla.

-Czy sądzicie, że moglibyśmy wymienić tego rodzaju tutaj osobnika na Aliego? Albo chociaż zmusić go do wskazania drogi?

Rip miał na to odpowiedź.

-Watpie. To bezwzględni ludzie. Śmierć Snalla nie miała dla nich większego znaczenia.

Spojrzenie przekrwionych oczu Jenca mówiło, że Rip nie mylił się. Najwidoczniej nie wierzył w pomoc kompanów. Zrobiliby coś może dla niego, gdyby od jego uwolnienia zależało ich własne życie.

-Dwoch inwalidów i trzech zdrowych ludzi - zadumał się Wilcox. - Czy wiesz może, Shannon, ilu ich jest w górach?

-Okolo setki. Stanowią dobrze zorganizowaną armię - odrzekł przygnębiony Rip.

-Możemy tak tu siedzieć, aż powymieramy z głodu - Kosti przerwał ciszę, która zapadła po słowach Shannona. - W ten sposób jednak niczego nie wskoramy, prawda? Ja wolalbym jednak podjąć ryzyko. Może nam się uda. Przecież nie może być aż tak źle...

-Snall mógłby nas poprowadzić, przynajmniej tak daleko, jak zdoła - rzekł Dan. - Moglibyśmy się tu trochę pokreć, ocenić sytuację i nasze szanse...

-Gdyby można było skontaktować się z Królową - Wilcox uderzył pięścią w kolano.

-W pełnym słońcu... Chyba jest jeden sposób - zaczął Mura.

Trzeba było pójść do zniszczonego pelzacza w dolinie i odkrećć Isniacę, metalową płytę, która zabezpieczała tył oparcia kierowcy. Z pomocą Dana steward wciągnął ją na szczyt skały, po czym

ustawili ja pod takim katem, zeby odbijala swiatlo sloneczne. Mozna wiec bylo wyslac sygnal.

-Powinno to byc rownie dobre, jak nasze latarki w nocy - powiedzial usmiechajac sie nieznacznie Mura. - O ile ci zbrodniarze na dole nie maja oczu z tylu czaszki, jedynymi ludzmi, ktorzy zobacza to migotanie, beda nasi ze sterowni.

Zanim jednak skorzystali ze swego prymitywnego nadajnika, zeszli jeszcze raz na dol. Wilcox, Rip i Kosti z wiezniem przeniesli sie teraz do drugiej doliny. Po paru drobnych naprawach pelzacz Snalla byl gotow do jazdy. Cala czwórka czekala przy maszynie, podczas gdy Dan i Mura meczyli sie z metalowa plyta przesyłając na statek informacje o sytuacji.

Potem pozostalo tylko czekac na odpowiedz. Nie mogli podjac swojego przedsiwzięcia bez zgody Kapitana.

Dan juz trafil nadzieje, gdy nagle zauwazyl, ze ktos rytmicznie zasuwa owalne iluminatory na Krolowej. Rozlegl sie charkotliwy dzwiek i przy jednym ze stanowisk przeciwnika pojawily sie kleby dymu. A wiec zrozumieli ich! Ludzie na statku zajma sie wrogiem, gdy tymczasem grupa Wilcoxa wyruszy do glownej kwatery przestepcow w nadziei znalezienia jakiegos rozwiazania tej niekorzystnej sytuacji.

Wszyscy zmiescili sie na pojezdzie Snalla. Kosti siedzial za sterami, a wiezien miedzy Danem a Mura. Platforma byla wyposazona w uchwyty, ktorych brakowalo na ich wlasnym pelzaczu, a ktore tak bardzo ulatwialy utrzymanie rownowagi -w gorzystym terenie.

Dan uważnie obserwował porośnięte krzakami stoki. Ciągłe pamiętał niespodziewany atak mieszkanców Otchlani. Być może rzeczywiście były to nocne stworzenia, ale ostatnia walka mogła zakłócić ich rytm dnia i czaiły się teraz gdzieś w ukryciu, gotowe do ataku.

Dolina zweźlała się i zakreślała. Pojazd podskakiwał w nierównym korycie strumienia, a woda sięgała siedzącym na platformie do kolan. Tak jak i w dolinie obok ruin, tak i tutaj widac było liczne ślady pojazdów. Znaczyło to niewątpliwie, że jechali uczyszczana droga.

Nagle strumień zamienił się w mały wodospad, u stop którego powstał niewielki staw. Dolina kończyła się skalną ścianą. Kosti wyrwał knebel z ust Snalla.

-W porządku - powiedział tonem człowieka, który nie da się zbyć byle czym. - Co trzeba zrobić, żeby się przez to przedostać, cwaniaczku?

Snall oblizwał spuchnięte wargi i zawadiacko obejrzał się. Mimo, że był związany i całkowicie zależny od Branzowców, najwyraźniej odzyskał pewność siebie.

-Sami zgadnijcie - odparł. Kosti westchnął.

-Strasznie nie lubię tracić czasu, ale jeśli trzeba cię będzie zmusić do mówienia, to chętnie to zrobię, rozumiesz?

Zanim Kosti mógł spełnić swą groźbę, wszyscy znaleźli się w kłopotach. Tuż nad głową Kostiego przeleciał pierwszy kamień, a potem drugi trafił więźnia.

To te trolle! Dan skierował wachlarz promieni usypiających w stronę skały, choć nie widział, aby ktokolwiek tam się poruszał. Był jednak przekonany, że właśnie stamtąd wyrzucono kamienie.

Kolejny odlamek skalny z impetem uderzył w pojazd. Wilcox skoczył na piaszczysty brzeg, pociągając za sobą Ripa i kryjąc się częściowo pod platforma maszyny. Mura również włączył swój miotacz promieni usypiających i, stojąc po kolana w wodzie, bez pośpiechu, dokładnie spryskał każdy centymetr wznoszącego się przed nim klifu.

To Snall zakończył tę nierówną walkę z cieniami. Kosti zaciągnął go w bezpieczne miejsce i najwidoczniej rozciął mu więzy, by mógł się swobodnie poruszać. Ale Jeniec skorzystał z sytuacji i rzucił się na opuszczony pelzacz. Usiadł za sterami, uderzył pięścią w zestaw przycisków i wtedy rozległ się pisk tak przeraźliwy, że Dan zatkał uszy usiłując obronić się przed bólem przez ten dźwięk wywołany.

Rezultat ataku na ich blony bebenkowe dorównywał swoją niedorzecznością najbardziej wymyślnym scenom z pokazów video, które Dan musiał zaliczyć w Syndykacie. Lita skala zamykająca kotline nagle uniosła się. Jeniec najwyraźniej był na to przygotowany, więc jako pierwszy przesliznął się przez ciemny otwór, umykając potężnym dloniom Kostiego.

Mechanik z potwornym wrzaskiem rzucił się za Snallem. Dan podążył za obydwojma w czelusc. Z rozświetlonego słoncem dnia przeniesli się w szarość mroku. Snall był daleko przed nimi.

Dan przebiegł już spory kawałek, gdy zaczął rozsądnie myśleć. Krzyknął na Kostiego, a jego słowa zwielokrotniło dudniące echo.

Zwolnil, lecz jego kompan nadal podazal w glab jaskini.

Dan, ciagle niezdecydowany, zawrocil w strone wejscia. Mogli zostac odciéci od reszty... Co powinien zrobic: biec za Kostim, czy sprobowac sciagnac pozostalych? Dotarl do magicznej bramy w momencie, kiedy Mura spacerkiem wchodzil do jaskini. I nagle, ku przerazeniu Dana, wyjscie zamknelo sie! Rozlegl sie szczek metalu i skalna sciana odciela ich od slonca.

-Drzwi! - Dan rzucil sie na wrota z takim samym poswieceniem, jak w pogon za Snallem. Poczul jednak na ramieniu silny uscisk Mury.

-Nie boj sie - rzekl steward. - Nie ma zadnego zagrozenia. Wilcox i Shannon sa bezpieczni. Maja promienie usypiajace, a w dodatku moga uzyc tego klaksonu, jesli beda chcieli tu wejsc. Ale gdzie jest Karl? Zniknal?

Glos Mury dzialal uspokajajaco. Maly czlowiek zachowywal sie tak, jakby nic sie nie wydarzylo, totez Dan opanowal sie.

-Widzialem, jak biegł za Snallem.

-Miejmy nadzieje, ze go dogonil. Wolalbym miec tego typka na oku, bo inaczej opowie o nas swoim kumplom.

Pospieszyl w glab korytarza, az dotarli do ostrego zakretu w lewo. Dan nasluchiwal w napieciu, ale gdy w koncu do jego uszu doszlo dudnienie stop o skalne podloze, stwierdzil, ze jest to dzwiek, jaki wydaje tylko jedna para nog. Chwile pozniej pojawil sie mechanik. Jego smiertelnie powazna twarz oswietlaly nikle promienie emitowane przez gladkie, kamienne sciany.

-Gdzie Snall? - spytał Dan. Kostizmarszczył brwi.

-Przeszedł przez jedną z tych przeklętych ścian...

-Gdzie dokładnie? - Mura ruszył w stronę, z której przybiegł mechanik.

-Wrota zatrzasnęły się mi tuż przed nosem - odparł Kosti. - Nie możemy iść za nim. Chyba że macie ze sobą ten klakson z pelzacza.

Korytarz kończył się kilkadziesiąt metrów dalej ściana tak gładka, jak te wszystkie, które widzieli na zewnątrz. Nie była ona jednak z kamienia, lecz z tej samej substancji, z której powstały domy Przodków.

-To tutaj? - Mura uderzył pięścią w mur, a Kosti skinął ponuro głową.

-Nie widac tu żadnego otworu...

Dudnienie, do którego zdążyli się już przyzwyczaić, wyczuwalne było zarówno w ścianach, jak i w podłodze. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu ten rezonans pogłębiał ich niepokój, ale niewątpliwie przyczynił się do tego, że w nikłym świetle wąskiego korytarza czuli się jak w pułapce.

-Wygląda na to, że utkneliśmy - odezwał się mechanik. - Chyba że wyjdziemy znowu na zewnątrz. Co wy na to? A gdzie Wilcox i Shannon?

Dan wszystko mu wyjaśnił. On również miał teraz nadzieję, że pozostali w dolinie koledzy znajdą odpowiedni klawisz i otworzą

wrota. Zdecydował się tam wrócić, ruszył więc wzdłuż korytarza w kierunku wejścia. Doskonale pamiętał drogę: najpierw prosto, a potem pod kątem ostrym w prawo...

Gdy jednak dotarł do zakretu, nie ujrzał następnego, długiego holu, lecz szczelinę głęboką na około półtora metra. Zatrzymał się oszolomiony. Był przecież tylko jeden korytarz, i to bez żadnych wylotów. Powinien mieć przed sobą prostą drogę do wyjścia, a zamiast tego wyrastał z ziemi kolejny mur. Wyciągnął rękę i dotknął gładkiej powierzchni. To nie była fatamorgana.

Odwrocił się na pięcie z tłumionym okrzykiem strachu i zobaczył wyrastającą ze skały następną ścianę, która odcinała go od Kostiego i Muru. Zareagował natychmiast i zdążył wczolnąć się w zweżający się otwór. Gdyby nie ogromna siła Kostiego, mógł przeplacic życiem ten brawurowy skok. Metal uderzył o metal, zabrzcza], i oto znaleźli się w dwumetrowej celi.

-Wspaniale - mruknął Kosti. - Potrzymają nas tutaj, aż znajdzie czas, żeby się nami zająć. Mura drgnął.

-Teraz nie ma już wątpliwości, że Snall ich ostrzegł.

Steward jednak nie wyglądał na zmartwionego. Kosti walił w ścianę i przysłuchiwał się odgłosom, jakby miał nadzieję, że w ten sposób odkryje tajemnice skalnych zamkniętych się w najmniej oczekiwanym momencie.

-Sa zdalnie sterowane - kontynuował spokojnie Mura. - Sądzę na pewno, że mają nas w garści.

-Ale się myła, prawda? - pytanie Dana było uzasadnione wobec

zachowania kolegi.

-Zobaczymy. Drzwi zewnętrzne są kontrolowane przez dźwięki. Słyszałem, jak Tang mówił, że zakłócenia spowodowane tą instalacją mieszczą się częściowo w zakresie przez nas niesłyszalnym. A więc może znajdziemy rozwiązanie tej zagadki.

Rozpiął tunikę i zaczął szperac w wewnętrznej kieszeni, w której wszyscy Branzowcy przechowują swoje najcenniejsze skarby. Wyjął około dziesięciocentymetrową rurkę z białej, wypolerowanej substancji. Mogł to być kawałek kości.

Kosti przestał walić w ścianę.

-A więc to jest twój zaklęty flet...

-Właśnie. I zaraz sprawdzimy, czy służy wyłącznie do wabienia insektów na Karmuli.

Przyłożył miniaturową rurkę do ust i dmuchnął, chociaż uszy Ziemiaków nie zarejestrowały żadnego dźwięku. Radość Kostiego znikła.

-Bez sensu... Mura uśmiechnął się.

-Jesteś strasznie niecierpliwy, Karl. Ta piszczalka ma dziesięć ultra dźwiękowych nut, a ja wykorzystałem zaledwie jedną. Dopiero, gdy wypróbuję wszystkie, będziesz mógł powiedzieć, że nie mamy klucza do tych drzwi.

Nastąpiła długa cisza i nic się wokół nie zmieniło.

-Nic z tego - krecił głową Kosti.

Mura nie zwracał na niego uwagi. W przerwach odsuwał flet od ust i odpoczywał chwilę. Dan był przekonany, że steward zagrał już ponad dziesięć dźwięków, a mimo to nadal nie okazywał zniechęcenia.

-To już więcej niż dziesięć - zaatakował go Kosti.

-Sygnał, który otworzył pierwsze drzwi, składał się z trzech dźwięków. Teraz więc muszę sprawdzić wszystkie kombinacje - podniósł znowu instrument do ust.

Kosti usiadł na podłodze, najwyraźniej odcinając się od działań, które uznał za bezskuteczne. Dan przykucnął obok. Cierpliwość Mury była niewyczerpana: minęła już jedna pełna godzina i ponad połowa drugiej. Dan zastanawiał się nad ilością powietrza w tej klitce. Nie dostrzegł żadnych szpar, którymi mogło dostawać się do środka, chyba że przenikało przez ściany skalne tak jak światło. Nie ulegało jednak wątpliwości, że zapas tlenu był ciągle odnawiany.

-To fiukanie nie zaprowadzi nas do nikąd - Kosti był już rozdrażniony. - Przedziej zedrzesz do końca rurki, niż się przedostaniesz przez mur - powiedział uderzając dłoń w skałę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odcinek skalnej ściany poruszył się i powstała wysoka na około dwa metry, bardzo wąska szczelina.

Rozdział 15. - Labirynt

-Udało się! - krzyknął Dan. Kosti zabrał się już do rozsuwania ciężkich drzwi - wyglądało na to, że dawno nie były używane.-To

nie jest dobra droga - marudzil mechanik wytezajac wszystkie sily, aby poszerzyc otwor.

-Nie, to na pewno nie jest korytarz - przytaknal Mura. - Ale niewatpliwie jest to jakies wyjscie z obecnej sytuacji i powinniśmy sie z tego cieszyc. Ponadto wyglada, jakby nie bylo czesto uzywane, a to nawet lepiej dla nas. Musialem trafic na jakas rzadka kombinacje. - Wytarl ostroznie flet i schowal do kieszeni.

Mimo ze Kosti rozsunal drzwi maksymalnie, przejście bylo bardzo niewielkie, i o ile Mura poradzil sobie z nim bez trudu, Kosti i Dan niezle musieli sie nameczyc. Przez moment mieli nawet obawy, ze mechanik nie zdola sie precisnac. Przepchal swoje wielkie cielsko dopiero wtedy, gdy zrzucil podreczny pas i tunike.

Teraz znalezli sie w drugim korytarzu, nieco wezszym niz klitka, w ktorej byli uwiezieni. Ze scian promieniowalo to samo szare swiatlo. Po paru pierwszych krokach Dan stwierdzil, ze stapa po czymys miekkim. Spojrzal w dol i dostrzegl warstwe kurzu przykrywajaca zarowno podloge, jak i jego buty. Mial wrazenie, jakby chodzil po suchym, nadmorskim piasku.

Mura odpial latarnie od pasa i skierowal snop swiatla przed siebie. Slady ludzkich stop byly tylko tam, gdzie sami je zostawili. Nikt wiec tedy juz od lat nie przechodzil, moze tylko jakis uciekajacy z twierdzy Przodek, dawno, dawno temu.

-Hej! - wrzasnal nagle przerazony Kosti. Tam, gdzie przed sekunda bylo waskie przejście, teraz pojawila sie gladka sciana. Powrot byl wiec niemozliwy.

-Znowu zlapali nas w potrzask! - dodal mechanik chrapliwym glosem, ale Mura mial na ten temat inne zdanie.

-To chyba nie oni. Jest tu moze jakis mechanizm, ktory zamyka wrota automatycznie, gdy tylko ktos tedy przejdzie. Nikt przeciez nie uzywal tego korytarza od lat. Mysle, ze Rich i jego ludzie nawet nie zdaja sobie sprawy z jego istnienia. Sprawdzmy, dokad nas zaprowadzi ta droga - przekonywal ich ozywiony steward.

Wydawalo sie, ze przez pare metrow korytarz wiodl rownolegle do ich poprzedniego miejsca pobytu. W gladkich scianach nie bylo widac najmniejszego otworu, a mijaja byc moze niezliczone ilosci drzwi, ktore rozsunelyby sie w odpowiedzi na okreslona kombinacje nieuchwytnych dla ludzkiego ucha dzwiekow. Nie mieli jednak ani czasu, ani sil, zeby teraz sprawdzic wszystkie mozliwe tony.

-Powietrze... - szepnal Mura. Dan rowniez wyczul swiezy powiew wiatru. Z zapachu kurzu i smierci, ktora przesiakniety byl ten tunel, wylowili won chlodu zewnetrznego swiata i rosnacych na Otchlani ziol. Tam, w dolinie, ich powonienie nie bylo tak wyczulone. Teraz jednak pragneli tych zapachow...

Branzowcy dotarli wreszcie do zrodla tego powiewu, znalezli otwor w scianie. Oprocz dudnienia instalacji uslyszeli teraz rowniez jakis szum. Dan wsunal reke w czelusc i poczul, jak jego palce muska delikatny prad powietrza.

-Kanal wentylacyjny? - odezwal sie zaciekawiony Kosti. Wcisnal glowe i ramiona w otwor. - Mozna sie w nim spokojnie poruszac - stwierdzil oswietliwszy wnetrze latarnia.

-Trzeba to miejsce zapamiętać - przytaknął Mura - ale najpierw zbadajmy do końca ten korytarz.

Po dwudziestu minutach natknęli się na kolejną ścianę, lecz tym razem Kosti nie tracił ducha.

-Weź tę swoją rurkę. Frank, i zrób coś z tą skalą - podsunął Murze rozwiązanie.

Ale steward nie sięgnął po flet. Dokładnie przyglądał się nowej przeszkodzie. Nie był to tym razem wyjątkowo gładki materiał, z którego zrobiono poprzednie drzwi i budynki w mieście Przodków. Teraz mieli przed sobą zwyczajną, chropowatą skalę.

-Nie sądzę, żeby moja fujarka na cokolwiek się przydała - powiedział spokojnie. - To koniec drogi i nie ma tu żadnego przejścia.

-Ale ten korytarz na pewno gdzieś prowadzi! - zaproponował Dan.

-Niewątpliwie tak. Są na pewno w tym tunelu drzwi, których nie widzimy, i zestawy dzwoneczków, które służą do ich otwierania, ale nie sądzę, żeby było rozsądne zajmować się ich szukaniem w tej chwili. Wróćmy lepiej do tego kanału powietrznego. Jeśli są tam jakieś przejścia, to może dotrzemy do następnego korytarza.

Ruszyli zatem w drogę powrotną. Tak jak stwierdził Kosti, tunel był duży: on i Dan mogli się spokojnie w nim poruszać na czworakach. Nie było w nim również kurzu tak dokładnie pokrywającego boczny korytarz.

Po kolei wskoczyli w ciemny otwór. Zabrakło im nagle nikłego

swiatla korytarzy - sciany tunelu nie jasnialy pozytecznym, choc upiornym blaskiem.

Mura kroczył z latarnia w reku jako pierwszy. Nie mogli narzekac - rozmiary kanalu byly odpowiednio duze, a w dodatku owiewal ich chlodny, rzeski wiatr. Przeszkadzalo im jedynie nieustajace dudnienie, ktore wdzieralo sie poprzez ramiona i nogi w glab cial.

Steward wylaczyl lampe.

-Swiatlo przed nami - rozlegl sie jego ochryply szept.

Gdy oczy Dana przyzwyczaily sie do ciemnosci, dostrzegl to samo - krazek bladej szarosci. Znalezli wiec koniec kanalu.

Gdy zblizyli sie do wylotu, coraz wyrazniej widzieli zamykajaca go krate. Steward przywarl do niej pierwszy i wowczas Dan uslyszal, jak nieustraszony dotychczas czlowiek z trudem lapie oddech.

Gdy Mura na powrot przylgnal do sciany kanalu, jego miejsce zajal Dan. Zobaczyl ogromna przestrzen - cale wnetrze gory najwyrazniej zostalo wydrzone. Zamiast skalnej sciany wznosila sie przed nimi osobliwa konstrukcja.

Byla to budowla bez dachu, ktorej mury zewnetrzne konczyly sie jakies dwa metry ponizej kraty kanalu wentylacyjnego. Nie byly one jednak proste, lecz powyginane i powykrecane. Utworzone w ten sposob pomieszczenia zupelnie nie przypominaly ziemskich pokoi i kajut. Korytarze nie mialy poczatku i wiodly do osmio- lub szesciokatnych sal bez drzwi. Widac tez bylo cale szeregi polaczonych bez celu izb - zadna ze skrajnych nie posiadala jednak ani wejscia, ani wyjscia.

Sciany miały około metra grubości, toteż człowiek mógłby po nich spokojnie spacerować, usiłując dociec sensu istnienia tego labiryntu. Mogłby też przejść na drugą stronę. Dla Branzowców nie było drogi powrotnej, więc na taki właśnie spacer będą musieli się odważyć. Dan cofnął się, aby i Kosti zobaczył, co go czeka.

Mechanik zadziwiony przyglądał się tajemniczej strukturze.

-Czemu to służy? - mruknął. - To przecież nie ma sensu...

-Na pewno nie jest to zgodne z naszym rozumieniem celowości - zgodził się Mura - ale masywność tej budowli sugeruje, że stworzono ją z określonego powodu. Nikt przecież nie wznosi takich gmachów dla zabawy.

Dan jeszcze raz przysunął się do kraty.

-Będziemy musieli przez to przejść...

-No pewnie, a potem wyrosną nam skrzydła, tak? - ironizował Kosti.

-Możemy zsunąć się na szczyt tego muru - jest dostatecznie szeroki, żeby po nim iść. W ten sposób dotrzemy na drugą stronę.

Kosti zamilkł. Potem swoimi wielkimi dłońmi zaczął sprawdzać osadzenie kraty.

-Trochę potrwa, zanim ją wyciągniemy. - Wyjął ze swej torby podreczny zestaw narzędzi i zajął się pilowaniem.

W czasie tego postępu zjedli kolejne, skape racje ze swych zapasow. Swiatlo groty pozostawalo niezmiennosc, totez zupełnie nie zdawali sobie sprawy z pory dnia. Ich zegarki nadal dzialaly i wskazywaly popoludnie, ale rownie dobrze mogl to byc srodek nocy.

Kosti polknal swoja porcje skondensowanego pokarmu i wrocil do pracy przy kracie. Minely dwie godziny, zanim odlozyl narzedzia.

-Gotowe! - pchnal ostrocznie metalowa siatke, a ta zwinela sie i przejście stalo przed nimi otworem. Kosti jednak nie ruszyl sie z miejsca, jak tego oczekiwal Dan. Cofnal sie tylko i pozwolil kolegom przejśc. Mura wsunal glowe w otwor, a nastepnie spojrzal w tyl na Dana.

-Ktos musi mi pomoc zejsc na mur - jestem za niski...

Wyciagnal rece i Dan zacisnal dlonie wokol jego nadgarstkow. Powoli spuszczał sie z kanalu, ale w pewnym momencie niebezpiecznie pociagnal za soba mlodsze kolege. Dan stracilby rownowage, gdyby nie natychmiastowa reakcja Kostiego, który chwycil go za biodra i tym samym uchronil obu Branzowcow przed upadkiem.

-Udalo sie! - Mura przesunal sie o pare krokow w prawo i czekal.

Teraz Dan opuszczal sie w dol.

-Powodzenia! - uslyszal nagle slowa Kostiego. Dostrzegl rowniez, ze mechanik cofa sie w glab kanalu, zamiast czekac u jego wylotu na swoja kolej.

-O co ci chodzi? - zapytał Dan zaskoczony zachowaniem kolegi.

-Ten odcinek drogi musicie pokonać sami - odpowiedział mu spokojnie Kosti. - Nie mam zdrowia na takie wysokości. Nie utrzymałbym równowagi na tych murach: po dwóch krokach byłoby po mnie.

Dan zapomniał o chorobie tego potężnego człowieka. Ale co mieli teraz zrobić? Jedynym wyjściem dla nich było pokonanie tego labiryntu ścian, a tymczasem Kosti nie mógł po nich chodzić. Nie zostawia go przecież tutaj...

-Posłuchaj, chłopcze - kontynuował mechanik. - Wy dwaj musicie iść dalej. Ja tu zostanę. Jeśli jest stąd jakieś wyjście, a wy do niego dotrzecie, to i mnie być może uda się przejść przez te mury. Gdybym poszedł z wami teraz, miałibyście tylko kłopot. Uwierz mi, tak jest lepiej.

Może tak rzeczywiście było lepiej, ale Dan nie mógł się na to zgodzić. Parę sekund później nie miał już jednak nic do powiedzenia: silne dłonie mechanika trzymały go jeszcze przez chwilę, lecz gdy tylko stopy Dana dotknęły podłozę, Kosti zwolnił uchwyt.

-Kosti nie idzie z nami. Mówi, że nie dałby rady. Mura skinał głowa.

-Tak, przejście po tych murach byłoby dla niego udreka. Ale jeśli znajdziemy wyjście, wrócimy tu i przeprowadzimy go przez labirynt. Bez niego będziemy się szybciej poruszać, i on o tym wie.

Dan mimo wszystko czuł się tak, jak gdyby zdradził Kostiego. Niechętnie ruszył w ślad za pewnie stąpającym Mura, który od razu skierował się w głąb pogmatwanej budowli. Ściany miały około sześciu metrów wysokości, a w pokojach i korytarzach brak było jakiegokolwiek wyposażenia. Wszystko wyglądało tak, jakby od paru wieków nikt do tych miejsc nie zaglądał. Mura skierował snop światła w dół, do niewielkiego pomieszczenia i wydal z siebie stłumiony okrzyk.

Dan przysunął się bliżej, chcąc zobaczyć powód przerażenia stewarda. W kacie leżał stos białych ludzkich kości. A więc ktoś kiedyś tu mieszkał, ktoś, kto pozostał tu na całą wieczność.

Przyjrzeni się rozrzuconym wokół strzepom ubrania. Dostrzegli również błyszczący metal - doskonale zachowane kajdanki.

-Wieżien - powiedział steward powoli. - Człowiek, którego by tutaj zamknięto, może błądzić po labiryncie przez całe lata i nigdy nie znajdzie wyjścia...

-Czy w takim razie ten tutaj jest już od czasów... - Dan nie potrafił nawet określić ilości wieków, które minęły od zniszczenia miasta i spalenia planety.

-Nie, nie sadzę. Ten jest z rasy ludzkiej i chociaż zmarł wiele lat temu, to jednak nie aż tak dawno. Ktoś odkrył to, co pradawni budowniczości zostawili i wykorzystali do własnych celów.

Od tej pory przyglądali się wszystkim szczegółom w mijanych pomieszczeniach. Często skrecaли, ale zawsze kierowali się w stronę centrum labiryntu. Cała ta przedziwna konstrukcja wydawała się teraz znacznie większa niż wtedy, gdy spojrzeli na

nia z kanału wentylacyjnego. Przecinające się, skrecające mury, wraz z zamkniętą w nich pustką, musiały zajmować kilkanaście kilometrów kwadratowych powierzchni.

-Na pewno jest jakiś powód, cel, dla którego to zbudowano - mruknął Mura. - Ale po co to wszystko? Coś tu jest nie w porządku z geometrią... Ściany budynków w mieście też były jakies niesamowite. To jest dzieło Przodków, nie mam żadnych wątpliwości, ale dlaczego takie coś wymyślili?

-Wieżenie? - odpowiedział Dan. - Można tu spokojnie kogoś zamknąć i wiadomo, że nigdy nie ucieknie. Więzienie i cela egzekucyjna zarazem...

-Nie - steward pokręcił głową. - To zbyt wielkie przedsięwzięcie - istoty ludzkie nie zadają sobie tyle trudu, żeby ukarać przestępców. Istnieją szybsze i mniej nuzące sposoby egzekwowania prawa.

-Ale przecież sam mówiłeś, że Przodkowie być może nie byli "istotami ludzkimi".

-Może rzeczywiście nie byli "ludźmi" w naszym rozumieniu tego słowa. Ale co tak naprawdę ono znaczy? Używamy tego terminu dość swobodnie, mając na myśli istoty inteligentne, które potrafią opanować swoje środowisko, jak również kierować swoim losem. I w tym znaczeniu Przodkowie zapewne byli "ludźmi". Nie wierzę jednak w to, że zbudowano ten labirynt jako więzienie i miejsce egzekucji!

Mimo, że obaj Branzowcy pewnie stąpali po murach i żaden nie cierpiał na lek wysokości, poruszali się po wąskich ścieżkach

powoli i często przystawali. Dan stwierdził, że gdy zbyt długo przypatrywał się pomieszczeniom w dole, tracił równowagę i było mu niedobrze. Zatrzymywał się wówczas i patrzył w górę na obojętną i spokojną szarość nad ich głowami. Przez cały czas wyczuwali stopami rytm potężnej maszyny, która musiała mieścić się gdzieś w tym lancuchu gorskim. Możliwe nawet, że labirynt był jakąś istotną częścią tego urządzenia. Geometria tego miejsca była "nieprawidłowa", jak to określił Mura i wywoływała u obu Ziemiaków swoiste uczucie strachu.

Drugiego martwego człowieka znaleźli w dużej odległości od pierwszego i tym razem nie zniszczona przez czas tunika udało się im rozpoznać: człowiek miał insygnia Inspekcji.

-Może kiedyś to nie było więzienie, ale teraz na pewno służy do tego celu - stwierdził Dan.

-Ten nie żyje od paru miesięcy - Mura cały czas oświetlał skuloną sylwetkę. Dan nie miał jednak ochoty patrzeć. - Może jest z Rimbolda albo z jakiegoś innego zagubionego statku.

-Mogli ta diabelska maszyna sciągnąć więcej pojazdów Inspekcji. Załóżę się, że wokół jest mnóstwo wraków.

-Masz rację. - Mura wstał. - A dla tego biedaka nie możemy już nic zrobić. Chodźmy.

Dan chętnie zostawił ten niemy dowód dawnej tragedii i ruszył w kierunku następnego skrzyżowania ścian.

-Czekaj! - steward podniósł dłoń wydając to nieoczekiwane polecenie.

Dan posłusznie zatrzymał się i spojrzał w tył. Steward wyglądał tak, jakby nasłuchiwał każdą cząstkę swego ciała. I wtedy do uszu Dana również dotarł ten dźwięk: to buty kosmiczne uderzały o kamień. Każdy Branzowiec wszędzie rozpoznał brzęk magnetycznych podeszew. Wydawało się, że ich właściciel biegnąc zataczał się - stukot był urywany i nieregularny. Mura słuchał chwilę, potem skreślił w prawo i udał się w stronę, z której właśnie przyszli.

Po chwili wszystko ucichło i Mura zachowywał się jak pies weszycy po śladach: zapuszczał się to w prawo, to w lewo, oświetlając zakamarki mijanych pomieszczeń.

Zatrzymał się właśnie nad dość prostym odcinkiem korytarza, kiedy ponownie rozległ się stukot. Tym razem kroki były wolniejsze, biegnący często zatrzymywał się, jak gdyby tracił siły. Kolejny nieszczęsny dostał się w pułapkę! Gdyby tylko mogli go znaleźć! Dan posuwał się naprzód równie szybko jak Mura.

W tym labiryncie dźwięk był jednak podstępny przewodnikiem: niektóre ściany tłumily go, inne potęgowały. Nie byli pewni czy dociera do nich zwielokrotnione echo, czy też może człowiek jest tuż obok. Wydawało im się jednak, że idą w dobrym kierunku. Poruszali się równolegle, oddzieleni o jakieś dwa sektory, sprawdzając każdy zakątek.

Dan okrzyknął pokój o sześciu ścianach, każdej innej długości, i wspinał się na mur będący częścią zakrzywionego korytarza. Przy jednym z zakrętów dostrzegł pochyloną, wspartą o ścianę, postać.

-Tutaj! - zawołał do stewarda.

Człowiek w dole doszedł do końca holu i trafił na ściane. Oparł się o nią i jęcząc osunął na podłogę. Leżał bez ruchu ze schowaną w ramionach głową, nie zdając sobie sprawy z tego, że sześć metrów nad nim stoi jego przyszły wybawca. Dan przyglądał się gładkiej powierzchni i zupełnie nie wiedział, w jaki sposób ma się dostać na dół.

Mura przybiegł szybko i lekko, jakby całe życie spędził poruszając się wyłącznie po murach labiryntów. Teraz obaj skierowali światło lamp na nieruchome ciało.

Nie mieli wątpliwości, że podarta tunika należała do Branzowca. Wiezien był jednym z nich. Stekając odwrócił się i wtedy zobaczyli jego posiniaczona i okaleczona twarz. Dan nie mógł go zidentyfikować, ale steward był całkowicie pewien:

-Ali!

Być może Kamil usłyszał swoje imię, a może to jego silna wola ocuciła go. Znowu jęknął i próbował coś powiedzieć, ale z poszarpanych ust wydobywał się tylko bełkot. Mimo że powieki miał spuchnięte, widac było, że patrzy na nich.

-Ali - zawołał Mura. - Jesteśmy tutaj. Czy rozumiesz?

Kamil unosił w ich stronę zmasakrowaną twarz i wydusił z trudem:

-Kto?... Nie widzę!

-Mura i Thorson - krótko odpowiedział steward. - Jesteś ranny?

-Nic nie widzę. Zgubiłem... Głodny...

-Jak sie tam dostaniemy? - zastanawial sie Dan. Gdyby tak mieli liny, ktorymi przywiazywali sie do pelzacza! Ale zostawili je po drodze i teraz nie mieli nic, co mogloby spelnic te sama funkcje.

Mura odpial pas.

-Twoj pas i moj...

-To za malo, nawet, jesli je zlaczymy!

-Moze same sa za krotkie, ale poczekaj moment...

Dan zrzucil swoj pas i przygladal sie, jak steward oba laczy z soba. Potem maly czlowiek zwrocil sie do niego:

-Musisz mnie opuscic. Jestes w stanie?

Dan spojrzal na niego z powatpiowaniem. Nie bylo tu niczego, o co moglby sie zaczepic. Jesli nie utrzyma stewarda, obaj runa w dol. Ale chyba nie mieli innego wyjscia.

-Sprobuje. - Polozil sie na brzuchu i zaczepil czubkami palcow o drugi brzeg sciany, po czym wyciagnal w dol lewa reke. Mura wyjal miotacz i sprawdzil magazynek.

-No to ide... - Z miotaczem w dloni steward spuscil sie po prowizorycznej linie. Dan zagryzl usta i mimo bolu w ramionach, utrzymywal pozycje.

Nagly blysk oslepil go na chwile a dym z miotacza gryzl w gardlo. Nareszcie zrozumial pomysl Mury. Steward wypalal w gladkiej scianie uchwyty dla rak i miniaturowe schody, po ktorych mozna bedzie swobodnie dostac sie do Aliego.

Rozdział 16. - Serce Otchlani

Nagle rozdzierający ból w mięśniach ustal - Mura widocznie stanął na ziemi. Dan spojrzął w dół i zobaczył szereg wypalonych w ścianie dziur: te wcześniejsze były już czarne, ale niektóre zarzyły się jeszcze czerwono. Rozprostował obolałe palce i oba pasy zsunęły się na podłogę. Gdy na najniższych stopniach zniknął żar, Dan wciągnął rękawice przyłączone do mankietów tuniki i zaczął schodzić do kolegów. Choć utworzona przez Mure drabina kończyła się w dość sporej odległości od dna pomieszczenia, Dan nie miał żadnych kłopotów z pokonaniem tej wysokości.

Mura rozłożył już swoją podręczną apteczkę i zajmował się teraz twarzą Aliego.

-Latarka - rzucił niecierpliwie steward. - Poswiec mi tu trochę!

Dan oświetlił Mure i jego pacjenta. Rany zostały przemyte i posmarowane mascią regenerującą tkankę. Ali dostał porcję skondensowanego pokarmu i łyk witaminizowanego płynu. Widział już teraz swoich wybawców i chociaż trudno było mu się uśmiechać, w jego głosie pojawiła się znowu, dobrze im znana ironia.

-Jak się tu dostaliście? Szperaczem?

Mura wstał i spojrzął na ogromną kopule nad nimi.

-Nie, ale pewnie któryś z nich bardzo by nam się tu przydał.

-Zgadza się! - Okaleczone i spuchnięte usta nie pozwalały

Kamilowi swobodnie mowic, ale mimo wszystko ciagnal dalej: - Myslalem, ze juz po mnie. Kiedy ten Rich zamknal mnie tutaj, powiedzial, ze jesli bede madry, to znajde wyjscie. Ale nie sadzilem, ze do tego trzeba skrzydel!

-Co to w ogole jest? zapytal Dan. - Wiezienie?

-Tak, ale nie tylko. Wiecie, co tu sie dzieje? - glos Aliego zadrzal z podniecenia. - Znalezli instalacje zbudowana przez Przodkow i okazuje sie, ze ona dziala! Kazdy statek, ktory znajdzie sie w pewnej odleglosci od planety, jest skazany na katastrofe.

Potem ta banda banitow wychodzi z ukrycia i kradnie z wrakow wszystko, co sie da.

-W ten sposob uwiezili tez Krolowa - poinformowal go Dan. - Jesli sprobuje wystartowac, marny bedzie jej los.

-A wiec o to chodzi! Musza pilnowac, zeby maszyna rowno pracowala i jeszcze zanim mnie tu zamkneli, byla mowa o tym, ze nie wiadomo, jak dlugo ta instalacja moze dzialac bez odpoczynku. Zdarzylo sie juz kiedyś, ze wylaczyla sie i wlaczyła pod wpływem jakiegos impulsu, ktorego nie rozszyfrowali. W kazdym razie, rozwiazanie tej calej zagadki jest tutaj, w tym przekletym labiryncie!

-To znaczy, ze instalacja jest tutaj? - Mura przygladal sie scianom tak lapczywie, jak gdyby chcial wyssac z nich tajemnice.

-Albo instalacja, albo cos rownie waznego. Mozna sie tam dostac, jesli trafi sie na szlak. Dwa razy podczas mojego tutaj kolowania slyszalem za sciana rozmowy. Tylko nigdy nie moglem

wejsc w odpowiedni korytarz - westchnal Ali. - Juz prawie unioslem sie w nadprzestrzen, kiedy uslyszalem was w eterze.

Dan zapial pas i wyciagnal miotacz. Ustawil miernik cisnienia na najnizszej wartosci, zaczal wypalac w murze kolejne stopnie az do wysokosci, na ktorej zakonczyl prace Mura.

-Mozemy pojsc i sprawdzic - powiedzial nie przerywajac pracy.

-Ty pojedziesz - odparl Mura. - I zrobisz to z najwieksza ostrozoscia. Ali nie jest jeszcze w stanie wedrowac po murach. Ale ty dojrzysz moze z gory ten szlak, o ktorym mowil. Potem, pod twoim kierunkiem, mozemy wyruszyć wszyscy.

Bylo to chyba najbardziej rozsadne rozwiazanie. Dan czekal, az wystygna nowe wyzlobienia i przysluchiwal sie relacji, ktora zdawal Kamilowi Mura. Potem Ali opowiedzial, co go spotkalo od czasu, gdy tak tajemniczo zniknal.

-Nagle skoczylo na mnie dwoch ludzi - rzekl nie ukrywajac wstydu za brak ostrozosci. - Mieli osobiste szybkoosciowce! - W jego glosie slychac bylo zlosc. - To tez spuscizna po Przodkach. Przeogromny Kosmosie! Czegoz tu oni nie zostawili! Rich uzywa tych cudow i zupełnie nie ma pojecia, dlaczego i na jakiej zasadzie dzialaja. Te gory to potezny magazyn! No wiec zabrali mnie tym szybkoosciowcem w gore i uderzyli na tyle skutecznie, ze stracilem przytomnosc. Kiedy doszedlem do siebie, lezalem zwiazany na tym ich gasienicowatym pelzaczu. Potem mialem krotka rozmowe z Richem i jego ekipa. - Ali zamyslil sie na moment przy ostatnim zdaniu, ale nie podal szczegolow - jego twarz mowila sama za siebie. - Zrobili jeszcze pare madych uwag i wrzucili mnie tutaj. Od tego czasu chodzilem w kolko po

tych zwariowanych korytarzach. Ale czy wy rozumiecie, że to jest coś, o czym każdy Branzowiec marzy przez całe życie? Urządzenia Przodków! I to w dodatku tak dobrze zachowane. Gdybysmy mogli się wydostać...

-Tak, to jest w tej chwili najistotniejsze - wtracił Mura. - No i sprawa instalacji. Dan spojrzał w górę.

-Jak ja was tu odnajde?

-Ustalisz współrzędne. A ponadto - Mura wyjął swoją lampę, ustawił ją na podłodze i wcisnął klawisz niskiego zasilania - kiedy będziesz na górze, sprawdź, czy to w ogóle stamtąd widac.

Dan ponownie użył wrytej w ścianie drabiny i wdrapał się na górę. Spojrzał w dół. Snop światła rozciął mrok, tak jak niedawno promień reflektora Królowej. Dał znak ręką pozostałym w korytarzu kolegom i ruszył w stronę centrum labiryntu, gdzie według przypuszczeń Aliego, znajdowała się tajemnicza instalacja.

Zakrzywione pod przeroznymi katami mury wiodły czasami w ślepe zaułki, toteż niekiedy musiał zawracać. Nigdzie nie dostrzegł korytarza, który bez przeszkód prowadziłby do środka. Nawet jeśli takie przejście istniało, to zapewne trzeba by użyć odpowiednich dźwięków, żeby rozsunąć jakas ściane.

Jego ciało przenikało coraz silniejsze dudnienie instalacji. Zbliżał się więc do źródła. Potem zauważył przed sobą wzmozona jasność. Nie było to jednak światło lamp, ale raczej niezwykle skoncentrowane promieniowanie pochodzące ze ścian. Zwolnił teraz i zaczął ostrożnie przesuwac nogi po murze, aby uniknac

stukotu magnetycznych butów.

Natrafil na podwojny, owalny mur. Przestrzen między ścianami wynosiła około metra. Zdecydowany sprawdzić, co jest w środku, przeskoczył na wewnętrzna ścianę, przykucnął i spojrzał w dół. Pomieszczenie było całkowicie odmienne od tych, które dotychczas widzieli.

Stały w nim maszyny, ogromne, niebotyczne urządzenia, z których każde pokryte było warstwą aluminium. Jedna trzecia ściany stanowiła wielka tablica rozdzielcza, ze wszystkimi wskaźnikami i zegarami. W jej centrum znajdowała się płyta z gładkiego metalu, która bardzo przypominała ekranowizory używane na statkach.

Nie było na niej jednak żadnego obrazu z przestrzeni kosmicznej. Płyta była całkiem czarna i tylko od czasu do czasu pojawiały się na niej jakieś iskielki.

Przy tablicy stało trzech ludzi. Troche jasniejsze światło pozwoliło Danowi rozpoznać Salzara Richa oraz Rigelianczyka, który również był na Krolowej. Trzeciego człowieka nie mógł zidentyfikować - chyba nigdy przedtem go nie spotkał.

Tak, to było to! Diabelskie serce Otchlani, które zamieniło wypaloną planetę w przekleństwo tego zakątka Kosmosu. Dopóki to serce było, tak ja teraz, Krolowa była w niebezpieczeństwie, a jej załoga nic nie mogła na to poradzić.

Ale czy rzeczywiście byli bezradni? Przez ciało Dana przeszedł dreszcz emocji. Rich używał maszyny, której przecież też tak do końca nie rozumiał. Inne ręce, inna głowa mogły, być może

unieszkodliwic te cala konstrukcje. Gdyby teraz przyjrzał sie troche tym na dole, moglby dowiedziec sie, jak kontrolowac emisje fal, ktore uwiezily ich statek.

Na wielkim ekranie swietlne punkciki poruszaly sie szybko, a stojacy przy pulpicie ludzie obserwowali je w skupieniu sugerujacym niepokoj. Nikt nie dotykal zadnych dzwigni ani nie przyciskal klawiszy. Dan przeczolgal sie do punktu, z ktorego mogl uslyszec ewentualne rozkazy Richa.

Przywarl do muru w obawie, ze ktos go zobaczy i wowczas uslyszal tupot nog. Spojrzal w dol i dostrzegl w oddali jednego z banitow. Biegl kretym korytarzem wprost do owalnego pomieszczenia. Gdy trafil na sciane stanal i krzyknal:

-Salzar!

Rich odwrocil sie przyciskajac prawa reka jakies guziki. Fragment muru podniosl sie i przybysz mogl wejsc.

Do uszu Dana dotarl ostry ton Richa:

-Co sie stalo?

Goniec ciagle ciezko dyszal, jego umiesniona twarz byla czerwona od wysilku.

-Wiadomosc od Algara, wodzu. Nadlatuje, a za nim Patrol.

-Patrol! - czlowiek przy pulpicie odwrocil sie otwierajac w zdumieniu usta.

-Czy ostrzegliście go, że maszyna jest włączona? - zapytał Rich.

-Oczywiście, że tak. Ale on nie może już dłużej uciekać. Albo wylądować, albo dostanie go Patrol.

Rich stał z głową lekko uniesioną wpatrując się w ekrany. Jego asystent, Rigelianczyk, odezwał się pierwszy:

-Zawsze mówiłem, że powinniśmy tu zainstalować nadajnik - stwierdził triumfalnie z miną człowieka, któremu w końcu udało się dowiedzieć swojej racji.

Człowiek przy pulpicie odparł natychmiast:

-Tak, ale w jaki sposób miałbyś coś usłyszeć poprzez te zakłócenia? - zaczął, lecz przerwał mu Rich, rzucając krótko w stronę gonca:

-Wróć tam i powiedz Jennisowi, żeby natychmiast zatrzymał silniki. Dokładnie za dwie godziny - spojrzał na zegarek - wyłączymy maszyny na godzinę. Ale tylko na godzinę - nie dłużej. Wtedy on wylądować. Nieważne, czy uda mu się ocalić statek; ważne, żeby ocalić skóre, a z tym sobie jakos poradzi. Potem my znowu włączymy promieniowanie i ściagniemy Patrol. Rozumiesz?

-Dwie godziny i wyłączamy, przez godzinę bez promieniowania i wtedy on ma lądować, potem znowu włączamy - powtórzył posłusznie goniec. - Zrozumiałem!

Odwrocił się i wybiegł z sali, by zniknąć w kretych korytarzach labiryntu. Dan załował, że nie może się rozdzielić i pójść za nim - w ten sposób odkryłby wyjście z tej budowli. Ważniejsze było jednak pozostanie na miejscu, aby przyjrzeć się jak Rich ma

zamiar wyłączyć maszyny.

-Mylisz, że mu się uda? - zapytał człowiek przy tablicy kontrolnej.

-Dwanaście do jednego, że wyjdzie z tego cało - wtracił Rigelianczyk. - Algar jest świetnym pilotem.

-Będzie musiał ulec przyciąganiu i pozostać w pełnej gotowości, czekając aż ustanie. I wtedy wyczuć moment, w którym można włączyć silniki hamowania - niełatwa sprawa. - Najwidoczniej drugi asystent Richa nie podzielał optymizmu Rigelianczyka.

Tymczasem wódz cały czas obserwował ekran. Pojawiły się na nim dwa światła. Przemierzały się po gładkiej powierzchni tak nierówno, że Dan nie był w stanie zrozumieć nic z ich dziwnego wirowania.

Rich poruszał ustami odliczając sekundy. Jego oczy wędrowały na ekran i z powrotem na zegarek. Atmosfera była coraz bardziej napięta. Nad tablicą kontrolną pochylał się człowiek koncentrując całą swoją uwagę na przyciskach. Rigelianczyk przeszedł swoim posuwistym krokiem do przeciwnego końca płyty i wyciągnął pokrytą luskami, szesciopalcza dłoń w stronę jednej z dźwigni.

-Czekaj! - zawołał człowiek przy klawiaturze. - Znowu pulsuje!

Rich zaklął ostro. Na ekranie świetlne punkty skakały w górę i w dół w zwariowanym pościgu. Dan zauważył, że dudnienie instalacji było teraz nierówne, że rytm był jakby słabszy.

-Zrob cos z tym! - Rich podbiegl do tablicy kontrolnej. - Wlacz to!

Czlowiek mial twarz zlana potem.

-Ale jak? - zapytal. - Przeciez nie wiemy, dlaczego tak sie dzieje!

-Skroc promien - to juz kiedys pomoglo - odezwal sie Rigelianczyk, ktory najmniej sposrod nich ulegal emocjom.

Czlowiek nacisnal dwa klawisze. Wszyscy trzej wpatrywali sie w ekran obserwujac rezultat tego posuniecia. Rozbiegane punkciki uspokoily sie nieco i poruszaly niemal w ten sam sposob, co wtedy gdy Dan dostrzegl je po raz pierwszy.

-Jak daleko siega przyciaganie? - zapytal Rich.

-Do poziomu atmosfery.

-A statki?

Jego podwladny zerknal na tablice i zegary.

-Wejda w strefe przyciagania za godzine lub dwie. Za kazdym razem, gdy przerywamy zasilanie, trzeba potem troche czasu, zeby wrocic do poprzedniej mocy. W kazdym razie ten przeklety frachtowiec i tak nie moze odleciec...

Rich wyjal z kieszeni male pudelko, wysypal cos z niego na dlon i zaczal to zlizywac.

-Przyjemnie jest wiedziec, ze choc jedna sprawa sie udaje - stwierdzil z satysfakcja, ktora przyprawila Dana o gesia skorke.

-Wiemy o tym wszystkim zbyt mało. - Człowiek przy tablicy kontrolnej stukal palcami o pulpit. - Zaden z nas nie został przecież wyszkolony w tej dziedzinie, a już na pewno nikt nie miał do czynienia z pozaziemskimi instalacjami...

-Daj mi znac, czy i kiedy bedziesz mogli włączyc pełna moc - odpowiedział mu Rich.

Mina więc dwie godziny, zanim instalacja będzie pracowała pełna para, pomyślał Dan. Gdyby w tym czasie on i Mura, a może nawet Ali i Kosti, mogli coś zrobić... Ta dźwignia, po którą sięgnął Rigelianczyk, na pewno jest bardzo ważna. Mogliby przejąć ten pokój i uwięzić obecnych w nim ludzi, a wówczas może dowiedzieliby się czegoś więcej o tej maszynie. Wtedy Patrol wylądowałby bezpiecznie zaraz za statkiem banitów... Ale co on ma teraz zrobić?

Rich zdecydował za niego. Przechodząc nieznaną Danowi substancję podszedł do ukrytych w jednej ze ścian drzwi.

-Dwie godziny, mówisz - rzucił w stronę pochylonego nad pulpitem człowieka. - Byłoby znacznie lepiej dla nas wszystkich, gdybyś skrócił ten czas o połowę, zrozumiałeś? Wroce za godzinę. Bądź przygotowany do włączenia pełnego zasilania. - Skinal głową Rigelianczykowi i wyszedł.

Dan ruszył za nim. Pozwolił Richowi trochę się oddalić i zaczął go śledzić. Przywódca banitów pokonywał trasę z olbrzymią łatwością i bardzo szybko. Zanim jeszcze osiągnęli poziom równoległy do miejsca pobytu Mury i Aliego, Dan poznał sekret labiryntu. Dwa zakrety w prawo, jeden w lewo i trzy w prawo, potem wejście w korytarz, które trzeba zignorować i jeszcze raz

to samo. Rich zrobił tak cztery razy i Dan był pewien, że jest to jedyny sposób na wydostanie się stąd. Odkrywszy te tajemnice, Branzowiec poczekał, aż Rich minie kolejnych kilka korytarzy i dopiero wtedy skręcił w stronę pomieszczenia, w którym zostawił swoich kolegów.

Kamil już chodził, najwidoczniej pomoc Mury przywróciła mu siły. Gdy tylko Dan wszedł do nich, zarzucili go pytaniami.

-To wszystko - zakończył swoje sprawozdanie. - Patrol siedzi na ogonie tego ptaszka i dopóki nie wchodzi w atmosferę, są bezpieczni. Ale kiedy włącza pełne zasilanie... - Dan wzruszył ramionami.

-Teraz nasz ruch! - wyrzucił przez spuchnięte usta Kamil. - Musimy całkowicie unieszkodliwić te maszyny!

-Tak - Mura zbliżał się do stopni w ścianie. - Ale najpierw trzeba przyprowadzić Kostiego.

-Jak to sobie wyobrazasz? Przecież powiedział, że nie może chodzić po tych murach...

-Człowiek jest w stanie zrobić wszystko, jeżeli nie ma innego wyjścia - odrzekł steward. - Wy zostańcie tutaj, a ja pójdę po niego. Ale najpierw pokaż mi drogę do tego "serca".

Dan wspinał się więc na wierzchołek ściany i poprowadził Murę do korytarza, którym szedł Rich. Potem odtworzył jego niezbyt skomplikowaną drogę. Mura uśmiechnął się pogodnie.

-Bardzo proste, prawda? Wróć teraz do Kamila i nie robcie

jakiegos glupstwa. To naprawde niezwykle interesujace...

Dan poslusznie skierowal sie w strone pomieszczenia, w ktorzym czekal Kamil. Asystent inzyniera siedzial na podlodze oparty plecami o sciane z twarza zwrcona do swiatla. Gdy uslyszal kroki, odwrocil glowe.

-Witam na pokladzie - rzekl z trudem. - Opowiedz mi teraz o tej instalacji. - Zaczal dokladnie wypytywac Dana o szczegoly, ktorych wyjasnienie sprawialo malo doswiadczonemu chlopakowi autentyczna trudnosc. Jesli chodzi o urzadzenia, to niewiele zdolal dostrzec, poniewaz mialy aluminiowa obudowe. Nie byl rowniez w stanie opisac szczegolowo tablicy kontrolnej, jako ze bardziej byl skoncentrowany na tym, co robili stojacy przy niej ludzie. Musial wiec przyznac, ze nie zachowal sie tak, jak powinien. Prawdziwy Branzowiec mial oczy szeroko otwarte i analizowal wszystko, co widzial. A wiec Dan znowu nie wykorzystal w pelni okazji, ktora mu sie nadarzyła. Obudzila sie w nim dawna niechec do rozmowcy.

-Jakie maja zrodla zasilania? - indagowal dalej Ali. - Nam nawet we snie nie przyszly do glowy takie pomysly! Jestem pewien, ze sa tu maszyny, ktore pchnelyby nasza cywilizacje o kilkaset lat do przodu.

-Oczywiscie przy zalozeniu, ze uda nam sie je przejac - rzekl cierpko Dan. - Jeszcze nie wygralismy tej bitwy.

-Ani tez nie przegralismy - odparl Ali. Wygladalo na to, ze zamienili sie rolami. Teraz Kamil budowal zamki na lodzie, a Dan powatpiewal.

-Gdybysmy mogli spedzic tu pare godzin ze Stotzem! Na Wielka Przestrzen, jednak wygralismy stawiajac na Otchlan!

Ali najwyrazniej zupełnie zignorował fakt, że to Rich nadal był panem życia i śmierci na planecie, że Królowa była unieruchomiona, a wrog posiadał moc, która skutecznie broniła dostępu do jego głównej kwatery. Im więcej Kamil rozprawiał o przyszłości, która ich czekała, tym więcej Dan widział niebezpieczeństw w tym, co za chwile mieli zrobić. Ich rozmyślania przerwał cichy okrzyk z góry.

-Mura! - Dan wstał natychmiast. A więc stewardowi udało się! Stał obok niego Kosti, z reka na ramieniu przewodnika.

-To my - dotarła do nich krótka odpowiedź. - Teraz wasza kolej. Wchodźcie na górę, szybko! Czas ucieka!

Ali ruszył pierwszy i dwa lub trzy razy z trudem pohamował okrzyk bólu spowodowany nadmiernym, jak na jego sponiewierane ciało, wysiłkiem. Dan chwycił lampę, wyłączył ją, i poszedł w ślady kolegi.

-A oto nasz plan - Mura najwyrazniej czuł się przywódca i w rzeczy samej był nim od momentu, gdy weszli w te górę. - Kosti i Ali: pojdziecie normalną trasą do pomieszczenia z instalacją. Thorson i ja będziemy się poruszać po murach. Oczekują Richa, więc wasze pojawienie się zaskoczy ich. My powinniśmy mieć dużo czasu na unieruchomienie tej dźwigni. Potem zrobimy wszystko, co konieczne, żeby ta szatanska maszyna już nigdy nie zadziałała. No to w drogę.

Wrocili do szlaku używanego przez Richa. Kosti szedł wolno z

reka na ramieniu stewarda, jego ciałem wstrzasaly dreszcze. Po kilkudziesieciu metrach ponownie polaczyli pasy i spuscili go, a potem Aliego na dno labiryntu.

Blask unoszacy sie nad instalacja byl ich przewodnikiem i bez problemu trafili do owalnego pomieszczenia. Mura dal znak Kostiemu, a ten zawolal tak, jak kilkadziesiat minut wczesniej zrobil to goniec.

-Salzar!

Dan wpatrywal sie w Rigelianczyka. Mieszkaniec odleglej planety podniosl glowe i spojrzal na ukryte drzwi. Chyba sie uda, pomyslal Dan, jako ze blekitna dlon przesunela sie w strone jednego z przyciskow na tablicy kontrolnej. Za drzwiami cierpliwie czekal Kosti z miotaczem gotowym do strzalu. Nieuzbrojony Ali stal o krok dalej.

Rozdzial 17. - Serce przestaje bic

Gdy drzwi rozsunely sie. Kosti przeskoczyl prog, a Mura krzyknal poteznym glosem: - Jestescie otoczeni! Nie ruszac sie! Czlowiek przy klawiaturze zerwal sie z miejsca i spojrzal pelen zdumienia na Kostiego. Rigelianczyk przemkнал z niezwykla predkoscia na drugi koniec pulpitu, wyciagajac reke w strone jakiegos przycisku.

Dan zareagowal na to plomieniem miotacza wymierzonym nie w ludzi, lecz w klawiature. Rigelianczyk wrzasnal nieludzko i upadl, ale jeszcze sie nie poddawal. Rzucil sie na Kostiego z szybkością, ktorej nie mogl dorownac zaden mieszkaniec Ziemi.

Wielki człowiek zrobił unik. Nie umknął jednak niebieskim, luskowatym dloniom i znalazł się na podłodze. Rozpoczęła się zaciekle walka. Drugi z banitów pozostał na miejscu ciągle coś mamroczać pod nosem.

Ali wsunął się do pokoju i opierając o ściane zaczął przesuwać się w kierunku klawiatury. Podniósł głowę i krzyknął do Dana:

-Który to wyłącznik?!

-Ten przed tobą! Czarny z mechanizmem w raczce - odpowiedział Dan. W tym momencie oczy człowieka przy klawiaturze dostrzegły stojących na murze Branzowców i nagle wróciła mu zdolność myślenia. Sięgnął po broń przy pasie, lecz nie udało mu się jej użyć. Plomien miotacza osmalil mu łokcie.

-Podnies ręce! Natychmiast! - Mura krzyknął tak ostro, jak zwykle to czasami robił Jellico.

Człowiek posłuchał go i oparł się dłońmi o ekran, w który tak długo się wpatrywał. Teraz obserwował, jak Ali niepewnym krokiem zbliża się do dźwigni i na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Gdy wreszcie ręka Aliego spoczęła na raczce, wrzasnął z całej siły:

-Nie!

Ali oczywiście nie miał zamiaru przejść ostrzeżeniem i pociągnął dźwignię w dół. Banita krzyknął po raz drugi. Lecz nie był to jedyny rezultat poczynan Branzowca. Dudnienie wypełniające ściany, ten rytm przenikający ich ciała, nagle ucichło.

Rigelianczyk wysliznal sie z uchwytu Kostiego i rzucil na dzwignie. Ali byl jednak szybszy - przykryl swoim cialem metalowa raczke, az pekla pod wplywem ciezaru. Nikt juz nie bedzie mogl jej uzyc. Widzac to, czlowiek przy ekranie zupełnie oszalal i ruszyl na Kamila nie baczac na grozby Mury.

Dan zauwazyl to za pozno, poniewaz cala swa uwage skoncentrowal na Rigelianczyku, ktory byl jego zdaniem grozniejszy. Na szczescie steward zareagowal od razu i gdy tylko rece szalenca dotknely gardla Aliego, plomien miotacza dosiegnal kamikadze. Nie zdazyl nawet krzyknac z bolu i upadl na podloge twarza w dol.

Rigelianczyk wstal. Nieruchome, typowo gadzie oczy, spoczely na Danie i Murze. Byl najzupelniej swiadom dwoch wycelowanych w niego miotaczy. Poprawil poszarpane w walce ubranie i zignorowal Kostiego.

-Wydaliscie wyrok na nas wszystkich - powiedzial w jezyku Lingo, oficjalnie uznanym za obowiazujacy w Branzy. To zdanie bylo zupełnie pozbawione emocji: rownie dobrze mogl wlasnie prowadzic towarzyska rozmowe.

Kosti ruszyl na niego.

-A moze bys tak podniosl rece do gory i nie probowal zadnych sztuczek?

Przez cialo Rigelianczyka przeszedl dreszcz.

-Nie ma zadnej potrzeby, zebym czegokolwiek probowal. Wszyscy wpadlismy w te sama pulapke.

Ali oparł się o jakieś krzesło i usiadł wyczerpany. Ekran za jego plecami był pusty.

-Co z tą pulapką? - zapytał Mura.

-Kiedy zniszczycie te dzwignie, zniszczycie jednocześnie wszystkie stery - Rigelianczyk oparł się spokojnie o ścianę. Jego luskowata twarz była zupełnie bez wyrazu. - Nigdy stąd się nie wydostaniemy w ciemności!

Po raz pierwszy Dan zauważył zmianę. Szare promieniowanie ścian zanikało stopniowo, tak jak zanika żar ogniska.

-Jesteśmy w potrzasku - kontynuował bezlitosnie więzien. - I ponieważ roztrzaskalście urządzenie kontrolujące wszystko wokół, nikt nas stąd nie uwolni.

Odpowiedział mu snop światła, który rozciął zapadający mrok. Rigelianczyk pozostał niewzruszony.

-Nie znamy wszystkich tajemnic tego miejsca - rzekł. - Poczekajcie chwilę, a zobaczycie, jakie sprawne i pomocne okazały się wasze lampy za kilka minut.

Dan zwrócił się do stewarda:

-Jeśli wyruszymy teraz, zanim całkiem zniknie światło ścian...

Mura przytaknął i krzyknął do więźnia:

-Czy możesz otworzyć drzwi?

Zamiast odpowiedzi Rigelianczyk niedbale pokręcił głową. Kosti

natychmiast ruszył do akcji: przy pomocy miotacza wypalił stopnie w murze, tak jak poprzednio zrobił to Mura. Dan niecierpliwil się bardzo, czekając na moment, w którym będą mogli bezpiecznie stapać po tych prowizorycznych schodach.

W końcu jednak wydostali się na górę i przeszli na drugą stronę muru. W korytarzu Kosti związał ręce więźniowi i polecił mu iść przed sobą. Posuwali się oczywiście w zółwym tempie i nawet z pomocą kolegów Ali z trudem dotrzymywał kroku pozostałym. Otaczała ich ciemność - światło lamp nie dorównywało poprzedniej jasności.

Mura włączył swoją latarkę.

-Będziemy używać tylko jednej. Zaoszczędzimy baterie na czas, kiedy będą rzeczywiście niezbędne.

Dana zastanowiły te słowa. Baterie lamp przecież nie wyczerpują się tak szybko, mogą być używane całymi miesiącami. Lecz istotnie, snop prowadzący ich światła był jakos dziwnie bladoszary, a nie jaskrawożółty...

-Dlaczego nie zwiększysz mocy? - zapytał po chwili Ali.

W mroku rozległ się szyderczy śmiech Riegelianczyka. Mura odpowiedział spokojnie:

-Już to zrobiłem...

Nikt się nie odezwał, ale Dan wiedział, że nie był jedynym, który z zaniepokojeniem przyglądał się słabnacemu promieniowi. Teraz kiedy zanikł prawie zupełnie i oświetlał zaledwie pół metra drogi,

Dan nie zdziwil sie. Tylko Kosti zdumial sie niezmiernie:

-Co sie dzieje? Poczekajcie... - Snop swiatla zapalanej przez niego lampy rozdarl ciemnosc. Przez jakies dwie minuty bylo bardzo jasno, po czym i ten promien zaczal znikac, jakby pochlanialo go powietrze.

-Ta instalacja ma wplyw na cala energie w labiryncie - objasnil Rigelianczyk. - Nie zdolalismy zrozumiec wszystkiego. Swiatlo sie wyczerpuje, a potem znika tlen.

Dan wciagnal powietrze. Wydawalo mu sie, ze pozostalo bez zmian. Byc moze ten ostatni szczegol to jedynie wytwor wyobrazni wieznia. Ale wszyscy przyspieszyli kroku.

W bladym i znikajacym swietle latarki byli jednak w stanie utrzymac kierunek, ktory nieswiadomie zdradzil Rich i ktory powinien wyprowadzic ich z labiryntu. Wokol panowala niczym niezmacona cisza - jedynie tupot ich nog wywolywal dziwne echo.

Po jakimś czasie latarka Kostiego wyczerpala sie i tym razem Dan wlaczyl swoja. Mijali kolejne pokoje, przechodzili z jednego korytarza w drugi, usilujac jak najlepiej wykorzystac resztki swiatla. Ciagle jednak nie widzieli, jak daleko jest do wyjścia.

W koncu zgasla rowniez lampa Dana i wowczas Mura postanowil zrobic cos, co juz raz im pomoglo:

-Teraz musimy stworzyc lancuch.

Prawa reka Dan chwycil pas Mury, a lewa zacisnal wokol

nadgarstka Aliego. Znowu ruszyli. Oprócz brzęku magnetycznych butów do uszu asystenta Szefa Ładowni doszło teraz mruczenie stewarda: prawdopodobnie wymyślił jakiś sobie tylko wiadomy sposób na przemieszczanie się w ciemności z jednego punktu w drugi.

Mrok napierał na nich - gesty, niemal dotykalny. Wywolywał to samo wrażenie, które mieli już podczas swych pierwszych wędrowek po Otchłani: przedzierał się jakby przez śliska maz i w tych warunkach można było całkowicie stracić wiarę w powodzenie wyprawy.

Dan szedł w ślad za Mura bezmyślnie, wierzył tylko, że steward wie, co robi i przede wszystkim czy później doprowadzi ich do drzwi labiryntu. Tymczasem młody Branzowiec sapał i dyszał, jakby przebiegł co najmniej pięć kilometrów, chociaż szli spokojnie równym krokiem, do którego przyzwyczajono ich w Syndykacie.

-A ile w ogóle kilometrów musimy przejść? - zapytał podniesionym głosem Kosti. Odpowiedział mu śmiech więźnia.

-A co to za różnica, bracie? I tak nie ma stąd wyjścia, bo rozwaliliście te dzwignie.

Czy Rigelianczyk naprawdę w to wierzył? Jeśli tak, to dlaczego nie był przerażony? A może należał do tej rasy, która nie zauważa szczególnej różnicy między życiem a śmiercią?

Nagle rozległ się zdumiony okrzyk Mury i w sekundę później Dan omal nie przewrócił się wpadając na stewarda. Ali i dwóch pozostałych zaplatało się we własne pasy. Według Dana istniało tylko jedno wyjaśnienie tego niespodziewanego przystanku -

Mura musiał popelnic blad w obliczeniach i skrecili w nieodpowiedni korytarz. Sa zgubieni!

-To gdzie teraz jestesmy? - zapytal Kosti.

-Zgubilismy droge - zasmial sie skrzekliwie Rigelianczyk.

Dan dotknal dlonia sciany i stwierdzil, ze nie byla to juz gladka powierzchnia skonstruowana przez Przodkow, ale chropowata skala. A wiec dotarli do jaskini! Mura potwierdzil odkrycie mlodszelego kolegi.

-To jest juz skala- koniec labiryntu.

-Ale gdzie tu jest wyjscie? - upieral sie Kosti.

-Zamkniete! Zamkniete jednym pociagnieciem dzwigni! - odpowiedzial mu wiezien. - Wszystkie wyjscia sa - byly - sterowane przez instalacje.

-Jezeli tak - Ali podniosl glos po raz pierwszy od czasu, gdy zaczal te wedrowke - to co sie dzialo, gdy wylaczaliscie maszynie? Czy musieliscie czekac w ciemnosciach, az ponownie sie wlaczy?

Nie bylo odpowiedzi. Po paru sekundach Dan uslyszal szamotanine i dziwne odglosy, jakby ktos sie dlawil, po czym rozlegl sie chrapliwy glos Kostiego:

-Kiedy ktos zadaje ci pytania, ty zmijo, to masz odpowiadac, rozumiesz? Inaczej z toba porozmawiam, jesli bedziesz milczal. Co sie dzialo, kiedy przedtem wylaczaliscie te maszynie?

Jeszcze trochę odgłosów szamotaniny dobiegło do uszu Dana, a potem odpowiedź Rigelianczyka:

-Siedzieliśmy tu, dopóki się znowu nie włączyła. To zdarzało się bardzo rzadko.

-Wtedy, gdy myszkowała tu Inspekcja, wylaczaliście instalacje na parę dni - poprawił go Dan.

-Ale wtedy nie doszliśmy aż tak daleko - odrzekł wiezien cokolwiek za szybko.

-Ktoś przecież musiał tu pozostać, żeby to wszystko znowu włączyć, gdy nadszedł czas - zauważył Ali. - Jeżeli drzwi były zamknięte, nikt nie mógł stąd ani wyjść, ani dostać się do środka.

-Nie jestem inżynierem, nie znam się na takich sprawach - Rigelianczyk stracił dawną pewność siebie.

-Ależ oczywiście, jesteś tylko jednym z najbliższych współpracowników Richa. Jeśli jest stąd jakieś wyjście, to ty na pewno o nim wiesz - odezwał się Kosti.

-A może twój flet pomoże? - zapytał Dan Mure, który od dłuższego czasu milczał.

-Właśnie próbowałem - padła odpowiedź.

-Nie działa, co? No, dosyć tego, ty zmij. Gadaj! - Usłyszeli szamotaninę, po czym Ali zaproponował:

-Jeżeli to jest skala, i jest to bez wątpienia to miejsce, o które

nam chodzi, to dlaczego nie mielibysmy uzyc miotacza?

Oczywiscie! Przeciag sciana! Reka Dana spoczela na kaburze. Miotacz przedarlby sie przez lita skale szybciej niz przez zbudowane przez Przodkow mury. Pomysl spodobal sie rowniez Kostiemu, poniewaz halas wywolany jego perswazja ustal.

-Trzeba jedynie wybrac odpowiedni punkt - kontynuowal Ali. - Tylko gdzie jest przejście...

-W tym zapewne momencie pomoze nam ten typek, nieprawdaz? - warknal w strone wieznia mechanik.

Odpowiedzia bylo cos w rodzaju jeku, ktory Kosti najwidoczniej uznal za wyrazenie zgody, poniewaz przesunal sie do przodu popychajac przed soba Rigelianczyka.

-Dokladnie tutaj, co? Lepiej, zebys mial racje, chloptasiu; lepiej byloby dla ciebie, zebys mial racje!

Dan omal nie upadl, gdy mechanik pchnal wieznia w jego strone. Ustawil go przy scianie i czekal wraz z innymi.

-Czy to ty, Frank? Cofnij sie, bracie! Wszyscy do tylu! - Kolejne cialo znalazlo oparcie w Danie, po czym wszyscy trzej przesuneli sie w tyl.

-Uwazaj na podmuch, glupcze! - zawolal Ali. - Zrob najpierw niskie zasilanie i sprawdz, jak to dziala!

Kosti zasmial sie.

-Sprzatalem juz poklady naszych statkow, moj drogi, kiedy ty

dopiero uczyłeś się chodzić! Pozwól staremu człowiekowi pokazać co potrafi. No to do dzieła! - W tym momencie jaskrawy płomien oslepił ich wszystkich.

Dan przysloniwszy reka oczy przypatrywał się, jak rdzeń tego blasku obejmuje kamień, który staje się najpierw czerwony, a potem biały, by następnie spłynąć w postaci rozszarpanych kropeł na podłogę. Podmuchy gorącego powietrza uderzyły w stojących wokół ludzi, toteż zmuszeni byli cofnąć się jeszcze bardziej. Tylko jedna potężna postać nie zmieniła pozycji: Kosti wytrwale mierzył miotaczem w skałę i tylko od czasu do czasu pochylał się pod wpływem siły odrzutu. Miał zasuniętą osłonę hauby, ale i tak Dan zastanawiał się, jak mechanik mógł wytrzymać ten skwar. Znosił cierpliwie znacznie więcej, niż przeciętny człowiek mógł wytrzymać.

Udało mu się jednak skoncentrować płomien w jednym punkcie i wyrwa w murze powiększała się w miarę, jak spływał w dół stopiony kamień. Ostry zapach dymu zaczął ich gryźć w gardła i powodował suchy kaszel. Łzy spływały im po policzkach. Kosti natomiast cały czas nie zmieniał pozycji, jakby był ulepiony z innej gliny niż pozostali Branzowcy.

-Karl! - wrzasnął nagle Ali. - Uważaj! Przestani!

Rozległ się huk. Potężny fragment skały osunął się na podłogę. Mechanik cofnął się w ostatniej chwili i to tylko o kilka kroków, zachowując jedynie minimum bezpieczeństwa.

Lewa reka uderzył kilkakrotnie w tłaczę się bryczesy, lecz mimo tego manewru jego prawa reka nie drgnęła ani o centymetr i płomien nieprzerwanie wbijał się w to samo miejsce.

W blasku ognia Dan zobaczył twarz Rigelianczyka. Jego wielkie, okrągłe oczy wpatrywały się w Kostiego i widac w nich było przerażenie. Odsunął się od tego piekła przy wejściu, ale bardziej z powodu strachu, jaki wzbudzał w nim Kosti, niż dlatego że bał się płomieni miotacza.

-To by było na tyle! - rozległ się spod maski stłumiony głos mechanika.

Do tej pory nie mieli odwagi zbliżyć się do zarzających się drzwi. Teraz jednak Kosti schował do kabury broń i było oczywiste, że uznał pracę za skończoną. Podeszedł do nich unosząc osłone hauby i wtedy dostrzegli, że po jego twarzy spływają krople potu. Ciągłe uderzał dłońmi w niektóre miejsca na tunice i przyniósł ze sobą zapach przypalonej skóry i materiału.

-Co tam jest? - zapytał go Dan. Kosti zmarszczył nos.

-Następny korytarz. Ciemny jak Strefa Konca. Ale przynajmniej przestaniemy się wreszcie krecić w kolko.

Chociaż czas naglił i powinni już byli iść, czekali aż skala trochę ostygnie, po czym zasuneli osłony na twarz, a dla Aliego zrobili prowizoryczną haubę z tuniki Rigelianczyka. Zanim ruszyli, Kosti porozmawiał jeszcze z więźniem.

-Mogłbym ci właściwie przez to przeciągnąć - rzekł - ale pewnie przypieklbys się odrobine za mocno. Poza tym pewnie byś nam przeszkadzał, kiedy spotkamy się z twoimi przyjaciółmi. Więc zostawimy cię tutaj, żebyś trochę ochłonił, a może za parę lat ktoś cię znajdzie. - Kosti związał Rigelianczykowi nogi i ręce i pchnął go w głąb korytarza.

Teraz wzięli Aliego w środek i przeszli przez wycięty w murze otwór do następnego korytarza. Znowu zapanował mrok i znowu okazało się, tak jak przedtem, że ich lampy nie były w stanie rozjasnić ciemności. Na szczęście droga była wyjątkowo prosta, bez bocznych korytarzy, i nie musieli się zastanawiać, gdzie skręcić.

Po jakimś czasie trochę zwolnili, żeby nie przemeczac Aliego, i szli dalej trzymając się za ręce.

-Nic tu nie widać - przerwał Kosti groźną ciszą. - Czy ci Przodkowie w ogóle mieli oczy?

Dan podtrzymał ramieniem osuwającego się Kamila. Poczul, że ranny drgnął, jakby niezgrabne ręce Dana trafiły na jakieś bolesne miejsce. Asystent Szefa Ładowni szybko zmienił uchwyt, choć Ali nie powiedział ani słowa.

-Tutaj jest otwór: dotarliśmy do końca tego korytarza - rzekł Mura.
- Dalej jest następny hol, znacznie szerszy.

-Szersza droga może prowadzić do ważniejszego pomieszczenia - odważył się wysnuć wniosek Dan.

-Byleby tylko wyprowadziła nas z tego zwariowanego labiryntu! - odezwał się na to Kosti. - Mam już dość krecenia się po tym kretowisku. Dalej, Frank, idziemy!

Czterech ludzi ruszyło w drogę. Zrobili ostry zakręt w prawo. Szli teraz ramię w ramię i Dan miał wrażenie, że wokół jest mnóstwo miejsc, choć, oczywiście, nie mógł nic zobaczyć, bo nadal toneli w ciemnościach.

Nagle zatrzymali się. Tym razem przyczyna nie była przeszkoda, lecz krzyk, który rozległ się wraz z hukem strzelby. Po chwili huk powtórzył się. Nie usłyszeli już krzyku.

-Na podłogę! - zawołał Mura, ale pozostali Branzowcy zdążyli sami wpasć na ten pomysł.

Dan schylił się i pociągnął za sobą Aliego. Potem rozciągnął się na ziemi i usiłował zrozumieć, co się dzieje.

-Jakaś lokalna wojna przed nami - dotarł do niego głos Kostiego.

-I chyba zbliża się do nas - mruknął Ali.

Asystent Szefa Ładowni wyciągnął miotacz z kabury, chociaż nie miał pojęcia, jak w tych warunkach można go użyć. Nie byłoby rzeczą rozsądną strzelać w tych ciemnościach.

Znowu usłyszeli krzyk. Jakiś człowiek wrzasnął tak, jakby śmiertelnie go zraniono. Ali miał rację - hałas wyraźnie zbliżył się do nich.

-Pod ścianę! - Mura znowu wydał rozkaz, który wszyscy wykonali, zanim jeszcze został wypowiedziany.

Dan szarpnął tunikę Aliego ciągnąc go za sobą i poczuł, jak materiał rozpruwa się. Zdolał jednak doprowadzić kolegę do muru, gdzie staneli wszyscy, stłoczeni obok siebie.

Błysk światła rozciął zasłone ciemności przed nimi. Oslepiony Dan dostrzegł jakies czarne sylwetki oraz zarzuty się fragment skaly, ślad użycia miotacza.

-O, Bogowie Przestrzeni! - szepnal Ali. - Jesli wyceluja tutaj, to juz po nas.

Tupot nog zblizal sie w ich strone. Dan wyprostowal sie i oparł dlon na kaburze. Moze powinien strzelac w kierunku, z ktorego dochodzil dzwiek, ale nie potrafil nacisnac spustu.

Powstrzymywala go zakorzeniona w kazdym Branzowcu nieufnosc do otwartej walki.

Zrobilo sie przed nimi jasno. Nie z powodu fluorescencji do niedawna rozswietlajacej te korytarze, lecz zwyklego, zoltego promienia, ktory podzialal na Ziemiach uspokajajaco. Cztorej Branzowcy dostrzegli, jak piec postaci zajmuje pozycje na podlodze przygotowujac sie do ataku.

Rozdzial 18. - Odlot

-Poddajcie sie! W imieniu Federacji! - zagrmial w korytarzach glos czlowieka.-Patrol! - stwierdzil Ali.

W porzadku - a wiec Patrol wyladowal, pomyslal Dan. Ale ktora ze znajdujacych sie przed nimi grupa reprezentowala prawo i porzadek? Ci, ktorzy czekali na odparcie ataku, czy ci, ktorzy mieli zaatakowac?

Promien swiatla zblizal sie stopniowo, az w koncu jeden z ludzi wystrzelil prosto w jego centrum. Odpowiedzialy mu strzaly i rozlegl sie przerazliwy krzyk zranionego czlowieka.

Dan stwierdzil, ze gdyby mieli choc troche rozumu, to wycofaliby sie w glab labiryntu i bezpiecznie przeczekali walke. To nie byl odpowiedni moment na wtracanie sie w porachunki Patrolu z

banda Richa. Młody Branzowiec nie podzielił się jednak myślami ze stojącym obok Alim. Wycelował natomiast swój miotacz w stronę sklepienia korytarza, w którym się przyczaili. Nacisnął spust.

Napiecie nadal ustawione było na minimalną wielkość, ale i tak płomień wbil się w skałę. Udało mu się dobrze ocenić odległość: w blasku ognia zobaczył ludzi, którzy strzałem zgasili światło Patrolu - teraz nie miał wątpliwości, że był to Patrol. Oswietlone twarze z szeroko otwartymi ustami wpatrywały się w jasniejąca nad nimi smugę śmierci, jakby nagle wszyscy zostali zahipnotyzowani. Jakiś człowiek zrobił parę kroków w tył, w stronę Branzowców, ale nie udało mu się przemknąć bezpiecznie obok.

Kosti wyskoczył z ukrycia, ledwo widoczny w słabnym isnieniu sklepienia. Powinien był od razu zadać uciekającemu cios, ale ten wysliznął się z rąk Branzowca w sposób niewiarygodny wykrecając swoje ciało. Gdyby nie długie ręce mechanika, które chwyciły pas zbiega, przestępca schroniłby się w zaułkach labiryntu.

Dan strzelił ponownie, dając koledze dość światła do prowadzenia walki. Oczom obserwatorów ukazała się teraz jednak scena odmienna. Postać równie potężna jak mechanik właśnie podniosła się z ziemi, szykując się do kolejnej próby ucieczki, a bezwładny Kosti leżał na podłodze.

Ali wykrzeszał z siebie wszystkie nadwatłone siły i położył się w poprzek korytarza. Biegnący człowiek potknął się i, po raz kolejny, upadł. Dan znowu strzelił. Tym razem skierował płomień w głąb przejścia zamykając drogę uciekającemu.

-Przestancie! - zagrzmielo nad nimi. - Przestancie strzelac, bo inaczej sprowadzimy nukleus i wymieciemy was wszystkich!

Odpowiedzia byl skowyt dochodzacy z mrokow. Tuz przy wielkiej, zarzacej sie jeszcze plamie na skale zauwazyli skulona sylwetke. To nie mogli byc czlowiek!

Znowu zajasnial plomien miotacza. Najblizsi jego zrodla byli trzej banici, ktorzy usilowali ochronic rekami glowy. Ogień minal ich jednak i oswietlil lezacego Kostiego. Potezny Branzowiec nie poruszal sie, z ust splywaly krople krwi. W tym oslepiajacym blasku widac bylo biegnacego w strone kolegi Mure oraz skurczonego i kaszlacego Kamila.

Dan zwrocony byl tymczasem w strone labiryntu caly czas trzymajac przygotowany do strzalu miotacz. Wpatrywyl sie czujnie w te dziwna sylwetke w oddali. To cos, co poruszalo sie tuz przy wypalonym przez Dana otworze, mialo pomarszczona na twarzy skore i ociekajace slina usta. To cos bylo niegdys Salzarem, panem tego zapomnianego swiata, wladca piekla stworzonego przez ziarno craxu: to cos nie bylo juz czlowiekiem.

Salzar odwrocil sie, gdy dotarl do niego plomien, jeknal nieludzko i splunal krwia, po czym skoczyl nad plonaca skala w glab labiryntu. Uslyszeli jeszcze jego przejmujace wywolane bolem, wycie.

-Thorson! Mura!

Dan zadrzal. Powinien pobiec za Salzarem, ale nie potrafil sie zmusic do zrobienia jakiegokolwiek ruchu. Nie mogl scigac tego potwora w ciemnoscach. Odczul ogromna ulge uslyszawszy

wolanie. Spojrzał w tył, w kierunku, z którego dochodziło, ale blask płomienia oslepił go. Mrużąc oczy zdołał jednak rozpoznać srebrno-czarne mundury Patrolu i brązowe tuniki Branzowców. Włożył miotacz do kabury i czekał.

Jakis czas później siedział przy stole w osobliwym pomieszczeniu, którego wyposażenie w sposób jednoznaczny zdradziło charakter oddziaływania Otchlani: nagromadzono w nim niezliczone ilości przedmiotów zrabowanych z kilkudziesięciu co najmniej statków. Była to tandetnie luksusowa kwatery człowieka, którego znali: Salzara Richa.

Dan w zawrotnym tempie wchłonął prawdziwy posiłek - żadnych substytutów - słuchając jednocześnie, jak Mura streszcza wszystko, co stało się w ciągu ostatnich paru dni. Z trudem walczył ze zmęczeniem i sennoscia. W pozycji pionowej utrzymywała go zapewne chęć skosztowania wszystkich tych przysmaków, które postawiono na stole. Naturalne produkty to coś, o czym już prawie zdążył zapomnieć.

Czarne mundury przesuwały się przez pokój przynosząc raporty i odbierając rozkazy od Dowódcy Szwadronu, który wraz z Kapitanem Jellico przysłuchiwał się relacji Mury. Zupełnie jak koniec filmu sensacyjnego, pomyślał Dan. Wszystko dobrze się kończy: Patrol zdążył na czas i teraz oni kontrolowali sytuację.

-Najgorsza sprawa, na jaką dotychczas natrafiliśmy - rzekł Komandor.

-Macie wreszcie wyjaśnienie, dlaczego tak wiele statków w tajemniczy sposób zniknęło z przestrzeni międzyplanetarnej - zauważył Van Ryck.

Odpowiedzialo mu westchnienie.

-Bedziemy musieli przeczesac te wzgorza, a moze nawet rozkopac je, zeby z czystym sumieniem stwierdzic, ze zakonczyliśmy misje. Oczywiscie spis tych wszystkich przedmiotow tez sie przyda. Wyjasni to pewnie zagadki w kronikach Kwatery Glownej. Tylko dzieki wam jest to mozliwe. - Komandor wstal i zasalutowal. - Kapitanie, zegnam sie na razie. Jesli bedzie pan mogl, to prosze o spotkanie za jakies - spojrzal na zegarek - trzy godziny. Zrobimy narade. Jest kilka problemow, ktore mielismy omowic.

Wyszedl z pokoju. Dan pil jakis plyn z kubka ozdobionego herbem Inspekcji. Gdy dostrzegl te dwie skrzyzowane komety, wzdrygnal sie i odsunal naczynie. Zbyt wyrazne mial przed oczyma wczesniejsze odkrycie. Tak, na pewno jest tu cale mnostwo osobliwych przedmiotow. Ucieszyl sie na mysl, ze to nie on bedzie musial je posegregowac i spisac.

-Ten labirynt - glos Van Ryck nie byl spokojny - moze zajrzelibysmy do niego? Jellico parsknal smiechem.

-Mowisz tak, jakbys sadzil, ze Patrol kogokolwiek tam wpusci oprócz specjalistow z Federacji!

Wzmianka o labiryncie wywolala u Dana wspomnienie tego, co niedawno zaszlo i po raz pierwszy odezwal sie:

-Rich tam uciekl. Proszę pana, czy juz go zlapali?

-Jeszcze nie - odpowiedzial Kapitan. Nie byl chyba szczegolnie zainteresowany zniknieciem przywodcy banitow. - Craxoman

prawda? Przeskoczył przez płomień, kiedy do was dotarliśmy.

-Tak, Kapitanie. W końcu chyba stracił zmysły - dodał Mura.

-Mam nadzieję, że Patrol go nie zlekceważy. Nie chciałbym być na miejscu człowieka, który będzie go musiał dopaść w tym labiryncie. Trzeba zachować wszystkie środki ostrożności.

-Coż - Jellico wstał - to już nie nasza sprawa. Patrol teraz wszystkim dowodzi, niech oni się martwią. Im wcześniej wystartujemy z tej okropnej planety, tym lepiej dla nas. Jesteśmy Branzowcami, a nie policja.

-Tak - odezwał się Van Ryck ciągle siedząc w fotelu ukradzionym zapewne niegdys z jakiegoś liniowca. - Musimy myśleć o Branzy przede wszystkim, wyłącznie o interesach. - W jego oczach nie było niecierpliwości, która można było łatwo dostrzec w niemal przezroczyстых niebieskich oczach Kapitana. Był zupełnie spokojny, jakby miał rozpocząć swoje zwykłe zajęcia. Danowi przyszło do głowy, że Van Ryck nie zakończył jeszcze interesów na Otchlani i nie obchodziło go zupełnie, co postanowił Patrol.

Mimo swoich deklaracji, Kapitan nie zarządził powrotu na Krolowa. Przechadzał się natomiast ostrożnie po pokoju przystając czasami przed jakimś eksponatem, który Salzar najwidoczniej upodobał sobie na tyle, by go tu umieścić. Van Ryck spojrzał na Dana i Mure.

-Proponuje - powiedział łagodnie - żebyście skorzystali z sypialni Doktora Richa. Myślę, że łóżko wam się spodoba - jest znacznie wygodniejsze niż koja.

Dan zastanawiał się, dlaczego nie wysłano ich na statek, gdzie już od paru godzin przebywali Kosti i Ali, ale ruszył posłusznie za stewardem w stronę apartamentu Richa. Van Ryck miał rację: łozko było zupełnie ziemskich rozmiarów, a pokrywał je puszysty koc z automatycznym nagrzewaniem.

Młody Branzowiec zrzucił haube, gruby, niewygodny pas oraz buty i zanurzył się w welniana miękkość. Katem oka zauważył, że Mura idzie w jego ślady i zajmuje drugi koniec obszernego legowiska. Po paru sekundach spał już głęboko.

Był teraz w sterowni Królowej i miał wprowadzić statek w nadprzestrzeń. Naprzeciw niego stał Salzar Rich z twarzą tak surową jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkali się na Naxos. Zadaniem Dana było ustalić wszystkie współrzędne, a gdyby się pomylił, to Salzar zabije go i jego ciało spadnie do labiryntu, gdzie coś czyha na nie w ciemnościach.

Dan otworzył oczy i wpatrywał się w szarość mroku ponad głową. Trzasł się z zimna. Rece miał lodowate i mokre od potu. Chciał sprawdzić, czy to już rzeczywistość i ledwo powstrzymał się od dotknięcia dłonią puszystej pościeli. Nie wolno mu było się poruszyć. Wyczuł obecność czegoś straszliwego w tym pokoju, czegoś, co zagrażało jego życiu.

Kontrolował swój oddech - powinien być głęboki i równy. Mura był obok, ale Dan nie mógł odwrócić głowy, żeby sprawdzić. Zaczął zmieniać swoją pozycję stopniowo, przesuwając się o milimetry. Nie miał pojęcia, co dokładnie mu grozi, ale wystarczyło to niemal namacalne poczucie strachu, żeby zachować maksimum ostrożności.

Dostrzegł wreszcie drzwi. Dochodziły stamtąd głosy. Może Kapitan i Van Ryck nadal tam siedzieli. Dobrze, to są drzwi, a teraz kawałek ściany przy nich. Zobaczył trójwymiarowe malowidło, jaskrawy krajobraz z jakiegoś dziwnego świata, świata martwego, pozbawionego życia, a mimo to w jakiś niesamowity sposób pięknego, zdecydował się przesunąć rękę pod lekkim kocem. Chciał obudzić Mure. Wiedział, że steward nie zdradzi ich, nawet jeśli zostanie wyrwany ze snu.

Reka przesunięta, głowa też. Jest malowidło, a przy nim pas tkanego materiału z diamentami i szmaragdami. Kamienie Isnia, że aż oczy bola. A obok - obok jakies ramiona zasłaniają częściowo to dzieło...

Salzar!

Tylko dzięki silnej woli, o którą Dan nawet się nie podejrzewał, zdołał pozostać w bezruchu. Na szczęście przestępca nie spoglądał w stronę łóżka. Bezszelestnie przesunął się w kierunku drzwi.

Rich najwyraźniej stał się na powrót człowiekiem, ale w jego oczach widac było szalenstwo. W ręku trzymał dziwną tubę z jeszcze bardziej dziwną rekojescią. To na pewno była bron. Nie stał już przy gobelinie - jego głowa zasłaniała częściowo obraz. Jeszcze dwa kroki i będzie przy drzwiach. Reka, która miała obudzić Mure, napotkała na przyjazną dłoń sprzymierzeńca w sama porę. Steward też nie spał - było więc ich dwóch!

Dan próbował zaplanować następny ruch. Leżał na plecach, przykryty grubym kocem. Niemożliwe, żeby udało mu się zaskoczyć Salzara. A jednak przestępca nie może dojść do tych

drzwi, nie można mu pozwolić na strzały.

Mura pchnął lekko dłoń Dana. To był znak. Czy na pewno dobrze zinterpretował ten ruch? Dan napiął wszystkie mięśnie i w momencie, gdy rozległ się przeraźliwy wrzask kolegi, zsunął się błyskawicznie na podłogę.

Plomien rozdarł powietrze i łozko stanoło w ogniu. Dan gwałtownie szarpnął dywan, na którym stał Salzar, ale ten nie stracił równowagi. Oparł się o ścianę i skierował broń w stronę zaplatanego w koc Branzowca. Nagle spokojne, pewne dłonie zaczęły się zaciskać na gardle przestępcy. To Van Ryck zaskoczył Richa od tyłu i stopniowo zwiększając ucisk zmusił go do poddania się. Mura i Dan powstali z kolan. Łoże, które przed chwilą było dla nich oazą spokoju, zżerał ogień.

Przez jakiś czas trwało ogólne zamieszanie: przybyło mnóstwo ludzi z Patrolu i było trochę strzelaniny. Policjanci odprowadzili gdzieś Salzara. Dan usiadł na ławce: na zawsze chyba pozostanie mu niechęć do łozek. Marzył tylko o tym, żeby wreszcie wyciągnąć swoje zmęczone ciało na własnej koi. Gdyby tak mógł znowu zasnąć na Królowej!

Van Ryck położył na stole broń odebrana przestępcy.

-Cos nowego - powiedział. - Może kolejna zabawka Przodków, a może to z jakiegoś statku.

Służba Federacji na pewno rozwiąże wiele zagadek. My możemy być przynajmniej spokojni, że nasz drogi doktor jest pod kluczem.

-Wylacznie dzieki panu, Szefie! -zaznaczyl Dan.

Van Ryck uniosl brwi.

-Ja jedynie dokonczylem to, co wy zaczeliscie. Gdyby nas nie zaalarmowal twoj krzyk, Mura - skinal glowa w strone stewarda - moze juz by nas nie bylo.

Mura ziewnal zaslaniajac twarz dlonia. Mial rozpieta tunike i byl troche rozczochrany, ale jak zwykle doskonale kontrolowal emocje.

-Zatem bylo to wspolne przedsiwziecie, prosze pana - odpowiedzial. - Nie wrzasnalbym tak, gdyby wczesniej nie obudzil mnie Thorson. To on rowniez pociagnal ten dywan. Zastanawiam sie, dlaczego Salzar nie spalil nas, zanim ruszyl do was.

Dan zadrzal. Zapach spalonego lozka i poscieli byl tak silny, ze zaczelo go mdlic. Musi natychmiast odetchnac swiezym powietrzem, musi sie nim zachlysnac. I nie chce myslec o tym, co by bylo gdyby...

-To chyba wszystko - Kapitan Jellico w asyscie Dowodcy Patrolu wszedl do pokoju. - Macie Richa, ale co z nimi? Mamy tu siedziec i czekac, az przeszukacie wszystkie zakamarki i policzycie wszystkie spladrowane statki?

-Nie sadze, Kapitanie, zebyscie musieli zatrzymywac sie tu dluzej niz pare godzin - zaczal Komandor, ale przerwal mu Van Ryck.

-Alez nam sie zupełnie nie spieszy. Jest przeciez kwestia naszych praw do Otchlani. Jeszcze tego nie omowilismy. Nabyalismy na legalnej aukcji Inspekcji prawa do tej planety na dwanascie miesiecy ziemskich. Powstaje pytanie, w jakim stopniu te prawa odnosza sie do ocalonych przez nas wrakow pojazdow kosmicznych oraz tego, co zawieraja...

-Wrakow, ktore sa dowodem dzialalnosci przestepczej - zaczal znowu Komandor, lecz i tym razem Szef Ladowni wszedl mu w slowo.

-Jednakze wraki znajdowaly sie na planecie jeszcze zanim odkryl ja Salzar. Maszyna włączala sie od czasu do czasu juz po odejsciu Przodkow. Z historycznego punktu widzenia te gory kryja ogromne ilosci bezcennych zabytkow, a poniewaz nie znalazly sie one tutaj w wyniku przestepczej dzialalnosci, wiec nie widze powodu, zebysmy nie mieli skorzystac z przyslugujacych nam praw. Nasi ludzie odkryli bez szczegolnych problemow co najmniej dwa statki, ktore musialy sie tu rozbic przed przybyciem Salzara. Tylko dwa, a sa moze setki - rzekl dobrodusznie.

Sluchajacy tego wywodu Jellico przestal sie juz niecierpliwic. Podszedl do Szefa Ladowni i usiadl przy nim, jak gdyby mial zamiar przeprowadzic zaraz zwykla, handlowa rozmowe.

Komandor wybuchnal smiechem.

-Nie uda sie panu, Van Ryck, wciagnac mnie w zadne targi. Moge zawiesic wasze prawa i zlozyc protest w Kwaterze Glownej, a w miedzyczasie wyslac was do naszego obozu na Poldarze - to najblizsza stacja Patrolu. Jesli bede musial, dam wam

towarzystwo. Nie sadze, zeby Federacja oddala prawa do Otchlani komukolwiek, przynajmniej przez jakis czas.

-Jezeli zechca uniewaznic kontrakt bona fide - zaznaczyl Van Ryck - beda musieli za to zaplacic. Ponadto, na Poldarze sa ludzie z telewizji, a my nie jestesmy z Patrolu - nie obowiazuje nas wasz nakaz milczenia. A przeciez kazdy chetnie uslyszy, co robilismy w ciagu ostatnich paru dni. I bedzie to niezwykle interesujaca informacja. W pewnym sensie bajki staly sie rzeczywistoscia. "Morze Sargassowe Kosmosu" - planeta wypelniona skarbami z zaginionych statkow. Ludziom potrzeba romantycznych przygod. - Mowiacy przymknal oczy, jak gdyby oczarowaly go jego wlasne slowa. - Przyjada tu turysci z calej Galaktyki.

-Tak jest - wtracil Kapitan - i w dodatku przywioza ze soba rozne sprytne urzadzenia do szukania skarbow. Van - zwrocil sie do Szefa Ladowni - to bedzie naprawde duza sprawa.

-Masz absolutna racje. Luksusowe hotele, wycieczki z przewodnikiem, dzialki wystawione na sprzedaz... Prawdziwy majatek!

-Nikt tu nie wyladuje bez oficjalnego zezwolenia! - odparl zdenerwowany nieco Komandor.

-W takim razie nie zazdrozczcie ludziom, ktorzy beda musieli tego pilnowac. Alez ta historia spodoba sie chlopcom z telewizji - Van Ryck wrocil do swoich marzen. - Aha! - Otworzył szeroko oczy i spojrzal na policjanta. - I nie musicie sie troszczyc o nas, i tak zaapelujemy do Branzy hiperszyfrem, a tego nie mozecie zagluszyc.

Komandor poczul sie dotkniety.

-Czy w w jakikolwiek sposob dalismy wam do zrozumienia, ze mamy zamiar traktowac was jak przestepcow?

-Nie, alez wcale nie! Jedynie od czasu do czasu jakies aluzje. Poddamy sie poslusznie kwarantannie, jak przystalo na porzadnych, przestrzegajacych prawo obywateli. Ale poniewaz jestesmy dobrymi obywatelami, wiec opowiemy nasza przygode wszystkim, ktorzy beda chcieli sluchac. Chyba... chyba, ze zawrzemy teraz jakis inny, korzystny uklad.

-Co pan ma na mysli mowiac o „korzystnym ukladzie”? - przeszedl do sedna sprawy Komandor.

-Odpowiednie odszkodowanie za strate naszych praw do Otchlani oraz nagrode.

-Jaka nagrode?

Van Ryck zaczal wyliczac ich zaslugi.

-Po pierwsze, wyladowaliscie tutaj bezpiecznie, poniewaz nasi ludzie wylaczyli te instalacje. Ci sami ludzie znalezli waszego Rimbolda, ktorego od dawna szukaliscie. Poza tym, dostarczyliśmy wam Salzara slicznie zapakowanego i zwiazanego. Moglbym wymienic jeszcze kilka powodow, dla ktorych uwazam, ze nalezy nam sie nagroda.

Komandor znow sie rozesmial.

-Co ja robie?! Spieram sie z zawodowym handlowcem o jego zyski! Przedstawie wasze roszczenia w Kwaterze Glownej, jesli

przrzekniecie, że będziecie trzymać wasz zbiorowy język za zębami.

-Przez tydzień - uzupełnił Van Ryck. - Tylko siedem ziemskich dni. Później telewizja pozna historię naszej ostatniej wyprawy. Proszę więc poinformować szefów, żeby się pośpieszyli. Wystartujemy dzisiaj w nocy i polecimy prosto na Poldar. Powiadomimy również Branze, gdzie jesteśmy i jak długo tam będziemy.

-W porządku, niech ci na gorze kloca się z wami. - Dowódca Patrolu poddał się. - Czy mam wasze słowo, że polecicie bezpośrednio na Poldar?

-Nie musi pan posyłać eskorty - przytaknął Kapitan Jellico. - Pomysłowych poszukiwań, Komandorze.

Dan i Mura opuścili pokój w ślad za oficerami. Asystent Szefa Ładowni nie miał najwesojszych myśli. Kwarantanna była zwykłą konsekwencją podróży na nieznaną planetę. Bada ich lekarze i wypytywali naukowcy. Świat musi się upewnić, że nie przywieźli jakiejś śmiertelnej choroby. Ale w tym wypadku czeka ich zapewne dłuższy pobyt. Ani Kapitan, ani Van Ryck nie wyglądali jednak na przygnębionych. Wręcz przeciwnie - po raz pierwszy od aukcji na Naxos byli zadowoleni z siebie i z sytuacji.

-Coś ci chodzi po głowie, Van? - głos Jellico przedarł się przez dudnienie pelzacza, który wreszcie wiozł ich na Krolowa.

-Przyjrzałem się dość dokładnie lupom Salzara. Czy pamięta pan Traxta Cama, Kapitanie?

-Traxt Cam... Chyba pracuje gdzieś w Strefie Konca...

-Pracował - głos Van Rycka nie był już taki wesoły.

-Myślisz, że jest jedna z ofiar Salzara?

-Inaczej jego prywatny rejestr nie wpadłby w ręce naszego doktora. Traxt wracał właśnie z bardzo dobrej trasy i tutaj musiał się rozbić. Wiem, że nabył prawa do Sargolu i wiodło mu się doskonale.

-Sargol - powtórzył Kapitan. - Czy to nie tam znaleziono te nowe klejnoty? Chyba nazwano je Koros, prawda?

-Zgadza się. A Traxt miał jeszcze przed sobą półtoraroczny kontrakt. Wspomnimy o tym w Kwaterze Głównej. Może zgodza się na taki układ: nasze milczenie oraz prawa do Otchlani w zamian za zapas żywności i wykorzystanie do końca praw Traxta. Jak się to panu podoba, Kapitanie?

-Wygląda to na jeden z twoich lepszych interesów, Van. Może rzeczywiście ci na gorze pójdą na to. Nie kosztowałoby ich to wiele i mieliby z nami spokój. Kto zechce nas słuchać w Strefie Konca?

-Może na to pójdą? - Van Ryck pokręcił głową. - Trochę więcej zaufania, Kapitanie! Na pewno przyjmą nasze warunki! Czeka na nas Sargol i jego klejnoty.

Jego pewność siebie przywracała słuchającym poczucie bezpieczeństwa. Dan patrzył na spaloną planetę i próbował wyobrazić sobie Sargol: kopalnię klejnotów, a Królowa miałaby do

nich największe prawo! Być może Otchłan nie była wcale taka
pechowa. Może jednak przyniesie im szczęście...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-
tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)